

IRENEUSZ GODWIN KAMIŃSKI

DIABELSKA BALLADA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poznajemy miasteczko zagubione na peryferiach Rzeczypospolitej, tudzież paru dziwnych osobników. Diabeł czai się w okolicznych borach.

Miasteczko nazywało się Trzydęby, ponieważ zbudowano je w zamierzchłych czasach u podnóża wzgórza porośniętego gęstym borem. Na przełomie wieków pagórek doszczętnie wyłysiał, susz spalono, a na szczycie miejski ogrodnik posadził trzy dęby, żeby uzasadniały herb grodu. Dziś drzewa prezentowały się okazale. Los pozwolił im przetrwać dwie wojny światowe, trzy bombardowania, cztery pojedynki artyleryjskie i pięciu braci Kuterskich, którzy prowadzili zakład bednarski i wykorzystując zawieruchy militarne usiłowali przerobić dęby na beczki do kiszonej kapusty. Kłopoty prywatnej inicjatywy ukrócił radykalnie obecny burmistrz poleciwszy ustawić ogrodzenie z kutych prętów i tablicę z napisem: Dęby Bolesława Śmiałego. Pomnik przyrody, podlega bezwzględnej ochronie.

Chronologia oczywiście została naciągnięta odpowiednio do potrzeb, zważywszy, że król Bolesław Śmiały żył w wieku XI, a drzewa posadzono osiemset lat później. W każdym razie pnie osiągnęły już kilkumetrowy obwód, a konarów oburącz nikt objąć nie zdołał. Imponujących rozmiarów korony widoczne były ze znacznej odległości i górowały nad wieżą miejscowego kościoła co miało pewne znaczenie dla biegu wydarzeń.

Trzydęby liczyły zawsze pięć tysięcy mieszkańców; tej magicznej liczby nie zdołano przekroczyć mimo usilnych starań tutejszych małżeństw i panien swawolnych, gdyż młodzież emigrowała do większych osiedli. Kilkanaście ulic z piętrowymi domami o spadzistych dachach, krytych czerwoną dachówką, jeden kwadratowy plac z ratuszem po wschodniej stronie i kościołem po zachodniej, szkoła, ośrodek zdrowia, posterunek milicji, kilka sklepów i kilkunastu rzemieślników - oto całe miasteczko. Jedyłą atrakcją były piątkowe targi, gdy zjeżdżały wozy okolicznych rolników i handlowano czym popadło. Wydawało się, że mieszkańcy skazani zostali na gnuśne bytowanie

życie toczyło się na zwolnionych obrotach. Ani się spostrzegł, jak zawędrował na okoliczne wzgórza i zagłębił w bór. Obok buków rosły tu świerki, modrzewie, nad strumieniem trafiały się nawet brzozy. Szedł wpół zarośniętymi ścieżkami, przełaząc niezdarnie przez wykroty, aż trafił do uroczyska, gdzie stuletnie dęby sięgały nieba rozłożystymi konarami. Przez listowie przebijały promienie słońca, pachniało poszycie, niezmaconą ciszę przerywał tylko rzadki stukot dzięcioła lub wołanie kukułki. Wszelkie stworzenie Pana chwali - westchnął na widok przemykającej sarny. Nieco zmęczony siadł na

zwalonym pniu i przymknął powieki. Ogarnął go błogi spokój, jak zawsze, gdy harmonia przyrody pozwalała mu zapomnieć o zgiełku ludzkiego mrowiska.

W drodze powrotnej zauważył Zajazd Pod Mieczem; pokonawszy wahanie wszedł do środka. Przy kontuarze kupił butelkę piwa i rozejrzał się poszukując wolnego miejsca. Czarny habit z kapuzą, przepasany białym sznurem, pojawił się w tym przybytku po raz pierwszy, to też oczy obecnych śledziły każdy ruch przybysza. Podeszedł do stolika w rogu sali.

- Mogę?

- Jeśli księdza nie mierzysz towarzystwo komuchów - odparł nauczyciel - proszę bardzo.

- Nie jestem kapłanem.

- Widzę. Tylko jak się zwracać do mnicha? Bracie? Duchowna osoba? To brzmi śmiesznie.

- Ot, dylemat - uśmiechnął się franciszkanin. - Najzręczniejszą tradycyjnemu per „ojciec”, albo z łacińska „pater”, z dodatkiem imienia, jeśli łaska. Hiacynt.

- Ten oto anemiczny jegomość - prezentował nauczyciel - to Adam Rak, zatrudniony jako...

- Urzędnik.

- Rzeczywiście. Wąsał z fajką nazywa się Śliwa, z zawodu...

- Ślusarz albo mechanik.

- Ależ z ojca fizjognomista, gratuluję. Obaj są podporą -tutejszej fabryki nocników.

- Protestuję - wtrącił Rak - oficjalna nazwa naszego przedsiębiorstwa brzmi: Państwowa Wytwórnia Nocnych Naczyń Wielokrotnego Użytku, w skrócie PWNNWU. Ludzie dla wygody mawiają: Pewnusia.

- Moje personalia: Ateusz Pokorny, belfer.

- Ateusz? Oryginalne imię.

- Wymysł staruszka świętej pamięci. Nie spodziewał się, że określi również światopogląd synalka.

- Poznaliśmy się. Możemy wrócić do tematu. Przetrzęsaliśmy dziś wszystkie błędy. I wypaczenia naszej partii - Śliwa po każdym zdaniu pykał fajkę, kłęby dymu otulały jego szpakowatą czuprynę. - Może teraz nasz gość. Parę zdań o wypaczeniach Kościoła. Kiedy papież złoży samokrytykę. Za przewiny własnej firmy?

- Zły adres, panowie - odparł Hiacynt - nasz zakon braci mniejszych istnieje od początku trzynastego wieku i nigdy w swych dziejach, podkreślam: nigdy nie splamił się pazernością na dobra doczesne, żądzą władzy czy zbrodniami inkwizycji. Zawsze chyliliśmy się z troską nad cierpiącym głód i choroby ludem bożym. Nie nam bić się w piersi! - łyknął

piwa i spoglądając na etykietę butelki, zmienił zręcznie temat: - Ba-Itic beer, całkiem smaczne. Pierwszy raz mam okazję kosztować.

Rozpętała się dyskusja na temat piwowarstwa, które franciszkańskie klasztory uprawiały od najdawniejszych czasów; tutaj ojciec Hiacynt sypał receptami, jak z rękawa. Roztrząsano wyższość piwa okocimskiego nad żywieckim, porównywano pilsnera z radebergerem, metody średniowiecznych fałszerzy szlachtetnego trunku ze złodziejstwem współczesnych fabrykantów, którzy napełniają kolorowe puszkę nędznym sikaczem. Parokrotnie. zmieniała się bateria butelek na stole, humory różowiały, głosy nabierały barwy. W końcu zakonnik przyznał nieśmiało, że jego ulubionym napojem jest leżajskie pełne, gdyż sani pochodzi z południa kraju i nie wyzbył się do cna lokalnego patriotyzmu. Zgodnym chórem odśpiewali aktualny szlagier:

Najlepsze piwo to leżajski full
Gul gul gul, gul gul gul
Takiego piwa nie pił nawet król
Gul gul gul, leżajski fuli...

Dzień kończył się dla zakonnika raczej pomyślnie, w przeciwieństwie do doktora teologii, który z niemałym wysiłkiem wdrapał się po krętych żelaznych schodach na kościelną wieżę i z lotu ptaka spoglądał na parafię. Niejasne przeczucie podpowiadało mu, że oto trafił na ugór zroszony diabelskim posiewem, zarośnięty kolczastymi chwastami grzechu. W borze, pełnym sinymi jęzorami ze wzgórz ku miasteczku, czai się szatan i podsuwa ci, Stanisławie, złudne obrazy. Widzisz łąkę obsypaną różnobarwnym kwieciami, a pod spodem bagno. Z ust przechodnia płynie miód, a dusza jego wije się w miazmatach zła. Słowa przestały być symbolem rzeczy, służą zamazywaniu znaczeń, ukrywaniu myśli. Tutaj wszystko może się zdarzyć i nie zdołasz wyznaczyć granicy między prawdą a kłamstwem, między światem rzeczywistym a urojonym, między wolą Stwórcy a knowaniem księcia ciemności. Boże Wszechmogący! Dodaj mi siłę, bym godnie służył Kościołowi, matce naszej, każdego dnia i o wszelkiej porze roku. Amen.

Pod plebanią natknął się na zakonnika. Podkasawszy habit, jakby żeglował przez kałuże, podążał krokiem chwiejnym, nucąc pod nosem skoczną melodię, na milę zalatującą świeckością. Ujrawszy zwierchnika, położył palec na wargach i mruknął:

- Pst! Niech-no tylko zakwitną jabłonie...

Polazł na swój stryszek, zostawiając księdza Maciąga w matni domysłów: czy odżywkę mnicha sklasyfikować jako bezsensowną, czy też kryją się w niej perfidne podteksty, a jeśli tak, to jakie. Być może, oszołomiony trunkiem, niebacznie sygnalizował

jakąś ponurą tajemnicę, która objawi się we właściwym czasie? Albo mimochodem wyrwała mu się pogrożka, świadectwo wrogości do kleru świeckiego, dotąd skrzętnie tajonej? Jabłonie, zależnie od pogody, ozdabiają się kwieciami na początku maja; czyżby ta pora niosła jakieś zagrożenie dla owczarni bożej, lub co gorsza - dla jej pokornych pasterzy?

Jeszcze długo przed zaśnięciem roztrząsał ten problem, miał bowiem wnikliwy umysł, godny wielkich scholastyków średniowiecza, którzy bezbłędnie potrafili wydedukować, ilu aniołów zmieści się na łebku od szpilki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzydęby włączają się w nurt. Ośli upór Śliwy. W Pewnusi bulgoce, rodzi się Nowe. Diabeł o nocnej porze wciska się do mieszkań.

Śliwa kupił telewizor i przez kilka dni nie mogli się oderwać od szklanego ekranu. Szybko jednak życie domowe wróciło do normy. Majster ruszał rankiem do fabryki, nieco później Piotruś biegł do szkoły (kończył ósmą klasę). Małenka w kolejkach przed sklepami polowała na wiktuały, potem pichciła obiad, a w wolnych chwilach czytała lub rozwiązywała krzyżówki. Telewizyjny świat, chociaż barwny, wydawał się mało pociągający. Zwłaszcza dzienniki wyprowadzały głowę rodziny z równowagi; co rusz pojawiał się tam jakiś nawiedzony odnowiciel i pluł gładkimi słowy.

- Odnawiają się skurczybyki i odnowić nie mogą - mawiał Śliwa - może dla nich jakiś rezerwat założyć, niechby tam grzybki hodowali czekając, aż wybuchnie im w duszyczkach kolejny przełom moralny. Dasz takiemu swobodę, to zamiast naprawić co złe, rozpieprzy wszystko dokoła.

Czas wieców nie mijał. Wręcz przeciwnie - pęczniał jak ryż podczas gotowania. Zwoływała masówki „Solidarność”, partia, stare związki zawodowe, dziesiątki organizacji, których nazwy znane były tylko z książki telefonicznej. Odbywały się manifestacje i kontrmanifestacje, podejmowano uchwały wykluczające się nawzajem, publikowano memoriały i raporty gmatwające coraz bardziej faktyczne problemy, tasiemcowe wykazy żądań zalewały urzędy. Cały kraj zamienił się w szlachecki sejmik, gdzie veto, protestuję, żądam - okazywały się najczęściej używanymi słowami. Walka polityczna przeniosła się na ulice obwieszone hasłami, afiszami, sloganami wypisywanymi na ścianach domów i płotach; tam mogła szaleć bez cenzuralnych ograniczeń.

W końcu fala wtargnęła także do Trzydębów. Pod kościołem emisariusz z województwa sprzedawał opozycyjne wydawnictwa, na płotach ktoś wymalował czarną farbą parę haseł: „Precz z komuną!”, „Niech żyje wolność!”, „Sowieci do domu, czerwoni do piekła!”. Zauważmy, że to ostatnie jest nielogiczne - autor uważa, że Sowieci nie są czerwoni, bo posyła ich w domowe pielesze zamiast do otchłani gorejącej, gdzie znaleźliby się w interesującym towarzystwie. Dante umieścił tam wielu władców świeckich i książąt Kościoła, dla niektórych papieży rezerwując obszary najgorętsze.

Nowy związek powstał także w fabryce, zapisało się kilkadziesiąt osób. Działalność rozpoczął od ufundowania imponującego sztandaru - na awersie krzyż z cierniową koroną,

rewers bez reszty pokryty napisem: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” przy Państwowej Wytwórni Nocnych Naczyn Wielokrotnego Użytku w Trzydębach. Ksiądz Maciąg poświęcił symbol na uroczystym nabożeństwie i założyciele postanowili zaznaczyć w mieście obecność aktualnej siły przewodniej. Ogłoszono strajk, nie precyzując wszakże jego charakteru.

Śliwa, na widok oflagowanych budynków i stosownych tablic - wściekł się. Nawymyślał pracownikom i kazał włączyć maszyny, których warkot natychmiast sprowadził na halę zarząd związku w komplecie: przewodniczącego magistra Markiewicza, inżyniera Kajdyra i maszynistę Bukowskiego.

Markiewicz wpiął sobie do jednej kłapy marynarki Matkę Boską a do drugiej znaczek „Solidarności”, zdążył nawet zapuścić wałusowe wąsiska, które nadawały jego obliczu wyraz naburmuszonego suma. Śliwa pamiętał go, cichutkiego biuralistę, jak tkwił pokornie nad stosem papierzysk, pociągał wystygłą herbatkę - proszę bardzo, dziękuję uprzejmie, polecam się pamięci i tak dalej. Ku zaskoczeniu znajomych nagle wyciągnął z tornistra buławę marszałkowską i objawił się jako wrzaskliwy mówca wiecowy. Wreszcie był kimś.

- Panie Śliwa, pan nie wie, że mamy strajk?

- Z jakiego powodu, można wiedzieć?

- Chodzi o wolne soboty.

- Bardzo słusznie. Zamiast sześć dni, będziecie musieli tylko pięć leżeć do góry dupą.

Co za ulga! A nie zapomnijcie się pomodlić, żeby Bóg zesłał wam mannę z nieba.

- Pan rozbija jedność załogi!

- Jaką jedność? Przegłosowali strajk?

- Teraz się referendum nie praktykuje. Przez aklamację.

- Rozumiem, wprowadzacie demokrację aklamacyjną. Dawniej klasa robotnicza piła szampana ustami swych przedstawicieli, teraz będzie podejmować decyzje klaszcząc dłońmi swych reprezentantów. Dawniej partyjni sekretarze biegali do komitetów uzgadniać każde gówno, teraz wy bez instrukcji z regionu nawet pierdnąć się nie odważycie. Dyrektywy są, aktyw pokornie wykonuje, od myślenia są ci na górze. Rewolucyjne zmiany, ho ho!

- Kłamstwo! To wyłącznie nasza inicjatywa.

- Zgodna z modą, powiedzmy. No więc jaki ma być ten wasz strajk? Ludzie muszą wiedzieć. Protestacyjny, solidarnościowy, postulatywny, głodowy, okupacyjny, czynny, bierny, kroczący czy pełzający? Wariantów nieskończona mnogość.

- Już mówiłem. Żądamy natychmiastowego wprowadzenia wolnych sobót, obniżki cen, usunięcia partii z zakładów pracy.

- I oczywiście zapłaty za dni nieprzepracowane?

- To chyba zrozumiałe?

- Nie dla mnie. Gospodarka się wali, a wy myślicie tylko o dojeniu kasy. Gdzie znajdziecie robotę jeśli firma zbankrutuje? Okręt tonie, a załoga zamiast łajbę ratować ogłasza protest. I pójdzie na dno kwicząc z radości, bo uwierzyła, że im gorzej tym lepiej. Trocki się wam uniżenie kłania!

- Szkoda słów, panie magistrze - włączył się do dialogu inżynier Kajdyr. - Tego człowieka nie przekonamy. Mózg mu zamarzał.

- Na taczkę komucha i za bramę! - podsunął maszynista Bukowski. - Przystanie bruździć.

- Ty moczymordo! - odszczeknął Śliwa. - Z partii wyleciałeś za opilstwo i teraz chcesz się odkuć w „Solidarności”?

- Ja pana ostrzegam - uderzył w pojednawczy ton magister przewodniczący - kręci pan bicz na własną skórę.

- Ba, trafiło na strachliwego, już mi się portki trzęsą. Słuchaj, Markiewicz. Jestem za demokracją, ale przeciw chłystkom, którym zależy na anarchii w kraju. Zawrzyjmy układ: ty przestaniesz rozwalać produkcję, a ja wspomogę cię dobrym słowem gdy ten bajzel szlag trafi i będziesz musiał zmykać gdzie pieprz rośnie. Umowa stoi?

Wąsacz poczerwieniał ze złości; wyszedł energicznym krokiem a świta za nim. Śliwa rozejrzał się po twarzach pracowników, zgromadzonych wokół. Bez słowa przysłuchiwali się rozmowie, zdezorientowani, ogłuszeni wydarzeniami.

- No, koledzy - powiedział - decydujcie sami. Kto chce pracuje, kto chce strajkuje. Ja zostanę przy maszynach choćbym miał, do jasnej cholery, sam sterceć w tej budzie!

W domu Maleńka podała ruskie pierogi ze śmietaną; jadł w milczeniu, czasem zerkając na ekran - Piotruś oglądał Robin Hooda. Oparta o kredens przyglądała się mężowi. Sądząc po minie, miał kłopoty w pracy lecz podjęcie tego tematu mijało się z celem, wyznawał bowiem zasadę, że własnych trosk nie wolno składać na cudze barki. Zwłaszcza, jeśli są to barki najbliższej osoby. Zwierzenia nie leżały w naturze Hieronima, co uważała za dotkliwą wadę, natomiast imponował jej uporem. Nauka nie przychodziła mu łatwo, a mimo to - pracując jako ślusarz a potem brygadzysta - ukończył zawodówkę, na wieczorowych kursach zrobił technikum, co pozwoliło mu w Pewnusi dochrapać się posady mistrza.

Dwadzieścia lat! Najlepszy okres życia minął im na powszedniej krzątaniu, dom i praca, praca i dom, zaczęli wspólne bytowanie w biedzie dotkliwej, bez mieszkania i przyzwoitego odzienia. Gdy urodził się Piotruś, ze skromnych poborów starczało na mięso

tylko raz w tygodniu, ratowali żołądki smalcem i kaszanką, czasem od święta pojawił się na stole salceson i pieczony kurczak. Dopiero w ostatniej dekadzie, „za Gierka” -jak potocznie mawiano, zaczęło się rodzinie powodzić lepiej. Dostali mieszkanie spółdzielcze, umeblowali je przyzwoicie, starczało nawet na zagraniczne wczasy.

Piotruś pobiegł do kolegi, Śliwa wyciągnął nogi i zapalił fajkę. Przyglądał się, jak żona krząta się po mieszkaniu. Wydawało się, że bieg czasu nie ma na Teresę wpływu, wciąż była tak zgrabna jak wówczas, kiedy ją poznał, natrętne zmarszczki maskowała dyskretnym makijażem, włosy, przystrzyżone na chłopczycę, farbowała, by ukryć postępującą siwiznę. Miała ujmujący uśmiech, który odsłaniał drobne zdrowe zęby. Pogodne usposobienie wszakże zakłócały czasem napady depresji. Recytowała wówczas jednym tchem.

- Cóż ja mam z życia? Ty przynajmniej zajmujesz się swoją polityką, obracasz między ludźmi. Zdziczałam zupełnie w domowym kołowrocie. Wlazł w ciebie ponury samotnik, znajomych nie zapraszasz, żebym chociaż mogła trochę poplotkować. Na dancingu ostatni raz byliśmy przed dziesięcioma laty, karnawał dla ciebie nie istnieje. Czyś ty się kiedy zastanowił co myślę, co czuję? Porozmawiałeś tak od serca, żebym mogła z siebie wyrzucić trochę gorczy?

Musiał przyznać, że zdarzało się to dość rzadko. Żyli obok siebie. Był jednak przeświadczony, że jest dobrym mężem

i ojcem, dbał o dom także kosztem własnych wyrzeczeń i domagał się ich od innych. Skargi Teresy, chociaż zrozumiałe, raniły jego poczucie sprawiedliwości.

- Jesteś chodzącym katalogiem męskich wad.

- Jakieś szczątki zalet jednak we mnie tkwią, jeśli gorliwie ciągnęłaś mnie do urzędu stanu cywilnego.

- Zostawmy na boku kwestię, kto kogo ciągnął. Spodobało mi się, że nie jesteś ani dwulicowy, ani wyrachowany, ani niesprawiedliwy w ocenach ludzi. Wiesz, co przeważało szale? Dostrzegłam w tobie tę iskrę szaleństwa, która sprawia, że życie u boku takiego człowieka może obfitować w niespodzianki.

- I nie zawiodłaś się?

- Muszę przyznać, że niespodzianki sypnęły w nadmiarze. Te miłe i te przykre. Nie martw się, Hirus. Kłopoty przeminą.

Przygarnął ją do serca i nieskładnymi słowy złożył życzenia z okazji dwudziestolecia ślubu.

- Pamiętałeś? - zdziwiła się szczerze.

- W przedpokoju znajdziesz tort i szampana. Wypijemy jak wrócę. Muszę na chwilę

wyskoczyć do komitetu, wybacz.

Lektorem Komitetu Centralnego, który miał trzymać mowę na temat aktualnej sytuacji politycznej w kraju, okazał się przygarbiony jegomość o nerwowych ruchach, zakatarzony straszliwie; co parę zdań musiał wycierać swój organ powonienia, który wskutek tego posiniał jak nadgniła marchewka. Przemawiał długo i zawile, odmieniając przez wszystkie przypadki swoją nadzieję, że porozumiemy się, jak Polak z Polakiem”. Permanentne strajki uznał za rzecz godną ubolewania. Wspomnił mimochodem o błędach tudzież autokratyzmie ekipy rządowej. Takie pojęcia jak socjalizm, klasa robotnicza, nie istniały w jego słowniku. Ponieważ zaś nie dostrzegał także opozycji politycznej, świat przezeń zarysowany mało miał wspólnego z rzeczywistością. Owszem, występowały w nim pewne konflikty, lecz wyłącznie nieantagonistyczne, polegające na zwyczajnym nieporozumieniu. Ten jajogłowy jeszcze wierzył w moralno-polityczną jedność narodu, w którym sprzeczności zostały chwalebnie zlikwidowane na mocy ogólnego dekretu.

Potem zabrał głos sekretarz Góralski, z zawodu elektryk, szczupły mężczyzna z bródką przyciętą w szpic. Odczytał długą listę tych, którzy oddali legitymacje w ostatnich miesiącach, po czym rozpaczliwie rozłożył ręce:

- Towarzysze, jestem załamany. Mieliśmy w Trzydębach dwustu pięćdziesięciu członków. Ponad setka odeszła, część jest kompletnie bierna albo zastraszona. Co robić?

Śliwie zrobiło się żal człowieka i zgłosił się do dyskusji jako pierwszy,

- Nie ma co lamentować, sekretarzu. Wciągałiśmy na siłę różnych chłystków do partii, nikt ich o poglądy nie pytał, nawet nie sprawdzano, czy statut znają - to przy pierwszej okazji odpłynęli w siną dal. Nasze szczęście. Jeśli o dzisiejszy wykład chodzi, przepraszam za szczerość, prelegent nie wie, na jakim świecie żyje. Krach gospodarczy, rozpadają się struktury państwa, w społeczeństwie wrzenie, rozbiecie polityczne nawet ślepiec dojrzy, a tutaj towarzysz tryska optymizmem. Rozumiem, że tak ocenia sytuację również kierownictwo partii. Tylko się i płakać żeśmy do władz wybrali ludzi bez jaj i z wodogłowiem. Przekaż cię, towarzyszu lektorze, moją opinię do Warszawy. Dosłownie!

Dyskusja go nie interesowała, wszelkie argumenty jakie mogły paść na tej sali, słyszał już sto razy. Poszedł do domu. Przy szampanie było trochę wspomnień, potem w kinie nocnym obejrzeni głupawe straszedełko z diabłem w roli głównej.

Odrażająca włochata powłoka, fosforyzujące ślepie, żar bucha z mordy, aureola iskier krzesanych chwostem. Gdzie się pojawi, tam huraganowy wicher demoluje wnętrza, łamie drzewa, wywraca auta. Biada maluczkim, gdy wpadną w sieci, chytrze przez piekielnego wysłannika zastawione, nawet egzorcyzmy nie pomogą. Tylko trzydziestoletnia (?) dziewica

może złamać moc czartowską, szuka jej policja w całej Ameryce, lecz bezskutecznie. Cywilizacja chrześcijańska lada moment runie...

Nie doczekawszy happy endu, Śliwa wyłączył odbiornik i zauważył:

- Pouczające. Wreszcie telewidzowie będą wiedzieć, jak wygląda i działa monstrum, obecne w każdym kazaniu księdza Maciąga.

Projekcja wprowadziła go w dobry humor, zapomniał o dzisiejszych wydarzeniach. A gdy syn zasnął, zaczął podśpiewywać:

Chodź, chodź Malutka, zrobimy krasnoludka

A jak się uda, zrobimy krasnoluuuda...

Teresa, biorąc mężowskie słowa za dobrą monetę, zaczęła się szybko rozbierać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obmierzły rehot władcy ciemności. Ksiądz Maciąg do szturm uderzy. Okupacja szkoły, Lenin w zakrystii. Trzydęby dostają się na czołówki prasy światowej.

Ksiądz Maciąg, uporawszy się z problemami budowlanymi, rozejrzał się bacznie po parafii i zdjęła go zgroza. Ponad połowa dorosłych nie zaglądała do świątyni nawet raz w roku. Niewinne duszyczki maluczkich dostały się w łapy podejrzanego indywiduum, nomen-omen Ateusza, któremu sekundowała niejaka Piotrowska, żyjąca w grzesznym konkubinacie z weterynarzem. Starsza młodzież przechodziła obok, nie dostrzegając swego duszpasterza, a w najlepszym razie pozdrawiała świeckim „dzień dobry” zamiast pobożnym „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Szerzył się kult świętobójcy, Bolesława Śmiałego - miał już swoją ulicę, dęby, trafił do podręczników szkolnych. Fakt ten ksiądz Maciąg odczuwał jak osobistą zniewagę ponieważ to właśnie jego patrona, biskupa krakowskiego Stanisława, kazał król zarzącać w roku pańskim 1078, za co dostąpił wiekuistego potępienia, ofiarę zaś wyniesiono na ołtarze.

Uroczystość poświęcenia domu bożego uświetnił swoją obecnością sam biskup. Biły dzwony, kłoniły się przed ołtarzem sztandary, chór mieszany intonował Te Deum laudamus. Na drzwiach umieszczono tablicę: Kościół rzymskokatolicki pod Wezwaniem świętego Stanisława. W bocznej nawie pojawił się Olejny obraz, przedstawiający scenę męczeństwa, pędzla stołecznego artysty, który wprawdzie kazał sobie słono zapłacić, lecz nadał dziełu oczekiwaną wymowę. Król o ponurych rysach dzierżył miecz ociekający krwią, a za jego plecami rechotał z zadowolenia diabeł; święty natomiast miał oblicze wzniosłe, prawicę wyciągał ku niebiosom, skąd po jego duszę nadlatywali aniołowie.

Ulicami grodu przeszła imponująca procesja, a echo nabożnych pieśni dotarło nawet do uszu zatwardziałych grzeszników. Czcigodny doktor teologii przeżył swój wielki dzień. Odpocząwszy nieco, zabrał się do czynności organizacyjnych. Powołał Radę Parafialną i przeprowadził intensywne szkolenie jej członków, aby nie mieli najmniejszej wątpliwości, że zło zagnieździło się w organach władzy.

- Jak kraj długi i szeroki podnoszą się głosy protestu przeciw bezbożnemu reżimowi - mówił - azaliż nam wolno nie upomnieć się o prawa ludu bożego? Musimy spisać żądania i przedstawić je komu trzeba. Żądać, naciskać, domagać się, nie ustępować - oto metoda jedynie skuteczna.

W poniedziałek pięcioosobowa delegacja zjawiała się w ratuszu. Przewodniczył jej najstarszy z bednarzy Kuterskich, Antoni, a składała się z dwóch gospodyń domowych, nawiedzanej duchem apostołskim dentystki o imieniu Róża oraz ogrodnika Świderskiego. Lista z postulatami wylądowała na biurku.

- W porządku - powiedział naczelnik - rozpatrzemy punkt po punkcie. Bez zwłoki.

Posadził gości za stołem, kazał poczęstować kawą.

- Pierwsze: przemianować ulicę Bolesława Śmiałego na ulicę marszałka Józefa Piłsudskiego. Drodzy państwo, uchwałę taką musi podjąć Rada Miejska, ja wykonuję tylko jej polecenia. Drugie: wyciąć dęby na wzgórzu. Wykluczone, odkąd ustawę o ochronie przyrody uchwalił Sejm, obowiązuje ona wszystkich obywateli. Mnie, was i proboszcza też. A pan, panie Antoni, -może dębinę na beczki sprowadzić z nadleśnictwa. Trzecie: usunąć ze szkoły nauczycieli: Pokornego i Piotrowską. A dla-czegoż to, jeśli wolno spytać?

- Bezbożnicy! - wykrzyknęła dentystka, pąsowiejąc z emocji.

- Pani Różo, pacjent przychodząc z chorym zębem pyta, czy pani jest wierząca? Jego obchodzi tylko aby zabieg wykonany został fachowo. Zastanowiliście się, kto będzie uczył wasze dzieci, jeśli zwolnimy najlepszych pedagogów?

Delegacja milczała. '

- Jest jeszcze punkt czwarty: domagamy się wolności religii. Możecie wskazać choćby jeden przypadek, że komuś utrudniano praktyki religijne? A może ksiądz Maciąg miał kłopoty z budową kościoła? Nie? To powiedzcie mu, żeby przestał ludziom mącić w głowach.

Nie ulegało wątpliwości, że pierwszą rundę władza wygrała. Proboszcz wyciągnął stąd wniosek, iż dalsza rozgrywka wymaga mobilizacji opinii publicznej. Ton niedzielnych kazań stawał się coraz ostrzejszy, on zresztą wyżywał się w oratorskim kunszcie i nie zwykł hamować impetu doborem argumentów. Włosy zapuścił sobie na kark opadające, co w zestawieniu z ascetyczną twarzą i wyrazistą gestykulacją dawało mu natchniony wyraz.

Najbliższe kazanie poświęcił problemom lokalnym:

- Bracia w Chrystusie, spójrzcie na malowidło przedstawiające męczeństwo naszego patrona. Zabójca trzyma żelazo ociekające krwią, niewinnie przelaną. Hańba, po trzykroć hańba tym, co narzędzie zbrodni kazali umieścić na szyldzie spelunki, gdzie niektórzy z was trwonią ciężko zarobiony grosz. Zajazd Pod Mieczem - oto pomnik, który bezbożna władza wystawiła ohydnemu czynowi króla-świętobójcy. Azaliż myślicie, że szatan chichocze z zadowolenia tylko na tym obrazie? O nie! Obmierzły rehot władcy ciemności rozlega się dziś z różnych stron Trzydębów, a kolor jego czerwony, a znak jego sierp i młot, a gniazdo jego owe pnie zmurszałe, na urągowisko bogobojnym mieszkańcom sterczące tam, na

wzgórzu. Na wasze urągowisko, drodzy bracia i umiłowane siostry!

Następnej niedzieli zajął się sprawami ogólnokrajowymi:

- Gdy przemierzamy naszą piękną ojczyznę, ogarnia nas przerażenie. Oto nieczne moce usiłują przekształcić Polskę w dziki kraj bez Boga. Zamiast prawdy głosi się kłamstwo, zamiast wolności daje niewolę, zamiast miłości wpaja nienawiść, zamiast moralności szerzy nieprawość. Komuż, jak nie nam, przypadło w udziale bronić wiary świętej i postawić tamę ideologii marksistowskiej, która niby Lewiatan chce pożreć kraj od tysiąca lat katolicki? Ludu boży! Moźni tego świata usiłują doprowadzić nas do zniszczenia materialnego i nicości duchowej, a ty milczysz? Nie zasłonisz gorącym sercem niby tarczą swego Kościoła? Nie posłuchasz wezwania twych kapłanów? Biada nam, jeśli w potrzebie nie staniemy ramię przy ramieniu, a moce piekielne zwyciężą...

Kolejny popis oratorski sięgał w rejony wielkiej polityki O wymiarze globalnym:

- Spójrzmy na ten świat podzielony, mili bracia. Cóż dostrzegamy? Oto z jednej strony cywilizacja wyrosła w basenie Morza Śródziemnego, kolebce współczesnej kultury, orędowniczka wolności i demokratycznych swobód. Z drugiej strony barbarzyństwo nadciągające od wschodu i niosące pogardę ludzkiej indywidualności. Zaiste! Bóg pragnął nas doświadczyć niby nieszczęsnego Hioba, bowiem znaleźliśmy się w ponurym cieniu mrocznej siły, który wysysa z nas krew, chce zawładnąć umysłem, sięga pazurami po dusze naszych dzieci. Lecz nie upadajcie na duchu, bowiem powiedziane jest: poniżeni będą wywyższeni i zapanuje Królestwo Boże od oceanu do oceanu, od kontynentu do kontynentu, od Bieguna Północnego do Bieguna Południowego i jeszcze dalej. Amen.

Wielebny duszpasterz miewał wszakże przebłycki realizmu. Zdawał sobie sprawę, że samo słowo, choćby najbardziej podniosłe, nie wystarczy, gdyż owieczki odczuwają potrzeby nader prozaicznej natury. Trwała właśnie akcja nadsyłania darów kościelnych z zagranicy, więc zakrzętnął się u zwierzchników i niebawem z ciężarówek wyładowano do sali parafialnej paczki, skrzynie i worki z atrakcyjną zawartością. Zapowiedział radosną wieść z ambony, zaznaczając, że w pierwszym rządzie obdarowani, zostaną najgorliwsi wierni, następnie rodziny wielodzietne i osoby samotne, a być może również inni potrzebujący. Pod jego dyktando Rada Parafialna sporządziła listę, po czym kogo trzeba obdzielono. Na głowę wypadło pięć kilo cukru, tyleż mąki, nieco kaszy manny, puszka oleju oraz po kilogramie masła i smalcu. Aktywiści otrzymali dodatkowo pewną ilość czekolad, kawy i herbaty.

Kaznodziejska i organizacyjna działalność księdza Maciąga zaczęła przynosić owoce: społeczność trzydębska została przykładowo podzielona na bezbożników i wierzących. Co wszakże nie wyjaśnia wszystkiego, bowiem wśród ateistów rozróżniano członków partii,

spisanych na straty i niegodnych szacunku aroganckich wolnomyślicieli, którzy są narzędziem tych pierwszych; niedowiarków przypadkowych, rokujących jeszcze cię nadziei na powrót do owczarni. Wbrew pozorom podziały wśród ludu bożego okazały się bardziej skomplikowane. Najwyżej notowana kategoria to katolicy walczący słowem i czynem; za nimi osoby praktykujące regularnie i szczodre dla kościoła; dalej parafianie wprowadzicie praktykujący, lecz skąpi jeszcze dalej ci, co dom modlitwy odwiedzają od wielkiego dzwonu; na samym końcu zaś postacie dwuznaczne, takie co to wprowadzicie wiary się nie wypierają, ale w kieszeni noszą legitymacje różnych reżimowych stowarzyszeń. Każda grupa wymagała osobnego podejścia, tak więc - ustaliwszy fronty i taktykę - proboszcz ruszył do ataku.

Na pierwszy ogień miała pójść szkoła a na dowódcę akcji wyznaczył wikarego. I stało się, że Piotruś nie mógł wrócić do domu, gdyż pod koniec lekcji zjawił się ksiądz Pyrko z gitarą, w asyście kilku mężczyzn z emblematami Matki Bożej w klapach marynarki. Wnieśli okazały kufer pełen krucyfiksów. Zaraz też zbiegli się ministranci, zakładając pospiesznie na rękawy biało-czerwone opaski. Na komendę księdza wejścia zostały zamknięte i obsadzone pikietami. Manewr odbył się sprawnie, bez zbędnego rozgardiaszu, widocznie role zostały wcześniej przećwiczone. Gdy rozległ się końcowy dzwonek a korytarze wypełniły się dzieciarnią - duchowny wskoczył na krzesło i przemówił:

- Droga młodzieży! Zebraliśmy się tutaj, by izby szkolne ozdobić wizerunkiem Pana naszego, Jezusa Chrystusa, którego bezbożnicy próbują wypędzić z waszych serc. Zamanifestujemy w ten sposób naszą chrześcijańską wolę, naszą jedność z Kościołem Chrystusowym, nasz protest wobec sługusów szatana - to oni usiłują zatruwać wasze młode umysły jadem zwątpienia! Niech zawieszane na ścianach krzyże przypominają w każdej godzinie wołanie, które biegnie dziś przez całą Polskę: my chcemy Boga!

Brzęknęła gitara, popłynęła pieśń: My chcemy Boga Święta Pani, o usłysz naszych wołań glos... Śpiewali tylko członkowie chóru kościelnego, zwrotka po zwrotce; przy wtórce melodii przybysze wędrowali od klasy do klasy, w każdej zawieszając na ścianie krucyfiks.

Dyrektor Pokorny, powiadomiony o incydencie, posłał woźnego na piętro aby pozamykał drzwi, a sam zastawił drogę.

- Zabraniam! To naruszenie Konstytucji! Szkoła jest świecka!

Był wątłej postury; gdy natarła nań asysta duchownego, szansę w tej szamotaninie miał mizerne, zwłaszcza że stłoczeni w gromadę nauczyciele przyglądali się scenie biernie lub z aprobatą, a historyk nawet gorliwie wyciągał krzyże z kufra i podawał we właściwe ręce. Tylko matematyk, wysoki brodacz, nie wytrzymał. Jak pływak wiosłując ramionami przedarł się przez ciżbę, tego kopnął w kostkę, tamtemu łokciem w żołądek, a najbardziej

agresywnego dosięgnął prawym sierpowym. Wśród ciszy, która nagle zapadła, rozległ się głos księdza:

- Taaak? To my na przemoc fizyczną odpowiemy strajkiem okupacyjnym. Nikt nie opuści szkoły, póki krzyże nie znajdą się tam, gdzie powinny.

- Księdzu brak piątej klepki - wykrztusił Ateusz roztrzęsiony ze wzburzenia, stukając się znacząco w czoło. - A warunki sanitarne? Jeśli zdarzy się wypadek? Bóg będzie czuwał nad swymi owieczkami.

- Wątpię - rzekł matematyk - nie dał rozumu baranowi w sutannie, to może zapomnieć też o owieczkach.

- Heretyk! - na to ksiądz, wkładając w epitet bezmiar pogardy.

- Dziękuję za komplement - odparł matematyk.

Po wstępnej wymianie poglądów zaczęły się pertraktacje. Emocje nieco opadły, więc wytargowano kompromis: najmłodsze klasy, od pierwszej do piątej, pójdą do domu, a dyrektor wyznaczy dyżurnych nauczycieli, żeby pilnowali mienia państwowego. Do czasu rozpatrzenia konfliktu przez wyższe instancje, krzyże pozostaną w tych pomieszczeniach, gdzie zdążono je już zawiesić, a w zamian okupanci nie powtórzą operacji na górnych kondygnacjach budynku. Gwarantuje się wolny wstęp do szkoły wyłącznie nauczycielom oraz wybranym rodzicom uczniów, którzy zechcą wspomóc duszpasterską opiekę. Na czas strajku szkoła odda do dyspozycji salę gimnastyczną, ponieważ stamtąd jest dostęp do umywalni i toalet.

Maluchy pomaszerowały w domowe pielesze, starsza młodzież do sali gimnastycznej, która w razie potrzeby pełniła też funkcję auli, dlatego w magazynie na zapleczu chowano ławy. Wśród rozgardiaszu i przepychanki ławy zostały ustawione rzędami, znalazł się też stół, gdzie ksiądz Pyrko ustawił zaimprovizowany ołtarz: krucyfiks na białym obrusie, po bokach dwie świece w kandelabrach, w środku mszał. Scenografia gotowa, publiczność jest, można zaczynać.

Wyglądał na dwadzieścia pięć lat, zapewne niedawno ukończył seminarium duchowne. Trafił tam z zapadłej lubelskiej wioski, ta droga do awansu społecznego wydawała się może jemu, może jego rodzicom - najwłaściwsza. Wykładowcy umiejętnie zaszczepili święty ogień wiary, by mógł ruszyć na front walki z ateizmem. Chciał zasłużyć się dla sprawy, więc zaczął przejawiać nadmierną gorliwość, która wpierv znajdowała ujście w kazaniach, by w końcu eksplodować w czynie bardziej widowiskowym. Poza tym był chłopcem całkiem sympatycznym - nosił długie czarne włosy, uśmiechał się serdecznie, uprawiał sport, no i ta gitara, towarzysząca mu od lat szczenięcych, z której teraz uczynił

instrument służby bożej.

Ksiądz Pyrko na przemian zanosił modły, udzielał maluczkim pouczających nauk lub intonował przy wtórze gitary nabożne pieśni - a Piotruś kuczał skulony w kącie korytarza, za drewnianą donicą rododendronu. Kryjówka była niewygodna. Przełamując strach przez wydarzeniami, których sens jeszcze doń nie docierał, postanowił uciec. Ale jak? Okna korytarza budowniczy umieścił zbyt wysoko, zaś straż przy drzwiach pełniło dwóch mężczyzn. Złapią, odstawią do sali gimnastycznej. Chyba przebojem. Drzwi zakluczone, trzeba wybić szybę. Czym, gołą ręką?

Pokombinował trochę, znajdując rozwiązanie: blaszany kosz na śmieci. Stał naprzeciw wejścia, tuż przy klatce schodowej. Żeby tam dojść, musiał przemierzyć długi korytarz po parkiecie, nie tłumiącym kroków. Jedna szansa na sto, że go nie zauważą. A gdyby tak...

Uśmiechnął się do swoich myśli. Wylazł zza donicy: parę przysiadów, by rozprostować ścierpnięte nogi. Potem ruszył biegiem, tupot butów grzmiał mu w uszach jak wystrzały. W połowie drogi zaczął krzyczeć:

- Pali się! Pali się! Tam!

Pokazywał za siebie, a kosz coraz bliżej. Pikieta strajkowa w pełnym składzie pobiegła w przeciwnym kierunku. Wówczas ucapił blaszane pudło i z rozmachem rzucił w oszklone drzwi. Szyba rozleciała się z takim trzaskiem, iż umarłego by obudził. Kątem oka dostrzegł, że tamci wracają, więc z rozpędu rzucił się szczupakiem w zbawczą dziurę, chroniąc dłońmi głowę. Padł po drugiej stronie na betonowy podest.

Zerwał się natychmiast i zaczął uciekać, utykając. Stłukłem sobie kolano - pomyślał. Ponieważ nikt go nie gonił, przystanął za zakrętem by tchu złapać i wtedy dostrzegł, że lewą dłoń ma we krwi. Rękaw koszuli był rozdarty, widocznie trafił na ułamek szkła tkwiący w drewnie; rozciął mu skórę przedramienia na całej długości. Przyłożył chusteczkę do rany połykając łzy jak maluch, a nie ośmioklasista, który tego feralnego dnia miał obchodzić swoje czternaste urodziny.

Śliwa spotkał syna w połowie drogi do szkoły; zatrzymał taksówkę, zawiózł go na pogotowie. Rana okazała się dość głęboka i lekarz musiał założyć kilka szwów. Zbadał chłopca, na szczęście poza siniakami innych obrażeń nie stwierdził. Wrócili do domu. Małeńka widząc bandaż zaczęła lamentować, sypnęła pytaniami. Mąż zreferował sprawę zwięźle:

- Ten młody klecha urządził w szkole strajk. Próbował zawiesić krzyże. Piotruś wybił szybę i prysnął, ot wszystko.

Zapłonęły świece na imieninowym torcie. Po odśpiewaniu solenizantowi „Sto lat”,

gdy deser został rozdzielony, Śliwa podniosłym tonem wygłosił orację, zwracając się do Teresy:

- Szanowna pani, od dziś masz pod dachem dwóch mężczyzn. Bo młody człowiek staje się mężczyzną nie wtedy, gdy przechodzi mutację, nie wtedy gdy wąż zaczyna mu się sypać, lecz wówczas, gdy w trudnych okolicznościach podejmie samodzielną decyzję, świadom wszystkich konsekwencji, jakie mogą go spotkać. Tak postąpił dzisiaj nasz syn i jestem z niego dumny. Zdrowie Piotrusia! Niech rośnie ojczyźnie na chwałę a rodzicom na pożytek.

Długo w noc rozważał Śliwa sytuację. Był spokojny; zazwyczaj pewne wydarzenia wytrącały go z równowagi, krążył wtedy po pokoju jak lew po klatce i wymyślał, nie, dobierając słów. Teraz jednak decyzję podejmował z rozważą, świadom jej następstw. Kościół okupuje szkołę, czemu by nie odpłacić się pięknym za nadobne? Mogę liczyć na Raka, ale kogo jeszcze zaagituję? Kto się odważy?

Odważył się brygadzysta Benjamin. Wołano go Ben, był rudowłosym drągalem, który o klerze i dogmatach wiary wyrażał się bez należytego szacunku. Przyczyny uprzedzeń należało by szukać w jego życiorysie. Otóż zawarł ślub kościelny z niejaką Pelagią, nadobną siostrą ogrodnika Świderskiego, która - jak się poniewczasie okazało - zwykła obdarzać swymi wdziękami nie tylko męża. Wpadłszy na trop wiarołomności, wystąpił o rozwód, którego też w obliczu niepodważalnych faktów sąd mu udzielił. Wówczas chytre dziewczę oświadczyło, że ma gdzieś decyzję władzy świeckiej, co Bóg związał tego człowiek nie może rozwiązać. I odmówiła opuszczenia wygodnego mieszkania. Co więcej, zaczęła sobie gachów sprowadzać pod wspólny dach i życie brygadzysty zamieniła w piekło.

Usłyszawszy rozmowę majstra z biuralistą, ich plan zatracający o świętokradztwo, zatarł Ben łapska wielkie jak łopaty, i oświadczył, że przyłącza się natychmiast i bez zastrzeżeń. Podjął się też wymalowania stosownego transparentu, miał bowiem w domu zbędne prześcieradło i czerwoną farbę.

Nazajutrz ruszyli do kościoła. Budowla mogła imponować: wieża przypominała raketę na rampie startowej, a kryty blachą miedzianą dach wyglądał jak skorupa małża w krainie liliputów. Zakrystia mieściła się w przybudówce z osobnym wejściem; wkroczyli do środka z godnością lecz stanowczo. Ksiądz Kurowski, siwy staruszek, oderwał się od lektury „Tygodnika Powszechnego”.

- Mamy przykrą wiadomość dla księdza. Rozpoczynamy strajk. Tutaj, w zakrystii - powiedział Rak.

Popatrzył na nich uważnie wyblakłymi źrenicami. Rudzielec rozwinął płótno, gdzie

czerwone litery głosiły: Protestujemy przeciwko okupacji szkoły! Poniżej, nieco drobniejszym pismem: Strajk głodowy.

- Ach, o to chodzi? Wiedziałem, że będą kłopoty. Niestety, odkąd przybył tu ksiądz doktor Maciąg, on rządzi parafią. Ja przechodzę na zasłużoną emeryturę.

Śliwa przystawił sobie krzesło, włożył na nie, młotkiem dobytym z kieszeni wbił w boazerię gwóźdź. Zawiesił także portret Lenina w jasnej ramce. Krzesło odstawił na miejsce.

- Chyba ksiądz nie ma nic przeciw Leninowi? - zapytał. Człowiek był uczciwy, prowadził się moralnie. Nawet ślub ze swoją Nadieżdą brał w cerkwi.

Staruszek zignorował pytanie. Złożył starannie tygodnik, okulary schował do futerału.

- Panowie, jak widzę, stosują w praktyce słowa Mickiewicza: Niech gwałt się gwałtem odciska. Jak długo? Mam na myśli strajk.

- Aż ten hunwejbini Pyrko zostanie odwołany ze szkoły.

- Kto go posłał, ten może odwołać.

- Możemy liczyć na zawiadomienie proboszcza?

- Oczywiście. Jest moim obowiązkiem...

Do księdza my pretensji nie mamy. Parafianie księdza szanują. Partyjni też. Są tutaj jakieś cenne przedmioty?

- Nie ma. Od zeszłorocznego włamania trzyma się wszystko w sejfie na plebani.

- W porządku. Te drzwi prowadzą do prezbiterium? Tak.

- Proszę zamknąć je na klucz, żeby nie było gadania iż znieważamy dom boży.

Ksiądz Kurowski przekręcił zamek i podreptał do wyjścia. Z dłonią na klamce odwrócił się.

- Z tą awanturą w szkole nie mam nic wspólnego, |i - Wierzymy - pokiwał głową Rak.

Gdy zostali sami, milczący dotąd Ben zauważył:

- Co za historia! Wydawało się, że wymyśliliśmy coś oryginalnego, a tu słyszysz, że w zeszłym wieku poeta już wszystko zdążył opisać.

Wyszli na zewnątrz. Rak wspiął się na barki majstra i sznurkiem umocował transparent do ceglanego ornamentu. Potem zabarykadowali na wszelki wypadek drzwi. Śliwa poczuł się zmęczony, legł na skrzyni, gdzie trzymano szaty kapłańskie, a koledzy zaczęli rżnąć w oczko.

Noc minęła spokojnie, za to rankiem zrobiło się wokół gwaro. Na plac zjechały auta ekip telewizyjnych, zaroilo się od reporterów, na chodnikach gromadzili się gapię. Bez przerwy ktoś się dobijał wykrzykując to po niemiecku, to po francusku, to po angielsku. Posilili się bez pośpiechu przyniesionymi z domu wiktuałami, mszalnym winem popili,

którego butelkę Ben znalazł w kącie.

- Teraz możemy gadać - zdecydował Śliwa - Adam popisze się angielszczyzną.

Tylko zrób głodową minę!

Otwarli na oścież drzwi i wraz błysnęły dziesiątki fleszów, zaszumiały kamery, mikrofony wepchały się do środka. Rak nie nadązał odpowiadać na pytania.

- Jesteście komunistami?

- Należymy do PZPR.

- Który komitet was przysłał?.. - Żaden. To nasza inicjatywa.

- Czego żądacie?

- Wolności przekonań. Nie chcemy ulegać szantażowi kleru.

- Co sądzicie o strajku w szkole?

- Ordynarna prowokacja. Ksiądz Pyrko próbuje z Polski zrobić drugi Iran, rządony przez katolickich ajatollahów.

- Nie obawiacie się, że wasz krok może spowodować zamieszki?

- Nie. Wierzymy w rozsądek rodaków.

- Jak długo zamierzacie okupować zakrystię?

- Do skutku.

Wieści, groteskowo wyolbrzymione, zniekształcone, poleciały w świat. Wieczorem na księżowskim odbiorniku złapali rozgłośnię Wolna Europa; dawała właśnie przegląd doniesień agencyjnych. Komuniści okupują kościół w Trzydębach. Nowa prowokacja służby bezpieczeństwa. Reżim zdecydował się na konfrontację. Nagłe zaostrzenie stosunków między państwem a Kościołem. Ostatnie wydarzenia świadczą, że w partii zaostrza się walka między liberałami i dogmatykami. Masowe protesty napływają z całego kraju. Lech Wałęsa potępił naruszenie eksterytorialności Kościoła. Spodziewane jest specjalne oświadczenie rzecznika Episkopatu. I tak dalej, przez całą godzinę.

Rudzielec nastawił muzykę: Warszawa oferowała melodie łatwe i przyjemne w stylu retro - tango milonga, tango mych marzeń i snów. Przez otwarte okno napływało wiosenne powietrze, przesycone zapachami kwiatów. Gdzieś na drzewie gruchały gołębie. Idylla. Rak przeanalizował wpływ wydarzeń na swoje życie rodzinne i westchnął:

- Ale narozrabialiśmy! Stara łeb mi zmyje, ona biega na plebanię po paczki z darów kościelnych. Teraz skreślają z listy.

- Koledzy, pierwsze zwycięstwo w tej potyczce już odnieśliśmy - powiedział brygadzysta - zgarnęło się Pyrce wiatr z żagli. Gdyby nie my, jemu by zrobili klakę. Już słyszę te szczekaczki...

Kroczył od ściany do ściany, wymachując potężnymi łapskami, kiwał rudą czupryną i stroił miny, przedrzeźniając wolno-europejskiego spikera:

- Batalia z bezbożnym reżimem trwa. Młodzież Trzydębów pod przewodnictwem swego bohaterskiego katechety, księdza Pyrko, żąda Boga w szkole. Komunistyczny rząd bezradny wobec niezłomnej woli społeczeństwa. Czy bezpieka stłumi siłą bunt uczniów? Chwieje się główny filar narzuconej Polsce władzy - świecka szkoła. Masowe wyrazy poparcia napływają z całego kraju. Lech Wałęsa przesłał depeszę gratulacyjną na ręce księdza Pyrki. Dziś oczy świata zwrócone są na niepozorny budynek szkolny w prowincjonalnym miasteczku, który urasta do rangi symbolu walki z tyranią. Drogie polskie dzieci, jesteśmy z wami!

- Zgadza się - powiedział Śliwa - tak by wyglądało wróżenie z fusów przez demokratyczne środki przekazu, które jak wiadomo mówią prawdę i tylko prawdę.

Przesiedzieli w zakrystii jeszcze trzecią dobę. Pod osłoną nocy podkraść się do okna Piotruś; przez lufcik podał chleb, pieczonego kurczaka, parę butelek piwa, by w dobrej kondycji doczekali ranka. O wschodzie słońca zjawił się starowina.

- Chciałem panów zawiadomić, że dzisiaj lekcje będą wznowione. Młody pomocnik księdza Maciąga został w trybie nagłym urlopowany.

- Bardzo słusznie! - rzekł Śliwa uśmiechając się półgębkiem. - Staraliśmy się nie narobić tutaj bałaganu. Chłopaki, W drogę!

Kiedy już zwinęli transparent, śmieci zapakowali do siatki, a on portret Lenina wziął pod pachę - wyciągnął dłoń do księdza Kurowskiego.

- Proszę się nie dziwić...

- Synu - odparł emerytowany proboszcz - jestem za stary, żeby dziwić się czemukolwiek na tym rozwichrzonym świecie. Pożegnał się bez urazy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Znikająca bestia. Biuralista Rak próbuje naprawić świat. Ślepotą dyrektora Pewnusi. Doktor teologii demaskuje piekielne zwierzę.

Dojrzały wiek Adama Raka przypadł na schyłek owej pięknej epoki, w której królowały chwytliwe hasła: Bogaćcie się i Polak potrafi, w prasie odmieniano przez wszystkie przypadki moralno-polityczną jedność narodu, a Polska rosła w siłę i ludziom żyło się dostatniej. Ściślej mówiąc, jednym żyło się coraz dostatniej, a innym coraz gorzej. Jeśli zaś o siłę chodzi, to przypominała ona balon rozdęty miliardowymi pożyczkami, które dzieci i wnuki będą spłacać do - za przeproszeniem - osranej śmierci. Tego jednak Adam Rak ani wiedział, ani się domyślał. Był człowiekiem nieprzyzwoicie przeciętnym. Wzrost średni, twarz banalna, wykształcenie nijakie, charakter bez wyrazu, horyzont myślowy umiarkowany. Szatyn o piwnych oczach, żonaty, ojciec dwojga dzieci, właściciel mieszkania dwupokojowego w nowym bloku i malucha bez garażu. Żadnych zainteresowań poza telewizją, stosunek do pracy bezpłciowy, natomiast do alkoholu życzliwy. Można podejrzewać, że niemiłosierny Stwórca ustawił między Odrą a Wisłą sztance i tłucze bez umiaru samych Raków.

Powyzsza charakterystyka jest niesprawiedliwa. Owszem, wstąpił do PZPR z czystego oportunistu, lecz z biegiem czasu zaczął dostrzegać w programie partii pewne pozytywy, za którą warto było nadstawić karku. Powszechnie świadczenia socjalne, dostępne dla wszystkich warstw szkolnictwo, brak bezrobocia, tanie mieszkania i tak dalej. Prawda, że ochrzcił dzieci i chadzał do kościoła, gdy jednak dewocja małżonki przekroczyła granice tolerancji, zbuntował się i zerwał więzy z parafią. Przyznać również trzeba, że strawę duchową czerpał z lektury klasycznej beletrystyki, nie poprzestając na telewizyjnej papce. Jednym słowem jego charakter ulegał zmianom w czasie, krystalizował się w walce sprzeczności, których życie zwłaszcza w latach 1980-1981 nie szczędziło.

Miał Adam pewną sympatyczną cechę: lubił zwierzęta, choć z uwagi na miniaturowe rozmiary mieszkania uczucie to funkcjonowało na odległość, zdalnie sterowane, jeśli się można tak wyrazić. Czasem pogłaskał kota na podwórku, przebiegającemu psu rzucił patyk, zimą dokarmił ptaszki, lecz żadnej żywiny w domu nie trzymał. Tylko przypadek sprawił, że zmuszony był spojrzeć na problem z bliższej, niejako dotykanej perspektywy.

Wracał kiedyś ze spaceru, wesoło podśpiewując, bo dzień słoneczny i nieoczekiwana premia w portfelu - a tu coś ociera się o nogawkę i pomiaukuje. Patrzy - niby kot, ale

większego kalibru; maść prążkowana, więc chyba nie kot; morda bezczelna, wąs gęsty, kły jak nie przymierzając u buldoga. Na pewno nie kot. Stworzenie łeb zadziera, w oczy popatruje i tak łaszac się przymilnie podąża krok w krok za Adamem, pod sam dom.

- Gdzie ja będę ciebie trzymał w tej naszej dziupli na szóstym piętrze - perswaduje Rak - idź sierotko swoją drogą,

- Miauuu, miau miau.

- Samym mlekiem nie wyżyjesz, bidulinko, a z mięsem kłopoty.

- Miiiiau!

- Myszy w bloku brak, a zresztą diabli wiedzą czy byś je żarł.

- Miau mi...

Tak gawędząc a przekomarzając się weszli do windy. Przy drzwiach jednak niby-kot przepadł bez śladu. Odetchnąwszy z pewną ulgą, Adam wkroczył do mieszkania. Zjadł obiad, to znaczy łykowatą kurę z ziemniakami, popił kompotem i bez entuzjazmu przepisał starszą pociechę z lekcji. Jeszcze musiał wysłuchać codziennej porcji narzekań żony, tym razem na temat opieszałego załatwiania wczasów w Bułgarii. Połowicę los mu wyznaczył urodziwą, lecz gderliwą nad wyraz; pomiatanie rodzajem męskim wyszała z mlekiem matki. Odetchnął z ulgą, gdy wyniosła się do kuchni; mógł wreszcie zająć się gazetą. Chce sięść w fotelu, a tu dziwne zwierzę rozwała się na jego miejscu i pomrukuje zadowolone.

- Którędyś wlaź, kocurze? - zdziwił się. - Oj, dostanie nam się, bo Ania dziś wstała lewą nogą. Gdy poznasz ją bliżej, będziesz zmykał, gdzie pieprz rośnie.

To coś pokręciło łbem ze zrozumieniem, więc pogłaskał sierść jedwabistą, a elektryzującą jak sztuczne tworzywo.

- Wstawię się za tobą.

Napełnił talerz mlekiem; w okamgnieniu był pusty. Zgarnął resztki z obiadu; zniknęły natychmiast, nawet chrupania kurzych kości nie usłyszał. Oho - pomyślał - zgłodniało nieboractwo.

- Umówmy się: będę cię wołał Kubuś, dobrze? Żona wróciła i zaczęła demonstracyjnie sprzątać.

- Słuchaj, Aniutka, przydałby nam się kot.

- Zwariowałaś? Żeby mieszkanie zapaskudził?

- Miłe zwierzę. Dzieci się ucieszą.

- Nigdy! A może już przywlokłeś jakąś pokrakę?

- Właśnie..

- Gdzie jest?

- Wlaził pod kaloryfer.

Z miotłą w garści ruszyła do ataku. Intruza wszakże nie znalazła, chociaż przetrząsnęła każdy kąt.

- Kpiny sobie ze mnie urządzasz?

Wzruszył ramionami i wsadził nos w gazetę. Nie ulegało wątpliwości, że stworzenie posiadało cudowną umiejętność znikania w chwili zagrożenia. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że może pojawić się w niestosownych momentach, co mogłoby wywołać lawinę komplikacji. Należało je nieco wytresować.

Po pewnym czasie starania Adama odniosły skutek. Kubuś materializował się, gdy tylko zabrzmiało jego imię, a przepadał bez śladu na rozkaz: znikaj! Rósł szybko i okazało się niebawem, że Rak zafundował sobie tygrysiątko, tygryska, w końcu tygrysa długiego półtora metra (nie licząc ogona) i wyglądającego nader groźnie. Zwierzę okazało się mało absorbujące, a w miarę przybierania na wadze, wręcz samowystarczalne: przeszło na wikt pozadomowy. Czym i gdzie się żywiło, Bóg wie. Przywiązało się do tego stopnia, że towarzyszyło Adamowi nawet w podróżach służbowych do odległych miejscowości. Każde słowo pana było dla niego zrozumiałe, a polecenia wypełniało z wyraźnym zadowoleniem, czego dowodem radosne pomruki i merdanie ogonem. Oczywiście chwost poruszał się nie w poziomie jak u psa, tylko w górę i w dół; czasem walił o podłogę niby w bęben, aż echo tego tam-tamu rozchodziło się po okolicy.

Adam przywykł do dziwnego zjawiska, ponieważ, jak wiadomo, są na ziemi sprawy, o których się nikomu nie śniło. Rychło też wyciągnął wniosek, że powstały sprzyjające okoliczności, z których powinien skorzystać. Byłby durniem, gdyby nie skorzystał, zachowując daleko posuniętą ostrożność. Jako człowiek przezorny, przed wypłynięciem na szersze wody postanowił przeprowadzić pewne eksperymenty w najbliższym otoczeniu. Okazji nie brakowało. Kiedyś małżonka miała wyjątkowo zły dzień i zaczęła bluzgać nieprzystojnie:

- Ty fajtłapo! Inni się bogacą, a ty przynosisz żalospną urzędniczą pensyjkę i chcesz, żebym była szczęśliwa? Niedojdo zatracona!

- Ależ Aniu, jestem uczciwym człowiekiem.

- Jesteś dupą wołową, popychadłem, beztalenciem!

- Kubuś - zdenerwował się Rak.

Tygrys pojawił się na kanopo-tapczanie. Przeciągnął się leniwie, ziewnął i wlepił żółte ślepie w panią domu. Oniemiała, zbladła, szczęka zaczęła jej kłapać.

- Proszę, kontynuuj - powiedział ze złośliwą satysfakcją. Wrzasnęła przeraźliwie,

zanosiło się na atak hysterii.

- Bądź cicho, skarbie, bo cię pożre. Wygląda na zgłodniałego. Omdlała osunęła się na fotel. Tymczasem zwabione krzykiem przyleciały z sąsiedniego pokoju dzieci.

- Jaki śliczny kotek! - zawołała córeczka i dalej głaskać bydlę po łbie, a trzyletni Kazik uczepił się ogona i usiłował wleźć na tapczan.

- Znikaj! - rozkazał ojciec.

Po chwili tylko wymięte poduszki świadczyły o obecności Kubusia. Przyniósł szklanekę wody. Chlusnął żonie w twarz. Pogroził palcem, zaglądając w oczy, gdzie kotłowała się panika.

- Jeśli jeszcze raz otworzysz swoją niewyparzoną japę, umyвам ręce. On schrupie cię w trymiga. Więcej szacunku dla ślubnego, babo.

W tym czasie mieszkanie zaczęło bezlitośnie obnażać wszelkie usterki budowlane. Paczył się parkiet, przeciekały rury, wiatr dął nie dopasowanymi oknami. Po bloku krążyła ekipa remontowa, która za słońną opłatą naprawiała własną fuszerkę. Również do Raków wkroczyli trzej bezczelni faceci w kombinezonach. Adam wskazał co i jak, po czym nieśmiało zapytał o cenę usługi.

- Bierzemy po dwa tysiące. Jak za darmo, szefuniu.

- Dobrze.

Uwinęli się w jedno popołudnie, animuszu dodawało im Piwo, które w charakterze premii musiał przynieść ze sklepu. Obmywszy się nieco, wyciągnęli prawice po swoją dolę.

- Panom należy się sześć kawałków - oświadczył Adam - a straty własne, poniesione wskutek waszego partactwa, ocenilem na piętnaście tysięcy. Z prostego rachunku wynika, że płacicie mi dziewięć tysięcy, po trzy od łebka.

- My?!

- Oczywiście. I posłuchajcie, drobni szachraje. Naprawicie bezpłatnie, podkreślam - bezpłatnie, wszystkie usterki w tym bloku, bo jeśli nie... Kubuś!

Tygrys odciął cwaniakom drogę do drzwi. Parsknął gniewnie, obnażając kły. Ogonem bił o podłogę.

- Kubuś, zbierz należność.

Chwytał zębami banknoty z rozdygotanych palców fachowców, którzy stłoczyli się w kącie, półprzytomni ze strachu, pobladli. Rak przeliczył pieniądze i wskazał drzwi:

- Won!

Poklepał tygrysa po karku i roześmiał się:

- Dobry Kubuś! Aleśmy ich rozumu nauczyli, co?

Przyszła kolej na złodziei, którzy odwiedzali każdy nowo zasiedlony dom, zanim mieszkańcy zdolali się poznać i zorganizować samoobronę. Panowała dokuczliwa grypa i Rak przed południem został sam w mieszkaniu. Łykał pigułki, co godzina płukał gardło, a nudę zabijał czytając Kubusia Fatalistę. Od pewnego czasu była to jego ulubiona lektura, ponieważ widział uderzające podobieństwo swego pechowego losu i perypetii bohatera książki. Na dzwonek u drzwi nie zareagował, zagłębiony w opis pewnej sceny miłosnej. Dopiero gdy usłyszał odgłos wytrycha w zamku, uniósł się w łóżku, obserwując z zaciekawieniem bieg wydarzeń. W przedpokoju rozległy się ciężkie kroki. Po chwili miał przed sobą ponure indywiduum o zarośniętej gębie, z workiem w jednej łapie a nożem w drugiej:

- Witam - powiedział - przyszedłeś rabować? Co najmniej pięć lat ciężkiego więzienia za napad z bronią w ręku.

- Gdzie forsa? Gdzie trzymasz dolary?

- A złoto cię, obwiesiu, nie interesuje?

- Może być złoto. Oddasz dobrowolnie, czy mam pomęczyć?

- Wolisz krugerandy czy raczej sztabki?

- Wszystko.

- To sobie weź. Z banku, przy alei Wolności numer 18.

- Gardło poderżnę! - ryknął drab rzucając się w stronę łóżka.

- Kubuś!

Tygrys złapał rękę uzbrojoną w nóż; trzasnęły kości. Uderzeniem łapy powalił opryszka na wznak i przysiadł na nim. Złodziej charczał, Kubuś oblizywał się łakomie, a Adam, powstawszy z łoża boleści, przyglądał się scenie z satysfakcją.

- Wolisz siedzieć czy być zakąską dla mojego zwierzaka? Wybieraj.

Odpowiedział mu nieartykułowany bulgot; od włamywacza biła fala smrodu.

- Wynieś go, Kubuś, na śmietnik.

Tygrys pochwycił napastnika wpół i ruszył ku drzwiom, roztrącając sprzęty. Ładunek nie mieścił się w futrynie; najpierw próbował przepchać go na siłę, waląc nogami i głową o ścianę, potem jęczącego z bólu chytrze przesunął bokiem i wy dostał się na klatkę schodową. Adam otworzył okno.

Wkrótce ujrzał zwierzę wlokące draba przez podwórko. W piaskownicy bawiły się dzieci, lecz zdawały się nie dostrzegać Kubusia. Natomiast ujrzał go milicjant; odskoczył przestraszony parę metrów i zaczął mocować się z kaburą.

- Znikaj! - krzyknął Rak.

Tygrys nic, dalej taszczy złodzieja w stronę śmietnika. Milicjant już wyciąga pistolet.

- Znikaj, do cholery!

Tygrys rzuca wierzgający tłumok między kubły i już go nie ma. Teraz oprych na czworakach pielgrzymuje do stóp władzy i skamle:

- Zamknijcie mnie, ja obrabiałem mieszkania, zamknijcie mnie natychmiast! Litości, bo ten diabeł zagryzie...

Adam zdenerwował się. Ochłonawszy nieco, zaczął rozmyślać. Fakt pierwszy: Kubuś nie może zniknąć gdy ma kontakt z materialnym przedmiotem. Fakt drugi: jedni tygrysa widzą, inni nie. Dlaczego? Czym wytłumaczyć ten fenomen? Jaki z dzisiejszych obserwacji powinien wyciągnąć praktyczny wniosek? Niestety, znalezienie odpowiedzi przekraczało możliwości jego umysłu. Zamknął okno. Zegar wybił godzinę, więc trzeba połknąć dawkę antygrypiny, popić herbatą i do łóżka.

Pogłoski o grasowaniu tygrysa w tutejszej dzielnicy rozeszły się szybko. Trwało śledztwo, milicja poszukiwała naocznych świadków, tajniacy krążyli od domu do domu, wypytyując mieszkańców. Bezskutecznie, Poza relacją złodzieja i posterunkowego, który go ujął, dysponowano jedynie mało precyzyjnym anonimem:

Rak Adam trzyma w domu tygrysa i szantażuje bestią uczciwych rzemieślników, co stanowi zagrożenie dla życia i zdrowia oraz spokojnej pracy ku chwale ojczyzny.

Dzielnicowy, kapral Józwiak, wybrał się do domniemanego gniazda zwierza. Był człowiekiem odważnym, lecz na wszelki wypadek na schodach odbezpieczył pistolet. Zadzwoił. Adam, w piżamie, uchylił drzwi, a widząc mundur spieszył się jakby.

- Do mnie?

- Służbowo, panie Rak.

- Proszę wejść.

- Mogę dokonać oględzin mieszkania?

- Oczywiście. Spekulacją się nie zajmuję, handlem walutami też nie.

Kapral, zachowując konieczne środki ostrożności, z bronią na podorędziu, zajrzał do wszystkich pomieszczeń. Nieco dokładniej zlustrował zwłaszcza wannę.

- Zwierząt domowych nie hodujecie?

- Jak widać, nie.

- A dzikich?

- To znaczy?

- Na przykład małpy. Albo krokodyla. Albo tygrysa.

- Ani mi to w głowie, panie władzo. Żona by nie pozwoliła. Zresztą czym miałbym je karmić? Małpiszon wtrząchnie podczas jednego posiedzenia kilo bananów, których z braku

dewiz kraj nie importuje.

- Hm. Wpłynął anonim na pana, panie Rak. Proszę przeczytać. Adam rzucił okiem i uśmiechnął się.

- Nie domyśla się pan kto to mógł napisać?

- Domyślam się? Ja wiem na pewno, panie dzielnicowy. Kiedyś zawitali w me skromne progi trzech cwaniacy. Miałem im zapłacić poważną kwotę za usunięcie usterek budowlanych. Oburzyła mnie podobna bezczelność. Lokator ma bulić za usługę, którą ich psim obowiązkiem jest wykonać za darmo, sami przecież robotę sknócili. Mam rację?

- Oczywiście, panie Rak.

- Zwymyślałem łobuzów i wyrzuciłem za drzwi.

- To by tłumaczyło anonim. Są jednak jeszcze dwaj świadkowie na okoliczność tygrysa.

- Zeznania bandziora mogą być wiarygodne? Wątpię. A pański kolega, o ile mi wiadomo, nie przebywał na służbie?

- Zgadza się. Miał dzień wolny.

- To i wypić miał prawo, służba ciężka. Zresztą ludzie dziś różne rzeczy widują: a to znaki na niebie, a to Matkę Boską zstępującą ku ogródkom działkowym, a to archaniola Michała walczącego z czerwonym smokiem pod kościołem. Ja, broń Boże, niczego nie sugeruję...

- Rzeczywiście - powiedział milicjant zegnając się - życie staje się coraz bardziej skomplikowane.

Wykurowawszy grypę, Adam udał się do pracy. Na swoim biurku zastał maszynopis referatu, przygotowanego przez szefa z okazji narady produkcyjnej. Energiczny dopisek alarmował: Pilne! Natychmiast przeczytać i zgłosić uwagi. Rak oddał się lekturze; to i owo podkreślił czerwonym ołówkiem, na marginesie postawił kilka znaków zapytania i wykrzykników. Po czym zgłosił się u dyrektora.

- I cóż, panie kolego? Podoba się? Ujmuje sedno sprawy? - szef zacierał dłonie, oblicze promieniało, a w uszach ćwierkały mu skowronki samozadowolenia. Był sangwinikiem.

- Jakby to rzec, panie dyrektorze - zaczął ostrożnie Adam. - Referat jest do bani, a sedna sprawy w ogóle brak.

- Chyba pan przesadził z krytyką. Rozumiem, zaczyna się moda na opluskwanie zwierzchników, ale żeby do tego stopnia?

- Pozwolę sobie uzasadnić...

- Myślę.

- Co znaczy „wyłoniły się trudności obiektywne”? Trzeba napisać, że maszynista Bukowski spił się podczas pracy i uszkodził tłocznię, wskutek czego, zabrakło do planu pięćset różowych nocników zamówionych przez resort przedszkoli. Jak rozumieć zdanie: tu i ówdzie wystąpiły pewne uchybienia? Zła technologia, którą opatentował inżynier Kajdyr, a którą reklamowaliśmy jako sensację na skalę europejską - dała w efekcie naczynia pierwszej potrzeby z dziurami, a tych nikt nie chciał kupować. Mamy magazyny zawałone nocnikowym szmelcem, ot co. Nie wspomnę już o dozometrze; jest wiecznie Zapchany, czeka remontu od początku świata, a tymczasem Wypuszcza produkt w ciapki jadownicie zielone, co powoduje notoryczną obstrukcję u nieletnich dzieci.

- Panie Rak, osoby tu wymienione są obecnie działaczami związkowymi, wlepię im karę, to oskarżą mnie o szykanowanie! „Solidarności”. Czy ja wyglądam na samobójcę?

- Skądże. Pan, jak czytam w referacie, podjął konkretne działania mające na celu wyeliminowanie zaistniałych trudności. Wierutne łgarstwo! Żadnych działań a tym bardziej konkretnych. Bukowski jak chłał, tak chleje. Kajdyr dostaje premię co miesiąc, a dozometr zaczyna wypisywać na nocnikach antypaństwowe slogany, jakieś „precz”, „hop siup”, „dana, dana”, które ręcznie zamalowuje brygada Sołeckiego, wskutek czego rosną koszty produkcji. To ma być gospodarność?

- Niech się kolega nie unosi, podwyżka będzie. Dawno się panu należała.

- Dziękuję. Ja tak od serca, bo mi człowieka żal. Naprawdę nikt w tej budzie nie dostrzega tygrysa, czającego się za plecami? Kubuś!

Kubuś kucnął przed biurkiem, przednie łapy opierając o blat i flegmatycznie zabrał się do pożerania dyrektorskich kanapek. Pergamin, w który były zawinięte, wypluwał na urzędowe dokumenty.

- Jakiego znów tygrysa? - zdziwił się dyrektor.

- Tego, co aktualnie rąbie pańskie śniadanie - odparł Adam, głaszcząc Kubusia po pasyastym grzbiecie.

- Rozumiem, to z przemęczenia. Daję panu tydzień urlopu. Proszę wypoczywać, unikać wzruszeń, a przywidzenia miną.

Wszelka dyskusja z tym ślepcem byłaby bezcelowa, więc Rak skorzystał z urlopu. Chadzał na długie spacerzy, obserwując koloryt jesieni i różne zjawiska przyrodnicze, właściwe dla tej pory roku. Pewnego razu zawędrował w okolice osiedla, zwanego Złodziejówko; wznosili tu sobie imponujące wille przedstawiciele prywatnej inicjatywy, miejscowi prominenci, dorobkiewiczowie podejrzanego autoramentu, co majątniejsi twórcy.

Tutaj rzeczywiście rosła druga Polska, ta lepsza.

Chodzi sobie Adam, chodzi i nagle co widzi? Widzi grubasa, znanego z pierwszych stron gazety, jak krząta się w zgrzebnym stroju po obejściu, gospodarskim okiem pilnuje porządku, rozkazy wydaje, a wokół niego maszyny różne warczą - tu koparka podsiębierna, tam koparka nasięzutna, ówdzie betoniarka kręci bębniem, pompa hydrauliczna beton leje na stropo-dach, a dźwig niebotyczny płyty żerańskie winduje. Cywile pędzą z taczkami, rekruci dźwigają belki, więźniowie piłują marmury, robota wre, willa rośnie jak na drożdżach.

Krew nagła zalała Raka, więc woła Kubusia i kroczą razem ku grubasowi, który - niebezpieczeństwo dostrzegłszy - cofnąć się chce, lecz za plecami ściana pachnąca świeżą zaprawą, po bokach manewrują mechanizmy, nie ucieknie.

- Ty łajzo! - mówi Adam. - Na mównicy gęba pełna socjalizmu, a tutaj prywatną działkę orzesz państwowym sprzętem? Przedsiębiorstwa różne fuchy gratis dla ciebie odwalają? Za materiały budowlane nie płacisz? Ty pasożytnicza wredoto!

- Milicja! - wrzeszczy grubas trzęsąc się jak galareta. Głos jednak ginie w warkocie motorów, Rak potrząsa mu pięścią przed nosem, a tygrys szykuje się do skoku. - Weź to zwierzę, daruję napaść, ale błagam: zabierz bestię!

- Strach cię obleciał, grubasku, wypasiony na państwowym wikcie. Dopiero dzisiaj Kubusia dostrzegłeś? Myślałeś, że grzeszki ujdą ci bezkarnie, co?

A on niby skruszony, ludzki nagle, dostojność uleciało, suwa się boczkiem, metr, drugi, trzeci i nagle łaps za łopatę. Zamierza się wściekle gotów Rakowi łeb rozwalić. Kubuś jest szybszy i stylisko miażdży w zębach. Adam kiwa z ubolewaniem głową.

- Proszę, w opresji kąsasz jak kobra. Wszystkich wokoło byś zagryzł, żeby własną dupę ocalić. A wiesz ty, co trzeba zrobić, gdy ryba cuchnie od głowy? Odrąbać tę głowę, im szybciej tym lepiej, może chociaż ogon da się uratować.

Grubas nie dał za wygraną; przesunął się jeszcze parę kroczków i zniecka skacze na drabinę, nogami przebiera po szczeblach uskrzydłony strachem. Tygrys próbuje gonić zbiega, lecz łapy osuwają się z drabiny, nie nawykły do takiego urządzenia. Cofa się roztropnie dla rozbiegu i potężnym susem ląduje na rusztowaniu. Aktywista już pnie się ku drugiej kondygnacji. Kubuś za nim. Balansują naprzeciw siebie po chwiejnym pomoście, a Adam z dołu pokrzykuje:

- Bierz dziada!

Lecz nim tygrys wykona skok ostateczny, pęknięte deski i grubas spadnie wprost na stertę pustaków.

Nazajutrz podczas obiadu, Rak swoim zwyczajem rozłożył gazetę. W eksponowanym

miejscu ujrzał żalobną informację, obwiedzioną czarną ramką i opatrzoną zdjęciem grubasa:

Wczoraj w godzinach popołudniowych, zginął tragicznie podczas wypadku na budowie znany i powszechnie ceniony działacz, towarzysz Anatol Kciuk. Odznaczony wieloma orderami, znany był szerokim kręgom społeczeństwa jako człowiek skromny i pracowity. Położył niemałe zasługi dla rozwoju naszego miasta. Cześć jego pamięci.

Powinni jeszcze dodać - pomyślał sobie Adam - że na stare lata zeszmacił się doszczętnie i zdradził ideały swojej młodości, a za jego przykładem poszli inni, podważając w narodzie zaufanie do władzy.

Ostatnio zaczęły się rozluźniać kontakty z Kubusiem. Zdarzało się, że tygrys nie stawiał się na wezwanie, a jeśli już się pojawił, jego pan mógł stwierdzić niepokojące przemiany. Kubuś zaczął gwałtownie przybierać na wadze, korpus mu spotężniał, mięśnie stały się twarde jak stal, potężna paszcza przejmowała grozą. W mieszkaniu się nie mieścił, musiał materializować się na skwerze; jego ogon niby pień dębu tamował ruch na przyległych ulicach. Na szczęście wkrótce przeniósł się w wyższe rejony.

Pewnego razu, bawiąc służbowo w stolicy województwa, wybrał się Rak na wiec, bardziej z ciekawości niż z wewnętrznej potrzeby. Ledwo się wcisnął na salę, gdzie bulgotał tłum różnorodny, a z megafonów wiało odnową i druzgocącą krytyką. Na scenie, za stołem prezydialnym, rozwalił się nonszalancko Kubuś. Łeb sięgał powały, przesłaniając portret wąsatej osobistości, żółte ślepia świeciły jak reflektory, rozwartą paszcza łapała powietrze, bo duchota w pomieszczeniu niemożliwa. Jego chwost ogromniasty spływał po schodach, wskutek czego kolejni mówcy, by dostać się do ambony, musieli wykonywać karkołomne skoki.

Od czasu do czasu Kubuś wyciągał błyskawicznie pazury, trzask-prask i już nieszczęśnika pakował do morderstwa, wierzgającego, rękoma machającego, wzywającego pomocy wszystkich świętych. Kłęb go wprzód przyszpiliwszy, połykał wraz z butami tudzież wszelkim odzieniem i tekstem mowy światoburczej.

Adam nie mógł dostrzec żadnej reguły w działaniu tygrysa, ponieważ wydawało mu się, iż każdy mówca głosi rzeczy słuszne obok bzdur wierutnych. No, może z wyjątkiem trockistów, którzy chcieli państwo polskie wysadzić dynamitem i tym samym skazywali się na nieuchronne pożarcie oraz syjonistów, żądających wyjątkowych przywilejów dla narodu wybranego, o Kubusia wyraźnie wytrącało z równowagi; gniewnie parskął, a czasem wręcz chichotał złowróźnie.

Oszołomiony obrachunkowym zgiefkiem, wrócił Rak do domu. Powziął niezłomne

postanowienie, że przestanie się -zajmować polityką, a tygrysa puści w niepamięć.

Nieudolność organów śledczych, które knowaniom piekielnego zwierza nie potrafiły położyć tamy - była oczywista. Czyż bezbożny instrument upadającego reżimu, pozbawiony duchowego przewodnictwa kapelanów, przeżarty wulgarnym materializmem, mógł sięgnąć ku sferom przed okiem zwykłego śmiertelnika zakrytym? Po stokroć nie! Przygotowując się do kolejnego kazania, ksiądz Maciąg przeanalizował problem z wnikliwością, jaka przystoi doktorowi teologii. Od dłuższego już bowiem czasu zbierał wszelkie wieści o bulwersującym zjawisku, skrzętnie je notując w podręcznej księdze. Pozostało uogólnić fakty, odkryć ich istotę i wyciągnąć wnioski utwierdzające lud boży w wierze.

Gdy wdrapał się na ambonę, wzrokiem licząc wiernych, którzy tej niedzieli zjawili się mniej tłumnie niż zazwyczaj - tekst kazania popłynął jak wezbrana rzeka:

- Ponoć mundurowi i tajniacy szukają znikającej bestii. Po Trzydębach i okolicy szukają, a znaleźć nie mogą lub raczej nie chcą. Drodzy parafianie, nie dziwny się ich ślepotcie. Czy któryś z tych osobników sięgnął choć raz w życiu po Nowy Testament? Wątpię. A znalazłby tam rozwiązanie zagadki. Zajrzyjmy więc my do „Objawienia” świętego Jana. Oto co głosi apostoł.

Poszukał w księdze właściwego miejsca, ramiona wzniosł ku górze by cofnąć przydługie rękawy sutanny i niby oręż dzierżąc słowo objawione, zacytował archaiczny przekład księdza Wujka:

- I zrzucen jest on smok wielki, wąż starodawny, którego zowią diabłem i szatanem, który zwodzi wszystek świat. I zrzucony jest na ziemię i aniołowie jego potępieni z nim są zrzuceni. Widziałem bestię wychodzącą z morza, mającą siedem głów i rogów dziesięć, a na rogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona bluźnierstwa. A bestia, którąm widział, podobna rysowi, a nogi jej jako niedźwiedzie, a gęba jej jako paszcza lwowa. I dał smok bestyi moc swoją i władzę wielką.

W tym miejscu zwrócił uwagę parafian na fakt, że smok (czyli szatan) dla czynienia zła posłużył się bestią, która zniewoliła lud wszelki. Każdy jej sługus musiał naznaczyć siebie cechą owemu potworowi właściwą: imieniem lub znakiem, najlepiej na czole lub dłoni, aby współnicy spisku mogli się rozpoznać w tłumie. Święty Jan precyzuje dalsze dwa szczegóły;

- I widziałem niewiastę siedzącą na czerwonej bestyi, pełnej imion bluźnierstwa. Tu jest mądrość. Kto ma rozum, niech zrachuje liczbę bestyi, albowiem liczba jest człowieka, a liczba jego sześćset sześćdziesiąt sześć.

Wyraz triumfu rozjaśnił oblicze księdza Maciąga.

- Bracia i siostry w Chrystusie! Ja zrachowałem, jako każe Apostoł. W Trzydębach i

sąsiednich wioskach jest sześciuset sześćdziesięciu sześciu chwalców bluźnierstwa. Ni mniej, ni więcej! Czy naznaczeni są, pytam, upiornym imieniem? A jakże, legitymacje PZPR w kieszeni, znaczki w klapie, czerwony sztandar nad głową. Azaliż ktokolwiek może wątpić, że owa niewiasta to partia, siedząca okrakiem na czerwonej bestii komunistycznej ideologii? Biada jej nieszczęsnym wyznawcom, albowiem święty Apostoł słyszał głos anioła, grożącego głosem wielkim: Jeśliby się kto kłaniał bestyi i obrazowi jej, i wziąłby cechę na swe czoło albo na rękę swoją - będzie męczon ogniem i siarką...

Niestrudzony w oratorskim natchnieniu, jeszcze długo proboszcz roztaczał apokaliptyczną wizję mąk, których piekło nie będzie szczędzić komuchom w ogólności, a tym z Trzydębów w szczególności. Wytknięci palcem przez niego i zarejestrowani w kartotece świętego Jana, podążają wytrwale ku niesławnemu końcowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ujawnia się Artysta. Filozofowanie na plaży. Ruja i porubstwo: dentystka Róża traci cnotę, rozpustna Pelagia gwałci duchownego.

Plot, odgradzający wznoszony blok mieszkalny od ulicy, upstrzony był różnobarwnymi plakatami. Śliwa z niesmakiem kontemplował rodzimą twórczość graficzną: dużo krzyku, mało sensu. Nachalnością i prymitywizmem afisze przypominały mu partyjną propagandę wizualną okresu stalinowskiego, tyle że tamte piętnowały reakcję i imperializm, a te opluwały komunę. Nowa treść w starej formie. Galerię kończyły wizerunki czerwonych szatanów: diabeł z sierpem i młotem, diabeł napiętnowany pięcioramienną gwiazdą, diabeł z emblematem „PZPR” na piersi. Czartów otoczono militarnymi rekwizytami i tłumem uciemionych ludzików, o obliczach naznaczonych głodem i cierpieniem.

- Każdy ma takiego Belzebuba, na jakiego zasłużył.

Śliwa obejrzał się. Znał mówiącego z widzenia, Artysta, malował w kościele scenę z Bolesławem Śmiałym i świętym Stanisławem. Nosił zawsze brązowy beret, takąż pelerynę i jaskrawe koszule, a szyję otaczał jedwabnym szalikiem,, jakby gnębił go notoryczny ból gardła.

- Żaloszny skutek religijnego wychowania - wskazał plot. - Wszystko co dobre płynie z niebios, a jad wszeteczności sączą nam upadli aniołowie z rogami. Istota ludzka w takim uproszczonym świecie jest ubezwłasnowolniona, może być tylko przedmiotem manipulacji biegunowo przeciwstawnych sił. Mam nadzieję, panie Śliwa, że nie posądza mnie pan o produkcję tych kiczów?

- Nie - roześmiał się majster - chociaż, bez obrazy, kościelny malunek arcydziełem również nie jest.

- Z przykrością muszę panu przyznać rację. Cóż począć ksiądz Maciąg płacił hojnie i zapewniał obfity wikt, co przy dzisiejszych trudnościach zaopatrzeniowych ma swoją wagę. Malarz też człowiek, samą sztuką się nie wyżywi. Partia ma kłopoty, przestała hołubić twórców, więc zwróciliśmy się ku kościelnym zamówieniom. Następstwa, jak sądzę, okażą się katastrofalne dla polskiej kultury. Świątynie od wieków zdobione były dziełami znakomitych mistrzów pędzla i dłuta, a teraz wypełnią się ideologicznie słusznymi bohomazami. Zamiast czerwonych cenzorów - czarni, a bezinteresownego mecenasa ani śladu.

Artysta odbył z przepastnej kieszeni cybuch i chciał ładować tytoniem.

- Fajczarz? - ucieszył się Śliwa. - Chodźmy na skwerek, zakurzymy spokojnie.

Rozsiedli się na ławce i dalej odprawiać fajkowy ceremoniał, owo czyszczenie, nabijanie, upychanie, rozpalanie i wreszcie pyk pyk pyk, dym z amfory uleciał w przestworza.

- Rad jestem, że pana poznałem osobiście - powiedział malarz, - Ciekaw byłem, jak wygląda idealista. Chodzi o łamanie strajku w miejscu świeckim i rozniecanie tegoż na ziemi poświęcanej, jak wieść gminna niesie.

- I cóż pan stwierdził?

- Facjata kanciasta, rysy grubo ciosane, szpakowaty jeź, kwadratowy podbródek, spojrzenie bezczelne. W sumie charakter stanowczy, by nie rzec: nacechowany uporem. Lubię portretować takich osobników. Gatunek na wymarcu; wierność ideałom i tak dalej. A każda ekipa, gdy wreszcie dorwie się do władzy, kogo zaczyna deptać? Właśnie ich bo przeszkadzają kompromisom z niedawnymi przeciwnikami. Tak marnie jest świat zmajstrowany - sojusze taktyczne są fundamentem rządzenia każdym społeczeństwem. I oto powstaje błędne koło: bez idealistów nie można przeprowadzić rewolucji, wespół z idealistami nie sposób utrzymać się przy sterze. Więc dostają w dupę najpierw od wrogów, potem od swoich, a ideał sięga bruku. I leży tam dopóty, dopóki go nie podniesie kolejne pokolenie nieskazitelnych.

- Przesada.

- Oby nie musiał się pan przekonywać na własnej skórze.

Aleją kroczyła zamaszystym krokiem niewiasta w średnim wieku. Jej rozłożysta żółta spódnica na tle zieleni wyglądała jak odwrócony kielich tulipana. Kremową bluzkę ozdabiał okazały krzyż, dyndający na łańcuszku, blond włosy podtrzymywała przepaska haftowana w krzyżowy wzór. Przed ławką wyhamowała gwałtownie aż wzbił się kurz spod obcasów. Prychnęła. w stronę Śliwy:

- Bezbożnik! Świętokradca!

- Śliczna jesteś, panienko, kiedy się gniewasz - powiedział łagodnie Artysta.

- Dwulicowiec! Artycha od siedmiu boleści. Maluje w kościele, a zadaje się z komuchem. Pfuj! - splunęła i odmaszerowała elastycznie.

- Niczego sobie babka - skomentował malarz - zgrabna, biuścik wydaje się apetyczny, a sempiterną kręci jak Lolo-brygida. Któż to?

- Dentystka Róża, nawiedzona. Specjalność: leżenie krzyżem przed ołtarzem. W wolnych chwilach rwie zęby.

- Stara panna, jeśli się nie mylę?

- Tak.

- To tłumaczy zaburzenia charakterologiczne. Wiadomo, że koło trzydziestki cnota rzuca się na mózg. Ilu mieszkańców liczą Trzydęby?

- Pięć tysięcy.

- Z tego, statystycznie rzecz biorąc, połowę stanowią mężczyźni. Odliczmy starców i dzieci a otrzymamy co najmniej tysiąc chłopca. Zagadka: z całego pułku samców żaden ochoczo Róży nie przerznął? Wstyd dla sympatycznego miasteczka. Czyżby los chciał, żebym ja, przybysz z obcych stron, uwolnił nieszczęsną od jarzma?

Nie było to pytanie retoryczne, co miało się okazać dwa tygodnie później. Nadeszła upalna niedziela i przyjaciele spotkali się na plaży, zagospodarowanej staraniem burmistrza Żorasa. W kilku stoiskach można tu nabyć pieczone kurczaki, smażone ryby, lody i napoje chłodzące; czynny jest także kiosk z prasą i wypożyczalnia kajaków. Jezioro średniej wielkości, otoczone z trzech stron lasem, wodę ma czystą, nic więc dziwnego, że mieszkańcy spędzają tutaj wolny czas.

Rozebrawszy się Śliwa, Rak, Benjamin i Ateusz Pokorny oddali się kąpielom słonecznym. Panowała obezwładniająca cisza, tylko z oddali dobiegał śmiech dzieciarni, baraszkującej w mokrym żywiole. Nieco później zjawił się także ojciec Hiacynt. Habit ściągnął w odległych zaroślach i niósł pod pachą. Wiedział, że pojawienie się sukienki duchownej wzbudzi zbędne zainteresowanie gawiedzi a tego wolał uniknąć. Kroczył statecznie w poszukiwaniu wygodnego legowiska; piasek wciskał się w sandały, najpierw przystawał by wytrząsnąć intruza a potem dał za wygraną i boso, w niebieskich kąpielówkach, zbliżył się do leżących.

- Co widzą oczy moje? Komuna we wzmocnionym składzie. Można rozłożyć się opodal?

Rudzielec, który zaczynał już drzemać, otworzył jedno oko i mruknął:

- Tylko mnicha tu brakowało...

- Gorycz cię gnębi, bracie - odparł zakonnik moszcząc się w grajdole - a to szkodzi na wątrobę. Wobec nieszczęść, którymi nas Bóg doświadcza, powinniśmy zachowywać rozsądny dystans. Ludowe przysłowie powiada, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło; tkwi w nim życiowa mądrość. Weźmy na przykład niewierność małżonki...

- To moja sprawa! - zachnął się Benjamin.

- Mylisz się, Pelagia sieje zgorszenie, co czyni twą troskę sprawą publiczną. Zwłaszcza, że powołuje się na sakrament ślubu kościelnego, by czynić zło za parawanem małżeństwa, które przecież w świetle prawa kanonicznego zostało przez nią rozbite. Cudzołóstwo jest ciężkim grzechem.

- Mogę uzyskać rozwód? - poderwał się rudzielec a oblicze promieniało mu nadzieją. - I wyrzucić babę na zbity pysk? Zamieniła mieszkanie w burdel.

- Możesz poczynić stosowne starania, bracie, przy mej skromnej pomocy. Borykasz się, nie ty jeden, z odwiecznym problemem.

- Mistrz Rabelais - wtrącił nauczyciel - w tej materii był optymistą. Powiada: Jeśli będziesz rogiaczem, śliczniuchna twoja żona, ergo: uprzejmą dla cię będzie ona, ergo: będziesz miał wielu przyjaciół, ergo będziesz zbawiony. Tylko ci to na lepsze wyjdzie, grzeszniku.

- Mnie nie dotyczy - posmutniał Benjamin - uprzejmości w Pelagii za grosz, a przyjaciół, poza wami, nie mam.

- Pozostaje ci wiara w zbawienie.

- Dzięki za pociechę, belfrze.

- Zadziwiająco, zważcie panowie, jak trafne są pewne sentencje, wymyślone przez francuskich filozofów - mówił zakonnik. - Oto Montaigne: Próżno wspinać się na szczudła, na nich także trzeba chodzić własnymi nogami. Na najwyższym tronie świata i tak przy sięść musimy własnym zadkiem. Albo: Nikt nie jest wolny od mówienia bredni; źle jest jedynie mówić je z wysiłkiem. La Rochefaucauld, zresztą mój ulubiony autor z epoki Oświecenia: Powaga jest obrządkiem ciała, wymyślonym dla ukrycia braków ducha. Zawsze mamy dość siły, by znieść cudze nieszczęścia. Z prawdziwą miłością jest jak z pojawianiem się duchów - wszyscy o nich mówią, lecz nikt ich nie widział - Nie ma cnotliwych kobiet, które nie byłyby znudzone tym rzemiosłem.

- Urocze lecz abstrakcyjne - przyznał Ateusz. - Natomiast wspomniany już przeze mnie Rabelais daje radę praktyczną do stosowania wobec wściekłych przeciwników politycznych: Głaszcz chama - to cię kopnie, kopnij chama - to cię pogłaszcze.

- Celna myśl - stwierdził Śliwa - taktyka głaskania, którą uprawia warszawska elita partyjno-rządowa, przynosi jej coraz dotkliwsze kopy, a te rykoszetem trafiają w nasze zadki.

Wierzący się niecierpliwie Rak wreszcie zdołał wtrącić swoje trzy grosze:

- Ja też zapamiętałem parę zgrabnych powiedzonek. Anatol France twierdzi, że katolicyzm jest najbardziej znośną formą obojętności religijnej, a Chrystus przyniósł cywilizacji trzy dokuczliwe choroby: dziewictwo, mistycyzm i melancholię.

- Zechciejcie, panowie, oszczędzić mi debaty o sprawach wiary - franciszkanin złożył błagalnie dłonie. - Wiadomo, że w tej kwestii różnimy się krańcowo. Pójdę trochę popływać.

Odprowadzili go wzrokiem. W wodzie czuł się świetnie, sunął na przemian czałkiem i delfinem, potem wdrapał się na beański kajak i po wiosło wał w stronę przeciwnego

brzegu.

- Zaczynam odczuwać przyływ sympatii do Hiacynta - zauważył, nauczyciel. - Mało miałem styczności z zakonnikami, lecz w tym wypadku mógłbym powtórzyć z pewną przesadą: oto najszczęśliwszy mnich, jaki od początku mnichostwa mniszył się między mnichami.

- Pasuje do księdza Maciąga jak kareta do wołu - potaknął Rak - on powinien zostać proboszczem, jeśli już stary Kurowski musi odejść.

- W Kościele jak w partii, decyduje negatywna selekcja - na to Śliwa - dureń arogancki wobec słabych a uległy wobec możnych awansuje.

Zaczęli prześcigać się w wyszukiwaniu analogii. Tępa wierność dogmatom, naciąganie faktów do teorii. Nieomylność przywódcy, czołobitny kult wodza (papież, lider proletariatu). Internacjonalizm obu doktryn. Żądza kontrolowania każdej dziedziny życia. Nienawiść do odstępców i niepokornych (inkwizycja, czystki stalinowskie). Zwalczenie wolnej myśli, dominacja wiary nad rozumem.

Poprzez tę wyliczankę uświadomili sobie nagle, że są heretykami i dla czarnych i dla czerwonych, co okrywało ciemnymi chmurami ich skromne perspektywy życiowe. Mogliby zawołać słowami Hamleta: Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy! Zapadło przygnębiające milczenie, które zepsułoby im do cna świąteczny wypoczynek, gdyby nie ukazał się Artysta.

Malarz, w nieodstępnym berecie i pelerynie, przygarbiony, jakby lumbago szarpało mu mięśnie, kuśtykał przez plażę podpierając się laską. Twarz, pokryta krótkim zarostem zrudziałym od fajkowego dymu, naznaczona była bólem. Dostrzegłszy Śliwę, przystanął:

- Słowo ciałem się stało. Rozprawiczyłem dentystkę Różę.

Śmiech eksplodował nad jeziorem aż echo odbiło się o ścianę lasu; przestraszony zakonnik przyłożył się do wiosła, by wrócić na plażę. Artysta rozłożył pelerynę i usadowił się ostrożnie na wzgórku piasku.

- Przepraszam zacne towarzystwo. Nadszarpnięta kondycja. Błona okazała się nieco zrogowaciała i moje narzędzie rozkoszy poniosło uszczerbek. Musiałem namaścić je balsamem i obandażować, stąd pewne zakłócenia równowagi. Uwiera, cholera.

- Człowieku, dokonałeś cudu!

- Wstrzymajmy się od pompatycznych określeń. Otóż zgłosiłem się do gabinetu dentystycznego by zaplombowała ząb, który zresztą zaczynał mi dokuczać. Między jednym atakiem wiertła a drugim napomknąłem, że poszukuję modelki do portretu świętej Magdaleny; zamówił go rzekomo proboszcz, by wypełnić puste miejsce nad bocznym

ołtarzem. Liczyłem na wrodzoną próżność niewieścią - ujrzeć swoje oblicze utrwalone w dziele sztuki i wystawione na nieustający widok publiczny, to okazja rzadka. Zapewniłem, że dodam blasku i szlachetności wizerunkowi, jeśli zechce, dla mnie bowiem oryginał jest wystarczająco piękny, by umieścić nad nim aureolę. Nie znajdzie się łyk płynu dla wędrowca?

Śliwa zdjął kapsel i podał butelkę Artyście, który piwo wlał w siebie jednym haustem, po czym odsapnął z ulgą.

- Zanim plomba zdążyła stwardnieć w paszczęce, Róża wyraziła zgodę, pod jednym wszakże warunkiem: seanse odbywać się będą w jej mieszkaniu, a nie w pracowni malarskiej, bo wie z literatury, jakie tam świństwa wyrabiają pacykarze z modelkami. Zgodziłem się - tym łatwiej, że w Trzydębach żadnej pracowni nie posiadam. Początek został zrobiony. Odtąd chodziłem do niej codziennie wieczorową porą i przyznam się, że malowałem z przyjemnością, odnajdując w ciele dentystki ukryte powaby. Początkowo nie chciała odsłonić niczego, poza ramionami. Przyniosłem więc album z rycinami świętych niewiast, wskazując obnażone szczegóły anatomii, od Madonny karmiącej piersią dzieciątko, po Cecylię w stroju nader niekompletnym gwałconą przez rzymskich żołdaków. Przekonywałem, iż Magdalena, nim awansowała w poczet świętych, była w starożytnej Jerozolimie striptizerką, dlatego muszę się trzymać prawdy historycznej. Osobę trzeba koniecznie ukazać w negliżu.

Otarł pot z czoła. Kajak zbliżał się, Artysta rozpoznał ojca Hiacynta. Uczynił gest wyrażający zdumienie i przyspieszył relację.

- Nadszedł wreszcie dzień upragniony, gdy ujrzałem biust w całej krasie. Co więcej, powiał przeciąg unosząc sukienkę modelki, abym mógł dostrzec, że pod zwiewną szatą brak bielizny. Panowie, każdy kiedyś przeżywał chwilę odurzającego uniesienia, więc mnie zrozumiecie: przestałem nad sobą panować. Porwałem dentystkę w ramiona, całując gdzie popadło, rzuciłem na tapczan aż sprężyny zawyły. Beładnie zdierałem z siebie odzienie, ona zaś zasłoniwszy oczy, bluzgała łaciną: „Noli me tangere, noli me tangere!”. Już ja ciebie tangere, krasawico - pomyślałem - do śmierci będziesz pamiętać. Narychtowałem cel (w czym mi zresztą nie przeszkadzała) i wzięwszy rozbieg, wystartowałem jakby we mnie wstąpiła chuć wszystkich samców planety. Klnę się, że gdybym nie trafił, tapczan zostałby przeбитo na wylot. Szczęśliwie trafiłem. Trzask, jęk, ból przenikliwy. Róża, otrząsnąwszy się z chwilowego osłupienia, przeszła na dialekt lokalny: „Jeszcze! Mocniej! Głębiej!”, a ja nieszczęsny piłowałem jej cnotę nie zważając na boleść rwącą mi lędźwie...

- Zgrabnie opowiedziane - pochwalił Ateusz - koloryt lokalny jest, właściwa doza przesady obecna.

- Liczę na dyskrecję. Być może mentalność Róży uległa zwichrowaniu, lecz ciało zostało ponętne. Po nieodzownej kuracji przyrodzenia zamierzam z nią współżyć. Na próbę. Postaram się wypędzić z waszej dentystki demona dewocji, lecz proszę usilnie - żadnych komentarzy, zwłaszcza publicznych.

Ojciec Hiacynt wreszcie wylądował na plaży i wrócił do swego grajdoła. Artyście, którego poznał podczas świątynnej twórczości, podał dłoń.

- Panu udało się rozbawić towarzystwo?

- Opowiadałem dowcipy z cyklu „sekretarz partii na mównicy”.

- Chętnie bym usłyszał.

Malarz jął naśladować mówców z talentem parodysty - przy każdym zdaniu inna mimika, tonacja i gest. W połowie kwestii robił pauzę, aby pointa wypadła bardziej wyraziście:

- Towarzysze, staliśmy nad brzegiem przepaści (pauza) na szczęście dziś jesteśmy o krok dalej! Szanowni zebrani, muszę stwierdzić samokrytycznie, że gdzie my jesteśmy, nic się nie udaje (pauza) niestety, nie możemy być wszędzie! Obywatele, to prawda że straciliśmy orientację (pauza) lecz mamy chociaż odwagę podążać niezłomnie naprzód! Drodzy emeryci, zaprzeczam kłamstwu, że przed wami brak jasnych perspektyw (pauza) tak starzy jak dziś nie będziecie już nigdy!

- Z kazań też dałoby się wyłowić sporo perełek nonsensu. Logika, nad czym boleję, nie jest najmocniejszą stroną współczesnych agitatorów - stwierdził bezstronnie zakonnik nakładając habit.

Z uwagi na przypadłość Artysty, do miasta wracano żółwim krokiem, gawędząc o przyziemnych sprawach. Słońce chyliło się ku zachodowi, przydrożne jabłonie otwierały pąki kwiatowe. Za plecami zostało jezioro i wrzask dzikich kaczek.

O wspomnianej wyżej sympatycznej porze dnia i roku, gdy wszelkie stworzenie chwali Pana, a bogobojni obywatele, odmówiwszy modlitwę, zasiadają do wieczerzy - szatan stanął na drodze prostolinijnego księdza Pyrki. Urlopowany z powodu rozgłosu, jakiego nabrała przedwczesna okupacja szkoły, wrócił z zasłużonego wypoczynku i proboszcz zlecił mu kolejną odpowiedzialną misję. Powinien mianowicie odwiedzać mieszkania tych parafian, którzy lekce sobie wazyli katolickie powinności, by słowem bożym wzruszyć sumienia nieszczęsnych i sprowadzić ich na powrót do owczarni. Serce młodego kapłana przepelniała gorliwość, wziął się więc raźnie do dzieła. Wkrótce z pomocą dyspozycyjnych wiernych sporządzona została czarna lista zbłąkanych owieczek, a mnogość ich nieprzebrana, a hardość ich przerażająca.

Dopiero wówczas ksiądz Pyrko zrozumiał, jaki ogrom pracy spadł na jego barki. Nie uląkł się trudu, ani nie zaniedbał koniecznych przygotowań. Przez tydzień pościł, czas trawiąc na modlitwach, lekturze dzieł Ojców Kościoła, czynieniu notatek,

by mogły go wspomóc gdy tradycyjna argumentacja zawiedzie, początki okazały się trudne. Owszem, w kilku domach przyjęto go po chrześcijańsku poczęstunkiem, a w oczach gospodarzy znalazł okruch skruchy, lecz w innych zatrzaśnięto drzwi przed nosem. Trafił na chama, co zwymyślał go od żebraków i rzucił pogardliwie banknot, zresztą o zawstydzająco niskim nominale. Natknął się nawet na świadka Jehowy; ten wygłosił tyradę o Armagedonie tudzież końcu świata, a do księdza zwracał się grubiańsko per „falszywy proroku”.

Nic dziwnego, że gdy dotarł do przytulnej willi, ukrytej w zadbanym ogrodzie, ogarnęło go przeświadczenie, iż tutaj znajdzie ludzi inteligentnych, podatnych na jego wywody. Na parterze lokatorzy świecili nieobecnością, natomiast drzwi piętra otworzyła niewiasta o miłej powierzchowności, skwapliwie zapraszając do środka. Nie wiedział, biedaczysko, że wpada w szpony niejakiej Pelagii, niby-żony rudowłosego brygadzysty Benjamina, który w tym czasie u sąsiadów przegrywał zaskórniaki w pokera. Posadziła gościa na kanapie i obskakiwała z podejrzaną gorliwością:

- Ksiądz utrudzony, proszę skosztować serniczka domowego wypieku. Naparstek wiśnióweczki dobrze robi, błagam, bez krępacji. Oto kawusia po gruzińsku, moja specjalność. Tę bombonierę przywiózł znajomy z Holandii, same pyszności: owoce z likierem w czekoladzie. Dosłownie rozpływają się w ustach! Poczuję się urażona, jeśli ksiądz nie spróbuje.

Pił i jadł co mu podsuwano, podczas gdy gospodyni, przeprosiwszy za niestosowny strój (szlafrok) ubrała w przyległym pokoju wizytową sukienkę seledynowej barwy: przód z dekoltem do pępka, tył bez pleców. Poprawiła makijaż, czarne włosy dotąd upięte spłynęły na ramiona. Skropiwszy się obficie jaśminowym perfum, wróciła do gościa. Odurzający zapach, wszechobecna golizna, bo siadając obok duchownego odsłoniła również kolana, lubieżne spojrzenia piwnych oczu - wszystkie te perfidne damskie sztuczki oszołomiły księdza Pyrkę. Przymknął skromnie powieki, szepcząc „Kto się w opiekę odda Panu swemu...” W pewnej chwili chrząknął nawet, chcąc wyjawić nabożny cel wizyty, lecz rwący potok niewieściej wymowy zamknął mu usta:

- Przyznam się, że tak przystojny mężczyzna nie bywał w tych progach. Nigdy. Ach, ksiądz ma piękne włosy, w dotyku jak aksamit. Ta skóra zdumiewająco delikatna! Wschodnie narody twierdzą, że dłoń mówi wszystko o charakterze człowieka, muszę przyznać rację, jasne, te wysmukłe palce, stworzone do pieśczoł... Ileż to kobiet zostało osieroconych

przez uosobienie męskości, które mnie tak niespodziewanie nawiedziło! Strach pomyśleć o licznych dziewczątkach, łkających z pragnienia przed kratą celibatu...

Sypała komplementami a każdy ze stosownym gestem: gładziła włosy, szyję, dłonie, przysuwając się wciąż bliżej, dzwony wychylały się z dekoltu wstrząsane spieszonym oddechem, żar jej uda palił przez odzienie. Dostrzegłszy zaś, że w miejscu pożądliwie obserwowanym z sutanny zaczyna się robić namiot - krzyknęła triumfalnie „ha!” i kilkoma wprawnymi ruchami zerwała z ciała szatę duchowną. Szwy pękały, bielizna fruwała, a ksiądz Pyrko - gdy mimo żarliwych westchnień Anioł Stróż nie przyleciał z odsieczą - popadł w letarg. Zniknęła granica między snem a jawą, zatarła się cezura między duszą a ciałem. W zwichrowane jestestwo wikarego wtargnął diabeł, podpowiadając mu co ma czynić; wiadomo zaś z uczonych ksiąg, że w tej materii moce piekielne dysponują pomysłowością przekraczającą ludzkie wyobrażenia.

Tymczasem rudowłosy Ben, przegrawszy w pokera nie tylko gotówkę lecz także przyszłe pobory, wrócił wściekły i głodny do domu. W kuchni smażył jajecznicę, gdy z sypialni dobiegły go niedwuznaczne pojękiwania. Pelagia znowu się kurwi - pomyślał, nie przestając mieszać na patelni. Dopiero gdy zaspokoił pierwszy głód, obudziła się w nim ciekawość, kogo też sobie ta wywłoka dziś przyhołubiła. Zajrzał przez dziurkę od klucza i krew uderzyła mu do głowy, dostrzegł bowiem na oparciu krzesła sutannę. Ryknął jak raniony zwierz, kopniakiem otworzył drzwi i z kijem od miotły w garści wtargnął do środka.

- Ty zdziro! W moim mieszkaniu z klechą?! Zaczął bezlitośnie okładać obnażone ciała; kij szybko się połamał, więc uruchomił potężną pięść.

- Zbrodniarzu, księdza bijesz! - stękał przejęty zgrozą i bólem wikary, zasłaniając się lewicą przed ciosem, a prawicą chroniąc narząd męski.

Pelagia, owinięta prześcieradłem, skoczyła na krzesło i z wyżyn obrzucała Bena subtelnymi wyzwiskami:

- Ty troglodyto! Ty chamie jaskiniowy! Ty ruda małpo!

Duchowny drogę do wyjścia miał odciętą. W przyływie desperacji, gdy brygadzysta jemu pofolgował by dołożyć Pelagii - porwał sutannę i dał susa oknem. Spadł na zagon róż. Z przeraźliwym wrzaskiem wyrwał się z gęstwiny kolców, okrył nagość i pokuśtykał do plebani, Bogu dziękując, że uszedł z opresji cało, a litościwy mrok ukrył go przed oczyma przechodniów.

Proboszcz ręce załamał na widok wchodzącego.

- Synu, wyglądasz jak półtora nieszczęścia: sutanna porwana, bez guzików, siniaki, krew... Chryste Panie! Wypadek? Napad?

- Zgrzeszyłem. Myślą, mową i uczynkiem. Bóg ukarał... - oczy wikarego wypełniły się łzami.

- Wymyjesz się i przebierzesz. Draśnięcia zajodnyj. Potem wysłucham spowiedzi - zdecydował doktor teologii po namyśle.

Tegoż wieczoru, gdy wszystko zostało wyznane, gdy oznajmił winowajcy ego te absolvo, a ten ucałował stulę i pełen skruchy oddalił się na spoczynek - ksiądz Maciąg długo rozmyślał. Żeby zgrzeszył z jakąś nadobną a dyskretną wdówką, można by zrozumieć, ale z tą flądą Pelagią? Niepojęte są wyroki boskie, kierujące naszymi krokami. Zaiste, zatrwazająca jest przebiegłość szatana i perfidia, z którą rozpościera swe sieci by wykorzystać ludzką słabość. Z taką heterą, któżby się spodziewał?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przechrzta i belfer na ambonie. Czy proboszcz podwinie ogon i czmychnie? Lincz nauczyciela Pokornego. Pojawia się kult świętego Ateusza, na szczęście zdławiony w zarodku.

Stopniowo lecz dostrzegalnie zmieniał się trzydębowski świątek. Zgodnie z panującą modą, w tutejszej świątyni pojawił się na ambonie cywil. Włos kruczoczarny, kędzierzawy, na wydatnym nosie binokle, głos monotony jak nie przymierzając profesora Stanisławskiego, gdy w telewizji gawędzi o wyższości Wielkanocy nad świętami Bożego Narodzenia. Zwierzył się pokornie, jak to ongiś wspierał bezbożną władzę i zwalczał Kościół; wyliczył całą litanię niecných czynów, popełnionych wskutek głupoty, braku doświadczenia lub z szatańskiego podszeptu. Lecz nagle oświecił go Duch Święty i przejrzały oczy jego. Zerwał z mocodawcami, ochrzcił się i znalazł spokojną przystań w jedynie słusznym Kościele rzymsko-katolickim, matce naszej.

Ateuszowi Pokornemu mówca wydał się uderzająco podobny do Bronsztajna Trockiego, co go rozśmieszyło: duch komisarza Trockiego na ambonie w Trzydębach! Gdy gość zakończył publiczną spowiedź, zwrócił się do księdza Maciąga, siedzącego na wyściełanym krześle w pobliżu ołtarza:

- Kazano nam dzisiaj wysłuchać importowanego prze-chrzty. Czy miejscowy obywatel mógłby też rzec słowo z tego samego miejsca?

- Oczywiście - odparł nieco zaskoczony proboszcz - chętnie posłuchamy, co na temat swego sumienia może powiedzieć pan nauczyciel. Za tydzień, proszę.

Zanosilo się na sensację. Wiadomość, że kazanie wygłosi Ateusz, wróg wszelkich dogmatów, obiegła natychmiast miasteczko. O właściwej porze kościół był nabity jak puszka sardynek, wśliznęło się nawet paru partyjnych, zmyliwszy strażę porządkowe. Pokorny wspiął się po stopniach na ambonę, rozrzucił swoje notatki po pulpicie. Jego blond czupryna ledwo wystawała nad barierę, gdyż wzrostu i tuszy natura mu poskąpiła. Rozejrzał się niebieskimi oczyma wokół, jeszcze niedowierzał, że znalazł się na tak eksponowanym miejscu. Chrząknął- Obniżył mikrofon. Ksiądz Maciąg ze swego tronu przy ołtarzu wpatrywał się weń wzrokiem bazyliuszka. Napięcie dochodziło szczytu.

- Słyszeliśmy tu bardzo często twierdzenia o wyjątkowości religii katolickiej. Jedynie prawdziwej i godnej wyznawania, w obliczu której wszystkie pozostałe wiary to żalony zabobon. Chciałbym się zająć tym zjawiskiem, a na koniec poświęcić nieco uwagi diabłu.

Zabrzmiało to dość dwuznacznie, lecz proboszcz nie wyczuł nadciągającego kataklizmu.

- Gdy zapoznajemy się z wierzeniami pradawnych ludów, ku naszemu zdumieniu dostrzegamy uderzające analogie. Aryjski kult Mitry, boga słońca, uznawał chrzest i komunię w postaci spożywania poświęconego wina i chleba. Zmartwychwstania dostąpili: egipski Ozyrys, babiloński Tammuz, hinduski Budda. Starożytni Persowie wierzyli w niebo, gdzie królował Ormuzd i piekło, którym władał Aryman. Zresztą dawni Grecy pozostawili wiele opisów swego Hadesu, gdzie męczą się dusze potępione, nie muszę więc tematu rozwijać.

Ateusz rzucił okiem na słuchaczy, by upewnić się, że nikt nie ma zamiaru mu przerywać.

- W wielu dawnych religiach występuje Bogurodzica, która niepokalanie poczęła, choćby matka perskiego Zaratustry, frygijskiego Attisa, wspomnianego już Buddy. Trójcom świętym również oddawały hołd liczne narody, wspomnę tylko najbardziej znane: Ozyrys, Izyda, Horus w Egipcie, a Brahma, Sziwa, Wisznu w Indiach.

- Do czego pan zmierza? - zawołał proboszcz, który podczas tej wyliczanki zaczął się niespokojnie wiercić.

- To się okaże, proszę księdza. Wszyscy obecni, mam nadzieję, znają przebieg męczeństwa Jezusa, zajmijmy się więc bogiem opiekuńczym państwa babilońskiego, o imieniu Bel-Marduk. Ów Marduk zostaje fałszywie oskarżony, jest sądzony i skazany na śmierć. Oprawcy biczują go, po czym - wraz z pospolitym przestępcą - prowadzą na Górę, miejsce kaźni. Przebijają mu serce włócznią, a krew płynąca z rany będzie obmyta przez litościwe niewiasty.

Ateusz nabrał tchu i zaczął głośniejsz akcentować frazy.

- Gdy ciało złożono w mogile i postawiono przy niej straż, by nie mógł wrócić do świata żywych - szukają go tam, zmyliwszy czujność żołnierzy, inne bogobojne niewiasty. Lecz są świadkami cudu, grób jest pusty! Marduk zmartwychwstał podczas wiosennego zrównania dnia z nocą, czyli dokładnie o tej samej porze roku co - słuchajcie uważnie ludzie - co osiemset lat później zmartwychwstał Jezus...

- To jest herezja! - krzyknął proboszcz zrywając się na równe nogi z takim impetem, że krzesło się przewróciło. - Kto śmie porównywać!

- Ja, proszę księdza. Jak można twierdzić o jakiegokolwiek religii, że jest jedynie prawdziwa, jeśli rzekome prawdy objawione, jej cała mitologia - zostały zaczerpnięte z wierzeń o wiele wieków wcześniejszych? Nawet symbol krzyża używany był stulecia przed powstaniem chrześcijaństwa. Odgrywał szczególną rolę w kultach Ozyrysa i Marsa, a król

Herod umieszczał wizerunek krzyża na swoich monetach, zanim Jezus się narodził.

- Ludzie! Ten człowiek łyże jak pies! - ksiądz Maciąg przestawał panować nad sobą. Biegał od ściany do ściany, wymachując rękoma. - Jak pies! Łże!

- Ejże, ojczye wielebny! - na to nauczyciel. - Nie uchodzi znieważać bliźniego w domu bożym. Brak oryginalności w doktrynie katolickiej mnie nie oburza. Uznaję za zjawisko naturalne przenikanie pewnych wartości ze starych kultur do młodszych. Jeśli jednak ksiądz ten temat wyprowadza z równowagi, zajmijmy się Stanisławem ze Szczepanowa. Otóż scena, przedstawiona na tym bohomasie - wskazał ręką dzieło Artysty - fałszuje fakty! Biskup krakowski okazał się zdrajcą króla i ojczyzny, za co stanął przykądnie przed sądem, a wyrok wykonał kat. I słusznie. Sutanna nie może chronić sprzedawczyka, który spiskuje z wrogiem przeciw własnemu państwu.

- Porządkowi! Gdzie są porządkowi? Usunąć tego człowieka z ambony! Natychmiast!

Widząc, że kilku wezwanych przepycha się już przez tłum, proboszcz jął wołać, akcentując mocniejsze słowa zamaszystymi ruchami, a jego tubalny głos obijał się o sklepienie świątyni i walił obuchem w zatrwożonych zajęściem słuchaczy:

- Bracia, przywołuję was na świadków, że dokonała się zbrodnia. Nikczemnik, któremu bezbożna władza dała w ręce wasze dziatki, dopuścił się bluźnierstwa. Tak, bluźnierstwa, zrównując naszą wiarę świętą z pogańskimi gusłami! Kpił z prawd, które Kościół, matka nasza, do wierzenia podaje. Co więcej - on porwał się na czyn świętokradczy! Opluł nieczystą śliną postać naszego patrona, świętego Stanisława! Bracia, azaliż zbrodnia ta ma ujść bezkarnie? Przenigdy! Brać go!

Porządkowi, tęgie chłopcy, w piątkę skoczyli na schody, które jednak ciężaru nie wytrzymały i zwały się z hukiem armatniego wystrzału. Ateusz, natężając gardło by przebić tumult, mówił w mikrofon:

- Pocóż piekło wysyła szatana na ziemię? Żeby zwaśnić ludzi. Z tej kazalnicy od wielu tygodni uczono was nie miłości bliźniego, lecz nienawiści! Mielicie stać się wrogami waszych sąsiadów i znajomych. Karmiono was zatrutym słowem, a wy pokornie, niby stado baranów, słuchaliście czarcich podszeptów. Chcecie wiedzieć, gdzie ten diabeł? Tam! - wycelował ramię w księdz Maciąga, który ze zdenerwowania trząsł się jak w febrze.

Kościelny przydzwigał drabinę, dwaj porządkowi wdarli się na ambonę i dalej szarpać nauczyciela. Nie puszczał mikrofonu, zdążył jeszcze krzyknąć:

- Woda święcona! Pokroplcie go wodą święconą, zobaczycie jak podwinie ogon i czmychnie skąd przyszedł!

Zrzucono Ateusza z kazalnicy. Padając na posadzkę złamał nogę, stapać nie mógł,

więc sięgnęły poń setki rąk i wloką ku bramie, a niektóre w pięść zaciśnięte by w łeb, by w tę mordę heretycką, niech wie, niech poczuje, ta zniewaga krwi wymaga.

Leży nauczyciel na placu przed plebanią, ociera twarz zakrwawioną, lecz już sunie stado dewotek w czarnych sukniach. Ta splunie, tamta kamieniem rzuci, a inna cegłą, plebania w rozbudowie, sterta czerwonych kostek w zasięgu dłoni, więc w bluźniercę raz, w świętokradcę dwa i tak dalej, aż go któraś w skroń trafi i Ateusz znieruchomieje.

Nadbiegają milicjanci, sierżant przykłęka, bada puls - za późno, z piskiem hamuje karetka pogotowia - za późno, więc sierżant wstaje i mówi do tłumu:

- Bandyci, zabiliście człowieka.

A tłum, jakby dopiero teraz zrozumiał co się stało, pierzcha po opłotkach, robi się przeraźliwie pusto wokół świątyni, gdzie na stopniach ołtarza siedzi załamany ksiądz Maciąg, doktor teologii, absolwent Katolickiego Uniwersytetu i płacze, bo kościelny już mu doniósł o wszystkim.

Jeśli ktoś przypuszcza, że na opisanym akcie gwałtu kończy się ta smutna historia, jest w błędzie. Ona się dopiero zaczyna.

Zrządzeniem losu dialog światopoglądowy między proboszczem z jego świętym Stanisławem, a nauczycielem, wspartym przez Bolesława Śmiałego - miał trwać dalej i na dobrą sprawę ciągnie się do dziś.

Na początku był pogrzeb. Jak przewidywano, ksiądz Maciąg odmówił pochowania niedowiarka w poświęconej ziemi. Zrobiono mu więc mogiłę na wzgórzu, pod dębami; koszt pokryła gmina. Obmurowana granitową kostką, z potężnym głazem narzutowym u wezłowania - prezentowała się okazale. Miedziana tabliczka, umocowana do kamienia, głosiła: Tu spoczywa magister Ateusz Pokorny, ofiara religijnego fanatyzmu. Zginał, ponieważ odważył się myśleć. A poniżej: 1950 - 1981. Odprowadzało go kilkaset osób, delegacja szkoły stawiała się ze sztandarem, orkiestra strażacka grała marsze żałobne, a burmistrz Jan Żoras wygłosił mowę zaiste dramatyczną, sławiącą zasługi zmarłego i piętnującą klerykalizm.

Później nastąpił szereg wydarzeń, pozornie nie mających ze sobą związku. Syn ogrodnika Świderskiego, Antek, pochwalił się podczas kolacji:

- Tato, wybiliśmy komunie szyby.

- Jakiej komunie?

- No, w ratuszu.

- Wybiliście?

- Tak. Kamieniami. Ksiądz mówił, że komunę trzeba niszczyć.

- Słuchaj, Antek. Piotrowska ma syna?

- Ma.

- A sekretarz partii, Góralski?

- Nawet dwóch.

- A sierżant?

- Też ma. Chodzi do mojej klasy.

- Czy ci wszyscy chłopcy potrafią rzucać kamieniami?

- Pewnie. Każdy umie, żadna sztuka.

- Posłuchaj, barania głowo. Gdyby sekretarz powiedział, że prywatną inicjatywę trzeba niszczyć, a twoi koledzy nzebieraliby kamulców i przyszli pod nasz płot, i zaczęli rzucać w naszą szklarnię - wiesz, co by się stało?

- Szkło...

- Gówno szkło. Zmarnowałyby się pięć ton pomidorów, ośle patentowany. Ściągaj portki!:

Chwycił pas, przełożył jedynaka przez kolano i wrzepił mu taką porcję batów, iż pośladki posiniały. Po czym obszedł

rodziców młodocianych wspólników Antka, zebrał odpowiednią kwotę i zaniósł burmistrzowi w charakterze odszkodowania.

- Sam pan widzi, panie Świdzki - powiedział Zoras - ten klecha jest chory z nienawiści. Nawet dzieci szczuje.

W tych dniach odbywało się w kościele zebranie Rady parafialnej, którego mimowolną bohaterką stała się dentystka Róża. Jak wiadomo nawiedzał ją duch apostołstwa, gadała nieprzerwanie o wszystkich świętych, próbowała nawracać niedowiarków, a trzykroć w ciągu dnia widywano ją w kościele, proboszcz zaliczał ją do grona ścisłego aktywu.

Seksualna interwencja Artysty zapoczątkowała w Róży przemianę, która - jak się początkowo wydawało - zmierza we właściwym kierunku. Niestety, nagle szajba odbiła jej w drugą stronę. Przerwała księżowskie wywody w pół zdania, podeszła do ołtarza i z wazonów wyrwała naręcz kwiatów. Zrobiła to chaotycznie, najładniejszy ręcznie malowany wazon grzmotnął o posadzkę a odłamki poleciały duszpasterzowi pod nogi.

- Te lilie - zapiszczała - powinny leżeć na grobie niewinnej ofiary, tam, pod dębami! Ja zaniosę! A z waszym stadem papug nie chcę mieć nic wspólnego.

Oniemiałe towarzystwo odprowadziło ją wzrokiem ku wyjściu. Dreptała stukając obcasami, z głową uniesioną dumnie, kwiaty podążały przed nią, za nią pędziły klątwy księdza Maciąga. Od tej pory Róża zamiast do kościoła chodziła na wzgórze i Ateusz miał codziennie świeży bukiet.

Godne uwagi wypadki zaszły również w szkole. Nauczycielka Piotrowska, osoba energiczna, korpulentnej budowy, znana z niewyparzonej gęby - nabyła w antykwariacie książkę Zdzisława Mierzyńskiego, zatytułowaną Jak człowiek stworzył Boga. Autor, łódzki wolnomyśliciel, wydał ją w roku 1931. W przystępny sposób omawia kształtowanie się wierzeń od czasów pierwotnych po nowożytne, szczególny nacisk kładąc na tło społeczne i nie szczędząc przygany zabobonom (cuda, czary, duchy) oraz nikczemnym praktykom inkwizycji. Książkę kazała odbić na kserografie i zleciła młodzieży klas ósmych jako lekturę obowiązkową.

- Jeśli ktoś z domowników - oświadczyła przezornie wyrostkom - będzie wam mówił, że to komunistyczna propaganda, pokażcie rok wydania, tutaj, na pierwszej stronie. Dzieło powstało jeszcze za życia marszałka Piłsudskiego, który je zresztą bardzo chwalił.

Chwalił nie chwalił, w każdym razie wąsaty marszałek miał stanowić skuteczną tarczę przeciw protestom proboszcza, jakoby szkoła propagowała ateizm. Nie na tym koniec. Droga zawiłych, lecz skutecznych zabiegów Piotrowska spowodowała podjęcie uchwały o nadaniu szkole imienia Bolesława Śmiałego. Uroczystość otrzymała godną oprawę - były władze różnych szczebli, przemawiał kurator, podczas apelu uczniów odczytano życiorys króla-patrioty. Rzecz zrozumiała, że na eksponowanym miejscu w holu szkoły został odsłonięty stosowny obraz.

Namalował go Artysta, który po wykonaniu zamówienia księdza Maciąga zajęty był wypędzaniem z dentystki demona dewocji. Wymagało to czasochłonnych zabiegów i pewnych wydatków, dlatego chętnie przyjął nowe zlecenie, choć honorarium zapowiadało się mizerne. Obraz jak obraz: koloryt podobny, rama identyczna, rozmiar także znaczny, trzy na dwa metry. Tylko pewne akcenty dzieła zostały przedstawione. Król o szlachetnym obliczu, z mieczem w dłoni zasłaniał białego orła, zagrożonego przez wrażą siłę. Od tyłu skradał się biskup Stanisław w fioletowej szacie, ze sztyletem w garści, by zadać monarsze zdradziecki cios w plecy. Natomiast diabeł był identyczny jak w kościele, lecz chował się teraz w cieniu purpurata, by chichotać z uciechy. Dzieci zauważyły bez trudu, że biskupowi mistrz pędzla nadał drapieżne rysy proboszcza.

Pani Piotrowska, która tymczasem objęła kierownictwo szkoły, zacierała ręce z zadowolenia. Ponieważ fotograf wykonał kolorowe zdjęcie obrazu, posłała powiększoną odbitkę księdzu Maciągowi wraz z liścikiem:

Przekazując niniejszym zdjęcie malarskiego arcydzieła, dumy naszej społeczności, pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że wielebna osoba zechce mu się uważnie przyjrzeć i wyciągnie właściwe wnioski.

Kotłowały się w Trzydębach podskórne nurty, a Zajazd Pod Mieczem funkcjonował bez zarzutu. Ba, zaczął wprowadzać pewne nowości. W jadłospisie pojawiły się: kotlet a la Bolesław Śmiały, rzymskie flaki z olejem, pieprzony pasztet kaznodziejski, bigos heretycki, barszcz z kołdunami biskupimi, jajca w sosie tatarskim. Nazwa tego przysmaku nie pochodzi -jak sądzi się w Polsce - od Tatarów, lecz od schizmatyków katarów z południowej Francji, wyrzniętych w pień w XIII wieku za sprawą Świętej Inkwizycji. Serwowano także przeróżne koktajle? Torquemada, Auto-da-fe, Papieżyca Joanna. Ten ostatni cieszył się największym wzięciem z uwagi na pokątną zawartość czystego spirytusu, który firma otrzymywała po cenie hurtowej z pobliskiej gorzelni.

Jako atrakcja artystyczna w dni wolne od pracy występował zespół Bolko: dwie gitary i akordeon. Założony został niedawno przez brygadzystę Benjamina, który ku zaskoczeniu Pelagii i znajomych okazał się samorodnym talentem - nie tylko grał i śpiewał miłym barytonem, lecz także komponował i układał teksty. Dyskusyjna pozostaje kwestia, na ile perypetie małżeńskie rudzielca wywarły wpływ na ujawnienie się muzyczno-poetyckiej strony jego natury. Trwała moda na muzykę country, więc zespół popisywał się balladami, opiewającymi aktualne tematy. Łatwo wpadały w ucho i niebawem nuciło je pół miasteczka.

Szczególne powodzenie zdobyła piosenka o nauczycielu Pokornym. Zaczynała się zwrotką:

Razu jednego młodzian Ateusz,
Co wzrok miał śmiały, serce bez lęku -
Wlazł na ambonę
Wlazł na ambonę
Wlazł na ambonę
Aby przygadać pewnemu księdzu.

Strof było dwadzieścia; opisywały drobiazgowo fakt, który tak niedawno wstrząsnął mieszkańcami. Finał brzmiał:

Śpi już Ateusz w grobu ciemnicy
A wichry sławę niosą po świecie -
Szumią mu dęby
Szumią mu dęby
Szumią mu dęby
Ślady zginęły po księżym biesie.

Tak się złożyło, że willa zbudowana przez rodziców, którą później odziedziczył rudowłosy Ben, znajdowała się opodal plebani. Zapiewajło nagrywał swoje utwory na taśmę i

puszczał na cały regulator, ilekroć zauważył proboszcza wracającego z kościoła albo podążającego na ranną mszę. Wspomniane domostwo było jednym z kilkunastu, wzniesionych ostatnio po obu stronach projektowanej ulicy. Należało dać jej nazwę. Dyskusja podczas posiedzenia Rady Miejskiej miała przebieg burzliwy, większość radnych głosowała jednak za uczczeniem tragicznie zmarłego nauczyciela.

Stało się tedy, że ksiądz Maciąg, by pełnić służbę bożą, musiał kilkakrotnie w ciągu dnia przekraczać ulicę Ateusza Pokornego, przy akompaniamencie ballady o tymże osobniku, na wspomnienie którego wstrząsał nim dreszcz odrazy.

Pewien przyjaciel nauczyciela a znajomy Raka, z wykształcenia elektronik, prowadził zakład naprawy telewizorów. Nie interesował się ani religią, ani polityką, dlatego śmierć druha, jej okoliczności, wydawały mu się absurdalne. Postanowił na swój sposób uczcić zmarłego. Przy pomocy biuralisty w koronie dębu umieścił skrzynkę obitą blachą, zawierającą akumulator, skąd ciągnął się przewód do lampy rtęciowej. Instalację uzupełnił mały odbiornik, który na sygnał radiowy włączał prąd. Urządzenie funkcjonowało znakomicie, a ukryte w gęstym listowiu z ziemi było niewidoczne.

Pewnego piątku, dnia targowego, do gabinetu dentystycznego Róży zwały się tylu pacjentów, że borowała, plombowała i rwała zęby do późna. Dopiero o zmroku mogła zanieść obowiązkową wiązanekę na grób. Zbliżała się już do wzgórza, gdy oto nad dębami zajaśniała zorza promienista.

Róża padła na kolana dłonie wznosząc ku niebiosom i trwała tak w trwożnym zdumieniu. Wiatr poruszał konarami, cienie migotały i chwilami wydawało jej się, że widzi postać Ateusza. Nie ulegało wątpliwości, sądzone jej było ujrzeć cud, ujrzeć na własne oczy, akurat w miejscu, które otaczała czią. Zaczęła się modlić.

- Boże litościwy, oto dajesz mi znak, że duszy nieszczęśnika winniśmy hołd, że krew niewinnie przelana zawiodła go między anioły. Dzięki ci, Panie, który mnie wybrałeś, abym dała świadectwo prawdzie...

Nazajutrz całe miasteczko wiedziało, że przy mogile nauczyciela dzieją się dziwne rzeczy. Róża dwoiła się i troiła, dając świadectwo prawdzie każdemu, kto chciał słuchać. Wykazała sporo inicjatywy. Starym dewotkom mówiła, że jeśli nie będą błagały Ateusza o przebaczenie, same zostaną ukamienowane. Członkom kościelnej straży porządkowej wspominała jakby mimochodem, iż nazwiska oprawców, co ofiarę wlekli na miejsce kaźni, pojawiają się na niebie wypisane ognistymi literami. Nie kryła, że gdy sprzyjają warunki atmosferyczne, słychać chóry potępieńców, przyzywających do piekielnego kręgu proboszcza Maciąga. Nic dziwnego, że wieczorem wokół wzgórza zgromadził się tłum ciekawy zjawisk

nieziemskich.

Nadciągała burza. Nieboskłonem pędziły zwały czarnych chmur, smagane porywistym wiatrem. Zapadł zmrok nieprzenikniony. I nagle - luna otuliła korony dębów, rozkołysane, szumiące. Tłum jęknął z wrażenia. Dentystka, odziana w białą powłóczystą suknię, z wiankiem we włosach, wyciągnawszy dłonie przed siebie, ruszyła z boku w stronę grobu. W świetle błyskawic wydawała się sunąć bez dotykania ziemi. Gromy były coraz bliżej.

- Zanieście modły do świętego Ateusza - wołała w natchnieniu Róża - błagajcie o przebaczenie, bowiem nikt z nas nie jest bez winy!

Ten i ów padł na kolana, urzeczony groźnym pięknem scenerii. Niestety - lunęła ulewa, światło zgasło i gapie rozbiegli się do domów.

W niedzielę wieczorem zjeżdżać zaczęli furmankami i samochodami mieszkańcy sąsiednich wiosek, a nawet odleglejszych osiedli. Z ciężarówki, przysłanej przez Zajazd Pod Mieczem, sprzedawano parówki, bułki i pepsa. Zespół „Bolko” na zaimprovizowanej estradzie prezentował swój repertuar. Jakiś cwaniak oferował lusterka ze zdjęciem nauczyciela na odwrocie. Pojawił się nawet milicyjny gazik. Dentystka, która stała się już centralną postacią, pośredniczką niejako między światem żywych a mocami nieziemskimi - leżała krzyżem przed grobem Ateusza. Przyglądano się jej z szacunkiem.

Zmierzchało, gdy zjawił się ksiądz Maciąg. Włos zmierzwiiony, sutanna brudna bo potykał się o krzaki i korzenie, strome zbocze okazało się dlań Golgotą. Rozepchnął tłum, wołając rozpaczliwie:

- Ludzie, czyście poszaleli? Ludzie, rozejdźcie się? W tym przeklętym miejscu nie może być żadnego cudu! Ręczę wam. Przysięgam. Ludzie!

Nikt wszakże nie zwracał nań uwagi. Złamany tak zdumiewającą obojętnością wobec duchownego, ruszył z powrotem,

gadając do siebie bez ładu i składu. Doszedłszy ku pierwszym domom odwrócił się - i zmartwił. Nad mogiłą nauczyciela unosiła się świetlista poświata...

Skoro świt, w gabinecie burmistrza odbyła się narada z udziałem sekretarza partii, Góralskiego, komendanta posterunku milicji oraz Raka i Śliwy, wyciągniętych z łóżek przez posłańca.

- Panie Hieronimie - zagaił Żoras - pan wysmażył ten kawał?

- Czemu ja? - zdziwił się Śliwa. - Zostałem mianowany lokalnym specjalistą od cudów?

- Pomysł był elektronika - przyznał Rak. - Pomagałem mu, owszem, nie przeczę.

- Dlaczego?

- Chcieliśmy Atkowi urządzać iluminację. Prąd na wzgórze nie dochodzi, posłużyliśmy się akumulatorem. Nie mógł stać na ziemi, bo by ukradli.

Opowiedział jak działa urządzenie i z jakim trudem zmontowali je na wysokości.

- Towarzysze - na to sekretarz Góralski, szarpiąc szpic-bródkę - sytuacja jest groźna. Bardzo groźna. Jeśli ktoś się domyśli, będzie na komunę. Że sfingowała cud.

- Czemu mielibyśmy to robić? - zdziwił się burmistrz.

- Cholera wie, co ludziom do łba strzeli. Żeby zareklamować swego człowieka albo żeby ośmieszyć księdza. Nie takie rzeczy już nam wmawiano.

- Zawsze twierdziłem - wtrącił Sierżant - że ciemnota lęgnie się pod kościołem. Tylko patrzeć, jak zwali się nam na kark telewizja, oni łowią sensacje. Najpierw okupacja zakrystii, potem lincz, teraz cud. Wykpią miasto.

- Tylko tego nam brakowało - zdenerwował się Żoras - będziemy pośmiewiskiem całej Polski. A w województwie znów się wściekną.

- W porządku, panowie - podsumował Rak - doceniam dwuznaczność sytuacji. Namówię elektronika, żeby nie zapalał. Kiedy afery ucichnie rzecz zostanie ukradkiem zdemontowana. Słowo harcerskie.

- Uf, widzę światło w tunelu - odetchnął z ulgą sekretarz. - Póki co, buzie na kłódkę. Ani słowa, nawet żonie, zgoda?

- Zwłaszcza żonie - dodał burmistrz.

- Toście strachu księżulkowi napędzili - roześmiał się Sierżant - myślałem, że pęknie ze złości, gdy dowiedział się o świętym Ateuszu...

Tym sposobem owego ranka, za sprawą pragmatycznych czterdziestolatków, cud został zdławiony w zarodku. Szybko o nim zapomniano, bo Żoras pościągał zewsząd rury. Trzydęby fundowały sobie wodociągi i kanalizację, kto żyw musiał rowy kopać w czynie społecznym, jeśli chciał mieć dostęp do dobrodziejstw cywilizacji miejskiej. A chcieli wszyscy, katolicy i bezbożnicy, partyjni i aktywiści „Solidarności”.

Tylko Róża nadal wędrowała ku dębom, oczekując na znak niebios. Pielęgnowała grób nazbyt troskliwie, wskutek czego jej gabinet dentystyczny podupadł. Natomiast ksiądz Maciąg przestał się chwilowo zajmować Bolesławem Śmiałym i wielką polityką; całą energię poświęcił zwalczaniu kultu Ateusza. Grzmiał z ambony przeciw fałszywemu świętemu, pisał memoriały do biskupa, do prymasa, nawet do Watykanu. Nie znalazłszy zrozumienia u duchownej zwierzchności podupadł na zdrowiu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nowy boss w Pewnusi. Śmierć na drzwiach. Śliwa wywieziony w siną dal. Biją z prawa, dobijają z lewa. W duszę zakonnika wkrada się zwątpienie.

Wróciwszy z zaległego urlopu, Śliwa zastał w Pewnusi zmiany na gorsze. Radiowęzeł opanowali działacze „Solidarności” i teraz megafony na halach bez przerwy trąbiły teksty mówców lub błogosławieństwa, których hierarchia kościelna nie szczędziła żadnym obradom. Majstra śmieszył familiarny sposób zwracania się do siebie związkowych bossów. „Jak powiedział Lech. Słusznie zauważył Staszek. Rację ma Heniek. Już o tym wspomniał Jurek. Godny uwagi projekt Janka”. I tak dalej w nieskończoność, jakby „Solidarnością” rządziła klika szwagrów; przy tym każdy z rodziny nie omieszkiał podkreślić, że występuje w imieniu „ludzi nowej Polski”.

Wkrótce też pojawił się mocny człowiek nowej Polski, gdyż magistra Markiewicza odwołano z funkcji za brak bojowości i ustępliwość wobec komuny. Przez aklamacje, a jakże, nie zdołał nawet głosu zabrać by odeprzeć zarzuty. Obecny przewodniczącym zakładowej komisji „Solidarności” okazał się montażysta nazwiskiem Maciaruk. Na hełmie wymalował sobie emblemat związku, z kieszeni kombinezonu wystawał pękaty długopis z wizerunkiem papieża. Miał gładko wygolone policzki, z mięsistych warg nie znikał pół uśmiech, pod lewym okiem tik, spojrzenie lodowate, a mowa pozbawiona wszelkich śladów emocji. Znalazł majstra przy naprawie wtryskarki.

- Pan jest tym osławionym Śliwą?

- Dlaczego osławionym?

- Podobno na pana nie ma mocnych. Przeszkadza pan w działalności związku.

- Działalności? Nie. Raczej warcholstwie.

- Proszę liczyć się ze słowami.

- Miałem dobrych nauczycieli, wbili mi w mózgownicę, żeby zawsze nazywać rzeczy po imieniu.

- Jeśli jeszcze raz uniemożliwi pan pracownikom udział w naszych akcjach...

- Chodzi o strajki?

-... w naszych akcjach, to wywieziemy pana taczkami za bramę i nawet Biuro Polityczne panu nie pomoże.

- Przyjmuję ultimatum do wiadomości. Samorządni i niezależni bojówkarze mogą już

taczki trzymać w pogotowiu,

- Bezczelności panu nie brak.

- Mnie? Z tej szczekaczki - Śliwa wskazał megafon - słyszę bez przerwy trele o demokracji, o pluralizmie politycznym, o szacunku dla cudzych poglądów. Niech pan wobec tego wytłumaczy, dlaczego wszyscy jak Polska długa i szeroka mają tańczyć tak, jak Wałęsa zagra? Dlaczego chce pan stosować kaprałskie metody wobec załogi? Nie myśleć, mordę w kubę, wykonywać rozkazy bez szemrania, góra wie najlepiej co dobre. Czy pan naprawdę nie widzi,, jak parszywa praktyka pożera wzniosłe ideały?

- Nie przyszedłem na dysputę polityczną.

- Szkoda. Nie zawadzi czasem pogadać od serca. Mam tutaj fachowców pierwszej klasy, chociaż dyplomu nie wǳchali: wyczarują kopię każdej zepsutej części, zregenerują każdy trybik, naprawią najbardziej skomplikowany mechanizm. Gdyby nie oni Pewnusia dawno by stanęła i wszyscy bez wyjątku poszlibyśmy na zieloną trawkę. Pan i ja również. Czują się odpowiedzialni za los załogi. Przeceniacie moje wpływy, tym ludziom nie można niczego nakazać ani niczego zakazać. Podejrzewam, że oni mają identyczny stosunek do partii i do „Solidarności”, to znaczy negatywny. Cenią tylko dobrą robotę. Po diabła im mǳać w głowach?

- Nieuświadomiony element. Śliwa zaczął się śmiać.

- Jest pan znacznie młodszy ode mnie, skąd ten żargon z lat pięćdziesiątych? Tak nazywaliśmy wówczas wszystkich, którzy niezbyt entuzjastycznie przyjmowali socjalizm. Przyglądam się „Solidarności” i przypomina mi się młodość. Gdy moja szkoła ruszała na pochód pierwszomajowy, kazano nam nieść portrety wǳatego generalissimusa i skandować przed trybuną: „Sta-lin! Sta-lin!”. A niedawno wyście hucznie obchodzili rocznicę powstania związku, świetlicę obwieszono wizerunkami innej wǳatej osobistości, oknami zaś buchała zbiorowa recytacja: „Wa-lę-sa! Wa-lę-sa!”, Zdumiewająca analogia, nieprawdaż?

- Dla pana analogia, dla mnie demagogia. Osoby z różnych parafii i krańcowo odmienne motywacje tłumów wnoszących okrzyki. Każdy ma takiego idola, na jakiego sobie zasłużył.

- Co nie zmienia faktu, że kult jednostki zawsze zaczyna się od bicia pokłonów przed portretem i wyreżyserowanego entuzjazmu.

Przewodniczący tematu nie podjął. Milczał przez chwilę nie odwracając wzroku, bo majster przyglądał mu się badawczo, jakoby chciał sprawdzić czy jego argumenty trafiły na podatny grunt.

- Tośmy sobie pogawędzili, panie Śliwa, wbrew moim intencjom. Ja przyszedłem

tylko ostrzec.

- Myślał pan, że wystarczy tupnąć nogą i wezmę dupę w troki.

Dostrzegł u Maciaruka cień zakłopotania, więc dodał pojednawczo:

- Wszyscy musimy uczyć się demokracji, panie przewodniczący. A na ten tik dobra jest młoda cebula. Przykładać parę razy dziennie.

- Trudno się z panem rozmawia.

- Żona mi wciąż powtarza to samo. Charakter mam spaczony.

Majster zbyt pochłonięty był pracą, by przywiązywać wagę do rozmowy z Maciarukiem. A powinien, przewodniczący wyglądał na człowieka zimnokrwistego lecz chytrego jak węż, który cierpliwie planuje atak zanim ukąsi. Nadmiar pewności siebie, zgubne przeświadczenie o słuszności własnych racji, wiara że sprostą każdemu wyzwaniu - oto co uśpiło czujność Śliwy. Nic dziwnego, że nieoczekiwane wypadki uderzyły go obuchem, wytrącając z równowagi.

Nad ranem obudził go dławiący dym: drzwi przedpokoju płonęły z suchym trzaskiem. Wskoczył z łóżka i jednym ruchem zgarnął płaszcze rodziny z wieszaka; już zaczynały się tlić. Skoczył do łazienki, napełnił wiadro wodą i zabrał się do gaszenia. Robił to pedantycznie zważając, by nadmiernie nie zmoczyć podłogi. Drzewo syczało, przedpokój napełnił się kłębamii pary, więc otworzył okna. Po kilku nawrotach płomienie zgasły; czerpiąc kubkiem wodę z wiadra dogasił żarzące się szczapy. Szmata zebrał z parkietu kałużę i wyszedł na korytarz.

Jężory ognia strawiły dolną część drzwi, pozostawiając osmoloną futrynę; ocalałe drewno przecinał wymalowany czarną farbą napis: „Śmierć komunie!”. Litera „r” wypadła akurat.

na miedzianej wizytówce i zamazała nazwisko lokatora. Przez chwilę przyglądał się sloganowi. Pokręcił głową:

- Co za łachudra! Nawet dwóch słów nie umie przyzwoicie nabazgrać.

Zajrzał do pokoju Piotrusia. Leżał na wznak pochrapując, kołdrę skopał na podłogę. Śliwa podniósł ją, okrył syna i wrócił do łóżka. Zaspana Teresa przytuliła się, obejmując go w pół.

- Która godzina?

- Śpij, Maleńka, jeszcze wcześniej.

Teresa rzeczywiście była drobną niewiastą, wyglądała przy mężu jak dziewczynka. Od początku znajomości nazywał ją Maleńka i tak się w rodzinie przyjęło. Nawet Piotruś wołał czasem na matkę: Maleńka to, Maleńka tamto. Pokpiwał z żony, że taka okruszyna, a

urodziła chłopca na schwał; zanosiło się iż syn niebawem przerośnie ojca. Odgryzała się wówczas - wzrost jak wzrost, ale całe nieszczęście tkwi w charakterze, niedaleko pada jabłko od jabłoni, chłopak tak samo zadziorny i uparty jak rodzic. Mieć pod dachem dwóch mruków, Boże mój, istny kataklizm, chyba na lepszy los zasłużyłam...

Musiał przysnąć bo zbudził go natrętny charkot budzika. Teresa podpierała ścianę obok ruiny drzwi.

- Hirek, co teraz będzie?

- Wstawiamy nowe wrota do gniazdka i szlus.

- Myślę o tobie. Pogróżki...

- Było, jest, przeminie. Zrób śniadanie, spóźnię się do pracy. W portierni odbijał na zegarze kartę, gdy podszedł strażnik i wziął go na stronę. Powiedział cicho:

- Niech pan nie wchodzi na zakład. Szykują się na pana.

- Mam ich w dupie.

Przed halą czekał orszak: dwudziestka aktywistów z opaskami na rękawach i Maciaruk, za którego plecami krył się inżynier Kajdyr. Maszynista Bukowski wskazał taczkę uwalaną miałem węglowym; oznajmił z ironiczną satysfakcją:

- Pojazd czeka na towarzysza. Na moje wyszło.

- Panie Śliwa, jest uchwała Komisji Krajowej, żeby partię usunąć z zakładu - cedził słowa Maciaruk. - Ponieważ mamy do czynienia z elementem wyjątkowo opornym i dobrowolnie...

- Od kiedy związek zawodowy rządzi krajem, hę? Jakim prawem chcecie mnie pozbawić pracy? I czy ja jestem partią? Koń by się uśmieł: jednoosobowa partia Hieronim Śliwa.

- Wyście wyrzucali naszych ludzi, teraz my szurniemy was.

- Ilu was? Raz. No to do dzieła, ważniacy. Patrzę na wasze gęby i nadziwić się nie mogę. Jakie krzywdy wyrządziła wam moja partia, że stoi ością w gardle? Pokończyliście bezpłatnie szkoły, z byle grypką biegało się do darmowego lekarza, mieszkanca też za pół darmo, a żebyście nie musieli martwić się o robotę, to wredna władza w Trzydębach fabrykę wystawiła.

- Nie chcemy komuchów i już.

- Jeszcze będziecie kwilić „komuno, wróć”. Wspomnicie moje słowa, pętaki. A dla ciebie, Maciaruk, mam dobrą radę. Przeczytaj w dzisiejszej gazecie o pewnym kryminaliście, który wlażł na komin więziennej kotłowni i przesiedział tam trzy doby, ogłosiwszy strajk wysokościowy. Mołojec! Komin naszej kotłowni wyższy, możesz pobić rekord osobiście.

Naród doceni, biskupi też, może nawet ogłoszą cię świętym, jak Szymona Słupnika.

- Pójdzie pan dobrowolnie?

- Nie. Wypowiedzenie na piśmie i trzymiesięczne pobory, zgodnie z Kodeksem Pracy.

- Brać go! - zakomenderował Maciaruk.

Tymczasem pracownicy wylegli na plac i w milczeniu przyglądali się scenie. Przyleciał też z biura zdyszany dyrektor. Ze zdenerwowania piał falsetem:

- Przekroczenie kompetencji! Łamanie prawa! Wyrzucacie najlepszego mistrza!

- Nomenklaturą w tym budynku - Maciaruk wskazał biuro - zajmiemy się w drugiej kolejności. Dyrektorem przede wszystkim.

Ktoś litościwy położył na taczki worek, żeby nie wybrudził ubrania. Niezależni i samorządni bojownicy usadzili na nich Hieronima, przytrzymując go, by nie uciekł; wywieźli ładunek za bramę, grzmotnęli o bruk.

- Teraz możesz sobie śpiewać „Międzynarodówkę” - powiedział Bukowski.

Śliwa rzucił mięsem* splunął im pod nogi i poszedł do domu. Niespodziewany powrót męża wystraszył Teresę. Zaparzyła herbatę i odczekała, aż wypali fajkę.

- Stało się coś?

- Skądże - skłamał - wziąłem wolne, bo trzeba drzwi wstawić.

Nie uwierzyła, lecz знаła go zbyt dobrze by wiedzieć, że molestowaniem nic nie wskóra. Ochłonie chłop, to sarn opowie. Podsunęła mu kopertę.

- Przynieśli z komitetu. Podobno pilne.

Pismo było krótkie. Komisja Kontroli Partyjnej domaga się stanowczo, by dziś o godzinie piętnastej stawiał się „w sprawie własnej” oraz informuje uprzejmie, że w posiedzeniu weźmie udział delegat z Warszawy.

- Jeszcze tego brakowało - westchnął. - Dostałem kopa z prawej, a teraz zdaje się przyleją mi z lewej. Pełnia szczęścia.

Wolny czas wypełniła naprawa wejścia. Przywiózł bagażówką nowe drzwi, dopasował, wstawił do futryny. Kikut starych skrótów i owinął papierem pakowym: w sam raz prezent dla delegata z Warszawy. Odprężony, siadł do obiadu. Między jednym kęsem a drugim opisał taczkową podróż, z końcową refleksją, która zdumiała Maleńką:

- W gruncie rzeczy żal mi tych solidarnościowych palantów. Wyobrażają sobie, że wystarczy z zegarka wyrzucić parę czerwonych śrubek, wkręcić w ich miejsce białe, pokropić wodą święconą, a mechanizm będzie funkcjonował inaczej, lepiej. Rozczarują się, bo cholerny czasomierz wskaże jak poprzednio tylko dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dorwą się do władzy by rozkwaśnić sobie gęby o twardą rzeczywistość.

Z pięciosobowego zespołu orzekającego, który miał rozpatrywać zarzuty przeciw niemu, nie znał nikogo. Przewodniczył starszy mężczyzna o spracowanych dłoniach, w pstrokatej koszuli z kołnierzykiem wyłożonym na marynarkę. Oskarżyciel został przedstawiony:

- Towarzysz Krabuś, dziennikarz, reprezentuje Centralną Komisję Kontroli Partyjnej.
- Znam towarzysza - powiedział Śliwa - czytuję jego organ.
- Tym lepiej - odparł Krabuś - nie możecie więc twierdzić, że nie znacie stanowiska partii wobec węzłowych problemów.
- Mam rozumieć, że to właśnie wasza gazeta wspomniane stanowisko reprezentuje?
- Oczywiście.
- Towarzyszu przewodniczący, proszę przejść do rzeczy. Nie wezwaliście mnie chyba po to, bym słuchał dowcipów redaktora.

Zbił oskarżyciela z pantafyku; na chwilę zaniemówił. Śliwa przyglądał mu się z niechęcią. Był dlań uosobieniem dwulicowości i karierowiczowstwa. Chwalił pod niebiosa słowem i piórem ekipę Bieruta, a gdy nadszedł rok 1956 szybko zmienił front i pisał peany na cześć Gomułki, zaś dla poprzedniego idola miał tylko słowa wzdargy. W roku 1970 włączył się błyskawicznie do chóru apologetów Gierka, a Gomułkę jął potępiać z neoficką gorliwością. W roku 1980 znów to samo - Gierka pod but, a dla jego następców hymny pochwalne. Zaskakujące zmiany frontu, dokonywane w porę, pozwalały wprawdzie utrzymać posadę, lecz politycznej kariery nie zrobił. Niespełnione ambicje jak robak toczyły jego jestestwo i w miarę upływu czasu garbił się, siwiał, na twarz wpełzały zmarszczki, zapewne sypiać nie mógł w obawie, by nie wypaść z gry, on, wszechpotężny - w swoim mniemaniu - dyktator opinii publicznej. Ściślej rzecz biorąc - części tej opinii, a jeszcze bardziej rzecz precyzując, warszawskiego odłamu inteligencji, który zwykł uważać się za opiniotwórczy nie dostrzegając, że małpuje poglądy już wypowiedziane przez suflerów.

- Centralna Komisja Kontroli uważa, że wy, towarzyszu Śliwa - wyjaśniał przewodniczący - dopuściliście się awanturnictwa politycznego, łamania dyscypliny partyjnej i czynów sprzecznych z programem PZPR. Obszerne uzasadnienie zarzutów w aktach.

- Otóż to - kontynuował Krabuś mowę oskarżycielską. - Czymże bowiem jeśli nie awanturnictwem jest okupowanie plebani...

- Zakrystii, redaktorze.

-...zakrystii, co tak szerokim echem¹ odbiło się w zagranicznych środkach przekazu? Komu to miało służyć? Wrogom Polski, którzy skwapliwie wykorzystali incydent do zaostrenia ataków na władzę ludową.

- A okupowanie szkoły przez wojujących klerykałów nie jest awanturnictwem? Zajmowanie gmachów państwowych przez „Solidarność” nie jest awanturnictwem? Paraliżowanie gospodarki strajkami nie jest awanturnictwem?

- Proszę mi nie przerywać! - zapienił się oskarżyciel. - Warn damy głos na końcu. Chcieliście zaognić sytuację w kraju? Tak. Storpedować pojednawcze wysiłki władz? Tak. Działaliście bez porozumienia z instancjami? Tak. Czy to nie wy na szkoleniu stwierdziliście publicznie, że - cytuję - tylko sięść i płakać, żeśmy do władz wybrali ludzi bez jaj i z wodogłowiem? Wniosek nasuwa się jeden: człowiek do takiego stopnia nieodpowiedzialny nie może być członkiem partii. Proszę towarzyszy, musimy sobie uświadomić, że lewacy stanowią istotne zagrożenie dla linii reform, wypracowanych przez kierownictwo.

- Słuchamy was, towarzyszu Śliwa - rzekł przewodniczący, gdy redaktor usiadł i zaczął sapać nad swoimi notatkami.

- Pozwolę sobie zauważyć, że towarzysz Krabuś powołuje się na program, który nie istnieje; stary stracił aktualność, nowy zostanie dopiero uchwalony na Zjeździe. Powołuje się na wypracowaną przez kierownictwo linię, choć trudno ją dostrzec. Chyba, że za ową linię uznamy łańcuch niekonsekwencji i kapitulactwa, namotany przez ostatni rok. Nazywa mnie lewakiem, a - jeśli wolno spytać - jestem członkiem włoskich Czerwonych Brygad, niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii, latynoskiego Sendere Luminoso? Podkładałem bomby, dokonywałem zamachów terrorystycznych? Na czym więc to moje lewactwo polega? Co wspólnego z partyjną oceną ma obrzuca nie epitetami człowieka, który usiłuje wyrażać poglądy inne niż towarzysz Krabuś i jego przyjaciele?

- Nie chodzi o moje poglądy, tylko o stanowisko partii.

- Co w waszym rozumieniu jest równoznaczne. A przecież właśnie wasza publicystyka patronuje rozbijackim strukturom, głosi pochwałę kapitalizmu i, żeby było śmieszniej, rehabilituje dogmatyków z lat pięćdziesiątych, którzy za swe zbrodnie powinni gnić w więzieniu.

- To jest demagogia! - oburzył się redaktor, rzucając długopisem o stół.

- Takie są fakty. Siedzicie okrakiem na barykadzie, zerkacie w prawo, a wierzycie w lewo: oto istota rzeczy.

- Nie pozwolę sobie obrażać!

- Przepraszam, powinienem docenić subtelność charakteru mego oskarżyciela. Jego zdumiewającą troską, by nie narazić się zachodnim kolegom po piórze. Nie ważna społeczna istota konfliktów w kraju, ważne natomiast, co o nich mówią za granicą. Z taką busolą można tylko polski okręt wprowadzić na mieliznę albo roztrzaskać o skały.

- Skończyliście?

- Jedno zdanie. Ponieważ zjazd wybierze władze, również nowy skład Centralnej Komisji Kontroli, proponuję, by moja sprawę odłożyć.

- Jestem przeciw! - stwierdził stanowczo Krabuś.

- Czyżby redaktor obawiał się, że przypadnie w głosowaniu?

Pytanie zawisło w próżni. Śliwa z kąta dobył swój rekwizyt, rozpakował. Ułomek drzwi prezentował się okazale, zwłaszcza napis „Śmierć komunie”; powiało spalenizną.

- Prezent dla towarzysza delegata - wyjaśnił - niech sobie postawi na biurku. Będzie przypominał wizytę w naszym miasteczku i pewnego lewaka, którego dziś w nocy omal nie sfajczono żywcem wraz z rodziną.

Przewodniczący kazał Śliwie wyjść na korytarz ponieważ zespół musi się naradzić. Siadł opodal popielniczki i zapalił fajkę. Spoza drzwi dochodziły podniesione głosy, trwała zażarta dyskusja. Na parapecie okna harcowały wróble. Czemu uczepili się właśnie mnie - myślał. Widocznie towarzysze w stolicy potrzebują pretekstu, by ukazać swe liberalne oblicze. Opiszą, potępią, odetną się od betonu w Trzydębach, podziwiającie narody jakie duszyczki nieskazitelne, chrześcijańskiej pokory pełne. Wałą ich w jeden policzek, a oni czym prędzej podstawiają drugi. Pomoże im jak umarłemu kadzidło.

Do tej pory nie zastanawiał się głębiej nad znaczeniem tego, co robi. Bieg wydarzeń narzucał normy postępowania, wybór istniał tylko między biernością, a przeciwstawieniem się zjawiskom szkodliwym - jego zdaniem - dla kraju, w sposób najskuteczniejszy. Nie próbował kwalifikować swych decyzji, żołnierz na pierwszej linii frontu również kieruje się jednym przykazaniem - musi walczyć, jeśli chce przetrwać i przyczynić się do zwycięstwa; obce są mu kalkulacje sztabowców. Dopiero dzisiaj zrozumiał, że postawa takich jak on szeregowych członków partii, ma wymiar polityczny sięgający poza jego partykularny horyzont.

Otwarły się drzwi i wypadł Krabuś. Złość wykrzywiła mu rysy, nie zauważył, że prochowiec trzyma za kołnierz a poły omiatają posadzkę. Nie zaszczyciwszy delikwenta spojrzeniem popędził do wyjścia.

- Redaktorze! - krzyknął za nim majster. - Zapomnieliście zabrać mój prezent.

Śliwę zaproszono do środka.

- Zespół orzekający nie znalazł podstaw, by towarzysza wydalić z partii - oświadczył przewodniczący w pstrokatej koszuli. - Zważywszy jednak, że niektóre wasze poczynania byty. jak by to określić... dość śmiałe, a z uwagi na konsekwencje powinny być być uzgodnione przynajmniej z Komitetem Miejskim PZPR, zespół postanowił wymierzyć

towarzyszowi najniższą statutową karę, upomnienie. Po roku kara będzie zatarta. Tyle.

- Dziękuję - wykrztusił Śliwa. - Muszę przemyśleć sprawę.

- Pozwolicie, towarzyszu Śliwa, że uścisknę wam dłoń? - przewodniczący wyszedł zza stołu z wyciągniętą prawicą. '- Dawno chciałem was poznać, jakoś zabrakło okazji.

Pożegnał się przyjaźnie z wszystkimi. Ogarnął go gwar ulicy. Przeszedłszy ruchliwe skrzyżowanie, dał nura w zieleń parku, tu mógł odetchnąć pełną piersią. Skierował się w stronę Zajazdu Pod Mieczem..

Właścicielem był jowialny grubas, a w roli kelnerki występowała jego połówica, Kleopatra, nie ustępująca mu pod względem tuszy, z obliczem ozdobionym nochalem przypominającym raczej motykę niż organ powonienia egipskiej królowej. Grubas w zamierzchłych czasach był dyrektorem poważnej firmy; posiadę stracił w wyniku kontroli ministerialnej, która udowodniła mu permanentne obchodzenie obowiązujących durnych przepisów. Fakt, że czynił to dla dobra przedsiębiorstwa, nie został uznany za okoliczność łagodzącą, więc plunął na państwową posiadę i włączył się w szeregi prywatnej inicjatywy.

- Cześć, kapitalistyczny krwiopijco - powiedział Śliwa na powitanie.

- Czołem, zakało proletariatu - odparł grubas.

-•- Coś pustawo w twojej spelunce.

- Bywalcy pobiegli się gapić na marsz głodowy.

- Jaki znów marsz?

- Pod hasłem „IX Zjazd PZPR to głód”, jeśli chcesz, koniecznie wiedzieć.

- Ze względu na swoją tuszę powinieneś kroczyć w czołówce, pod transparentem „Żądamy schabowego z kiszoną kapuś-tą”..

- Dlaczego właśnie z kapuś-tą?. Ogórek małosolny nie wystarczy?

- Może być ogórek. Ten cyrk przestaje być śmieszny. Dawaj piwo, zanim szlag mnie trafi. Grubas przechylił się przez kontuar:

- Okazja, możesz się wypowiedzieć, grzeszniku. Pod oknem siedzi mnich, widzisz?

- A, znajomek. Pogadam z nim.

Ojciec Hiacynt, na widok zbliżającego się majstra, zachęcił zamaszystym gestem do zajęcia miejsca.

- Sądząc po grobowej minie, los ostatnio nie był łaskaw dla pana, panie Śliwa.

- Trudno zaprzeczyć. Oberwałem tu i ówdzie.

- Moja szczęśliwa gwiazda również znika za horyzontem. Ksiądz proboszcz wyzwał mnie na dysputę teologicznej natury. Jeżeli wypadnie nie po jego myśli, opuszczę Trzydębę i zamknę się za mną furta klasztoru. Siedzę w tym przytulnym miejscu, rozmyślając o

zawiłych sprawach tego łoż padołu, a w duszę wkrada się zwątpienie. Marność, marność, nie tylko marność. Mam na myśli ludzką szamotaninę - owo odkrywanie prawd dawno odkrytych, pogoń za nieosiągalnym ideałem, szukanie źródeł zła poza własnym wnętrzem, by usprawiedliwić nikczemność swoich czynów. Nie otrzymałem tak gruntownej edukacji jak ksiądz doktor Maciąg, lecz długie lata trawiłem w bibliotekach, by zgłębić mechanizmy rządzące ludzką zbiorowością, wzlotami i upadkami kultur na różnych kontynentach, w czasach pradawnych i nowszych. Nihil novi sub sole, panie Śliwa, wszystko już było, dzisiejszy świat jest tylko lekko podmałowaną kliszą zamierzchłych epok.

Ze stosu czasopism, leżących obok szklanki piwa, dobył jakiś tytuł i przekartkował.

- Proszę posłuchać tekstu pióra współczesnego felietonisty: Podczas masowych wieców odbywało się pranie cudzych brudów i wybielanie własnych, między tłumami krążyli samozwańczy odnowiciele, na mównice wdzierali się nawiedzeni prorocy, wieszcząc koniec świata i gniew boży. Słuszne hasła mieszały się z ordynarną prywatą. Niedowiarkowie leżeli krzyżem przed ołtarzem, a bogobojni opluwali świętości. Rozpadały się jedne mity, a powstawały inne - białe stało się czarnym, a czarne załśniło bielą...

- Trafna charakterystyka obecnych wydarzeń w Polsce.,

- Czy tylko? Słyszę tu słowa starożytnych autorów, świadków upadku Cesarstwa Rzymskiego. Tak pisali średniowieczni kronikarze, widząc Europę wstrząsaną ruchami religijnymi, które zwieńczyła Reformacja. To głos publicystów Rewolucji Francuskiej lecz także jęk trwogi intelektualistów, porwanych w tryby bolszewickiego przewrotu. Jeśli spojrzeć z perspektywy wieków, przemiany w Europie wschodniej, dziejące się na naszych oczach, przemiany które swoje apogeum osiągną, jak sędzę, za lat kilka, będą tylko czkawką po minionych kataklizmach.

- Wniosek dla Hieronima i Hiacynta: nie martwcie się, miliony istnień przed wami przeżywały podobne doświadczenia.

- To właśnie chciałem podkreślić - zaśmiał się zakonnik - bowiem nic bardziej nie podnosi na duchu niż świadomość, że cierpi się wraz ze zbiorowością.

Śliwa zamówił Papieżycę Joannę. Franciszkanin posmakował, cmoknął z uznaniem; pił koktajl delektując się każdym łykiem. Rozmowa potoczyła się swobodniej, zatracając o tematy nader różnorodne, choć powiązane ukrytym sensem. Majster o strajku wysokościowym na kominie, zakonnik o Szymonie Słupniku i mechanizmie kreowania świętych. W tej materii wyraził daleko posunięty krytycyzm powołując się na fakt przetrzebienia w roku 1969, wolą papieża Pawła VI, listy niesłusznie kanonizowanych postaci. Wykaz Martyrologiun? Romanum zmniejszył się wówczas o dwieście pozycji. Jego

zdaniem, obecnie władający ludem bożym Starszy Pan z Watykanu, przesadza nieco w swej chwalebnej gorliwości gdyż po każdej jego podróży zagranicznej święci mnożą się jak króliki. Można by przypuszczać, że postanowił wszelki nawiedzony swą osobą kraj obdarzyć lokalnymi męczennikami, o rysach indiańskich, murzyńskich, chińskich, abisyńskich, gdyż uwielbienie dla białoskórych przedmiotów kultu drastycznie maleje na całym świecie.

Opasła Kleopatra jeszcze kilkakrotnie serwowała trunki pod wezwaniem kontrowersyjnej figury Kościoła Powszechnego. Niebawem Hieronim i Hiacynt byli po imieniu, opuszczali zaś Zajazd Pod Mieczem w pogodnym nastroju, podtrzymując się nawzajem ze względu na przejściowe zakłócenie równowagi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wyzwanie - proboszcz oko w oko z podstępny mniczem. Mizeria asystentów szermierzy. Bóg się cieszy, szatan wyje, albo odwrotnie. Piekło obnażone ze wszystkich stron, tudzież z góry i od spodu.

Dysputa teologiczna, której lustrzane odbicie znajdujemy w spuściźnie redaktorów Tygodnika Powszechnego - odbyła się Anno Domini 1981 na plebani kościoła świętego Stanisława. Pokoik średnich rozmiarów, lecz noszący widome ślady pobożności gospodarza: Pismo Święte, krucyfiks, obrazy o treści religijnej, kolorowy portret biskupa Rzymu w natchnionej pozie. Ksiądz Maciąg, spodziewając się trudnych momentów, na dzień ów pamiętny zgromadził przezornie podręczny zapas wody święconej, relikwiarz oraz tuzin encyklik, odbitych na czerpanym papierze, opatrzonych wizerunkiem dostojnego autora i jego autografem. Jeśli kościół jest domem Stwórcy, to plebanię zwą Jego przedpokojem, zwłaszcza gdy przenika ją duch wzniosłości tak wyraziście obecny, jak w Trzydębach.

Zgodnie z tradycją, wywodzącą się z czasów dyskursów prawomyślnych kapłanów z heretykami, podłogę przedzielono białą linią na pół. Po każdej stronie stały dwa trzcinowe krzesła i pulpit, dla rozłożenia notatek i drukowanych argumentów. Pierwszy nieśmiałym kroczkiem zbliżył się do wyznaczonego siedziska franciszkanin. Z pokażnej łysiny zsunął kaptur, odruchowo poprawił fałdy habitu i usiadł. Wkrótce przydreptał ksiądz Kurowski, zajmując miejsce obok. Jeden o silnej budowie ciała, rysach wyrazistych, opalonych policzkach, drugi przygarbiony wiekiem, siwiutki, z twarzą pooraną zmarszczkami. Różnił ich nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także doświadczenie życiowe. Staruszek święcenia kapłańskie otrzymał tuż przed wybuchem wojny, a ojciec Hiacynt zaczął pełnić posługi religijne dopiero w latach siedemdziesiątych, chociaż do zakonu trafił osobliwym zrządzeniem losu jako osiemnastolatek.

Teraz wkroczył ksiądz Maciąg wraz z wikarym Pyrko. Proboszcz zmizerniał od czasu konfliktu z Ateuszem Pokornym i niesamowitych następstw śmierci nauczyciela. Włosy, dawniej bujne, przystrzygł krótko, co bardziej uwydatniło jego drapieżne rysy: orli nos nad wąskimi wargami, cofnięty podbródek, duże uszy przywarte do czaszki. W oczach, jak dawniej, gorzał mu fanatyzm pierwszych chrześcijan; dusza nie zatraciła żaru wiary, choć ciało osłabło. Wikary nie siadł obok zwierzchnika, stanął skromnie pod ścianą; z chłopięcą twarzą i włosami opadającymi na ramiona podobny był aniołowi, czuwającemu nad duszą zagrożoną przez szatana.

Doktor teologii złożył dłonie: odmawiał w myślach modlitwę. Potem chrząknął, lecz - ku zaskoczeniu słuchaczy - zamiast rozpocząć egzekucję mnisich poglądów, wylał z siebie wszystkie żale.

- Gdzież, pytam, przyszło mi pełnić służbę bożą? W mieście niedowiarków, zatrutych jadem grzechu i ślepotą. W mieście, gdzie odrażająca flądra Pelagia gwałci bezkarnie duchownego, któremu sobie upatrzył na następcę, a rudy drab ośmiela się podnieść pięść na wysłannika Kościoła. W mieście uprawiającym kult bezbożnika, przysługujący tylko świętym. I w takiej Sodomie pytam, kogo mam pod bokiem?

Spiorunował wzrokiem naprzeciw siedzących; z ubolewaniem pokiwał głową a w głosie zadźwięczała nuta wzdargy.

- Oto kogo mam. Księżdzapatriotę, który tak skumał się z bezbożną władzą, że przestał dostrzegać wokół siebie komunistów i ośmielał się ozdabiać swą osobą reżimowe pokazówki.

- O, przepraszani! - postawił się Kurowski. - Byłem kapelanem wojskowym, walczyłem ze szwabami, więc w kombatanckich imprezach miałem prawo uczestniczyć. Ani mnie, ani Kościołowi ujmę to nie przyniosło. Mam stopień kapitana rezerwy i Krzyż Grunwaldu.

- A powinieneś mieć krzyż w sercu, Chrystusowy. Twoja przecież wieloletnia gnuśność umożliwiła tak zastraszające postępy pogaństwa w parafii. Proboszcz śpi, w piekle tańczą.

- Znam inne przysłowie: proboszcz wojuje, diabeł się raduje. Każda akcja wywołuje reakcję proporcjonalną do użytych środków. Nad powszednimi kłopotami wiernych należy pochylić się z troską, okazać odrobinę wyrozumiałości dla ludzkich przywar. Nie wolno po chamsku, buciorami, włączyć człowiekowi do sumienia. Bo zadcpczesz je na amen.

- Milcz, nieszczęsny starcze! Dostrzegam z ubolewaniem, że twoja emerytura wisi już na włosku.

Ojciec Hiacynt z niewzruszoną twarzą przysłuchiwał się dialogowi, dopóki nie usłyszał groźby tak niesprawiedliwej. Uniósł powieki i rzekł z gryzącą ironią:

- A ja widzę, że pewien doktor nauk teologicznych w ogóle emerytury nie doczeka. Żółć go zaleje w kwiecie wieku.

Ksiądz Maciąg wpatrywał się w zakonnika, a niechęć biła mu z oczu. Pomiarkował się wszakże, tłumiąc gniew napływający niepowstrzymaną falą.

- Dobrze. Teraz zajmujemy się tobą. Zwróciłem się do przeora klasztoru, by zechciał wydać opinię o konfratrze, który chyba przez nieporozumienie został mi narzucony w

charakterze, pozał się Boże, pomocnika. Zamazane kontury twej osobowości budziły mój niepokój od dawna. I oto co twój długoletni zwierzchnik pisze:

Jako sierota, chroniąc się przed służbą wojskową, odbył Hiacynt w sposób przykładowy nowicjat i złożył najpierw śluby zwykłe, a później uroczyste. Pokładaliśmy w nim wielkie nadzieje. Jednakże w miarę upływu czasu okazało się, iż z rad ewangelicznych - posłuszeństwa, ubóstwa, czystości - zwykł cenić tylko wzdargę dla dóbr materialnych. Pilny nad wyraz, zgłębiał w bibliotece tajniki historii, lecz w sposób chaotyczny, nie wystarczająco umocowany w nauce Kościoła. Co gorsza, szerzył swe wątpliwe poglądy wśród braci zakonnych, a wobec napomnień okazywał krnąbrność, pozwalając sobie nawet na kpiny. O cnocie czystości nie wspomnę, bo sprawy nie badał, lecz pogłoski o jego bachorach utrzymywały się długo...

Proboszcz odłożył list i zatarł dłonie. Czuł się jak entomolog, gdy dopadnie poszukiwanej ćmy i przyszpili okaz w gablotce.

- Cóż teraz rzekniesz, mnichu? Udany portret?

- Owszem, poza jednym szczegółem. Nie mam bachorów tylko syna, poczętego z wielkiej miłości; wyrósł na uczciwego i mądrego młodzieńca. Ani ja się go wstydzę, ani on mnie.

- Jeszcze chwila, a usłyszę hymn na cześć zgnilizny moralnej, przejdźmy więc ad rem. Doniesiono mi, że dla określenia głowy naszego Kościoła, używasz obraźliwego zwrotu „Starszy Pan z Watykanu”.

- Dlaczego obraźliwego? - Starszy, bo nie młody przecież. Pan... mówimy zwyczajowo Pan Bóg, a któż znajduje tu choćby cień braku szacunku? Może Watykan jest dla księdza doktora kamieniem obrazy? Tytułowi „Ojciec Święty” brak precyzji, albowiem czcigodna osoba nie została za życia kanonizowana, co zresztą byłoby sprzeczne z nauką Kościoła.

- Chcesz się wykręcić sianem, mnichu, jakbyś zapomniał, że diabeł tkwi w szczegółach.

- No właśnie. W tych mianowicie, które rzeczy przyziemne podnoszą do rangi świętości, co jest przejawem grzesznej pychy.

Wije się jak zmija - pomyślał ksiądz Maciąg - lecz my go ucapimy, potknie się nikczemnik na Ateuszu lub piekle. Wpędzę na tę bezczelną gębę strach, poczuje respekt wobec prawd niewzruszonych. Szkoda, że nie zabrałem się do dzieła wcześniej, rozsiewał zapewne truciznę jak winnica pańska długa i szeroka.

Uściśliwszy skryte intencje, zagadnął:

- Masz, jak mniemam, dobrą pamięć. Pomnisz herezje, które głosił z ambony ten odrażający belfer, Ateusz?

- Pamiętam każde słowo.

- Oceń.

- Jeśli chodzi o biskupa ze Szczepanowa...

- Świętego Stanisława, chciałeś rzec.

- Jeśli chodzi o patrona naszego kościoła, Ateusz wykazał nadmierną pewność siebie. Historycy po dziś dzień nie są przekonani, po czyjej stronie leży wina. Byłże król gwałtownikiem, który targnął się na niewygodną dlań osobę duchownego? Czy biskup znosił się z Niemcami w zdradzieckich celach i został ukarany gardłem? Brak dokumentów i wiarygodnych świadków, by twierdząco odpowiedzieć na któreś z tych pytań.

- Kościół już odpowiedział, wynosząc Stanisława na ołtarze.

- Miał w tym swój interes. Kanonizowany biskup stał się wygodnym orężem do walki z władzą świecką.

- Powtarzasz brednie. Odnotujemy twoją nieufność wobec prawd, które Kościół do wierzenia podaje. Idźmy dalej.

- Pozostałe twierdzenia Ateusza można streścić w jednym zdaniu: wiele dogmatów naszej wiary zaczerpniętych zostało z dawniejszych religii.

- Potwarz! Mówisz o prawdach objawionych - sakramenty chrztu i przemienienia, niepokalane poczęcie, trójca święta, zmartwychwstanie - podobne bluźnierstwo mogło przejść przez gardło Ateusza, lecz ty, który mienisz się sługą świętego Franciszka z Asyżu?!

- Być może są to rzeczywiście prawdy objawione. Jeśli tak, na wiele wieków przed narodzeniem Chrystusa zostały objawione kapłanom i prorokom babilońskim, egipskim, perskim. Później za żydowskim pośrednictwem dotarły do Palestyny. Fakty są niepodważalne. Mam je przemilczać?

Ksiądz Maciąg ukrył twarz w dłoniach. Milczał długo wstrząśnięty widokiem pęknięć na harmonijnej budowli, którą chronił w sercu pieczołowicie. Wikaremu ścierpły nogi, ujął ostrożnie krzesło, odsunął pod ścianę; mógł teraz sięść, podkreśliwszy dystansem szacunek dla proboszcza. Ksiądz Kurowski drzemał beztrosko.

- Jeśli to prawda, w co wątpię - odezwał się proboszcz - winieneś oniemieć, by małuczkim w głowach nie zostało zamącone.

- Niech drżą przed piekłem i utwierdzają się w wierze. Płytką recepta! Człowiek jest istotą myślącą, wcześniej czy później zaczyna zadawać kłopotliwe pytania, poszukiwać samodzielnie odpowiedzi, zwłaszcza gdy mentorzy w sutannach każą mu bezkrytycznie

przyjmować do wierzenia doktrynę, sprzeczną z rozumem. Ksiądz doktor, stwierdzam z zadowoleniem, spuścił jakby z tonu, ośmielałam się więc podnieść problem piekła. Można?

- Chcesz powiedzieć, że chrześcijanie też zapożyczyli się w tym względzie?

- Nie przeczę. Wiara w życie pozagrobowe powstała zapewne w najdawniejszych społecznościach, a w jej następstwie przekonanie, że zło zostanie po śmierci ukarane. Umieszczano więc cienie zmarłych w głębinach oceanu, na szczytach gór, wewnątrz wulkanów, w podziemnych czeluściach, a nawet wśród gwiazd. Czyli w takich miejscach, które wydawały się straszne - zwrómy uwagę •- ludziom. Stopniowo, dla spotęgowania owej straszności, umieszczano tam różnorakie potwory, zaczerpnięte z lokalnych mitów, przeważnie smoki, węże, hybrydy. Złoczyńców należało karać, więc arsenał piekielny rozszerzył się o wszelkie rodzaje tortur, stosowanych w ziemskim, podkreślmy - w ziemskim sądownictwie. Zaiste, prorocy mieli bogaty wybór - z żywiołów wybrali ogień, symbol oczyszczenia, z potworów ukształtowali diabła, wzorując się na etruskich i chińskich demonach z nietoperzymi skrzydłami. Natomiast okrucieństwa ziemskiego sądownictwa zachowali bez zmian, zlecając je upadłym aniołom. Azaliż można twierdzić, że ukształtowane w ludzkiej wyobraźni piekło stworzył Bóg? I grozić nim wiernym?

- Winienem zasłonić uszy.

- Kto w kazaniach posługuje się bez umiaru piekielną retoryką, musi wykazać minimum orientacji, w przedmiocie. Otóż przez historię przewija się również odmienna koncepcja piekła, sformułowana najpełniej w pismach Platona i Awiceny: piekło jest tylko męką duchową, męką samotności i wyrzutów sumienia. Lukrecjusz głosił wręcz, że życie głupców staje się piekłem już na ziemi. W epoce Odrodzenia piekło traktowane było jako poetycka przenośnia o zabarwieniu moralnym i psychologicznym, a nie jako byt samoistny. Zapytajmy tedy, dlaczego chrześcijaństwo wybrało najbardziej ponury wariant?

- Czyżbyś znał odpowiedź? - proboszcz zaprawił pytanie szczyptą ironii.

- Bo nasza religia oparta jest na strachu i niewolniczym podporządkowaniu wyrokom boskim. Na tych dwóch kamieniach węgielnych wznosi się Kościół. Usuń strach, a runie połowa; daj Bogu oblicze wyrozumiałego ojca, runie druga połowa. I z dumnej budowli zostanie kupa gruzu. Stwórca zaś, który jest dobrem najwyższym i sędzią miłosiernym, ucieszy się, zrzuciwszy maskę nałożoną mu przez żydowskich i chrześcijańskich fundamentalistów.

Ksiądz Maciąg przestał słuchać. Z chaosu myśli wykluwało się straszliwe podejrzenie, które jeszcze nie przybrało ostatecznego kształtu, ale które już wstrząsało jego ciałem, powodując palpitację serca i suchość w krtani. Ciszę wykorzystał wikary Pyrko, zgłosiwszy

nieśmiały protest:

- Ojcowie Kościoła głoszą wszakże...

- Twoi Ojcowie Kościoła byli tylko ludźmi, miotanymi między świętością a zbrodnią, między światem realnym a własnymi wizjami - przerwał młodzieńcowi zakonnik. - Święty Grzegorz, papież zwany Wielkim, w VII wieku umieszczał piekło w kraterach sycylijskich wulkanów. A ponieważ w tym okresie obywatele rzymscy ze względów pedagogicznych byli zmuszani do asystowania przy publicznych egzekucjach, ów kościelny dostojnik wyobrażał sobie podobny ceremoniał w zaświatach.

Wziął do ręki gruby foliał, zatytułowany Nauki Błogosławionych i Świętych, ku pożytkowi parafian wydane. Przewertował i znalazł odpowiedni ustęp.

- Wspomniany Grzegorz uczy: To, że dusze potępione płoną w ogniu, jest pożyteczne, albowiem sprawiedliwi widzą, jak karane są grzechy, których sami z bożą pomocą uniknęli. Oglądają męki by pojąć, do jakiej wiecznej wdzięczności wobec Boga są zobowiązani, gdyż z łaski bożej owych płomieni i mąk uszli. Budujący obrazek, nieprawdaż wikariuszku? Oto skaliste urwiska Etny; wewnątrz krateru, wśród ognistej lawy i gryzących wyziewów, uwijają się w pocie czoła szatani, torturując skazańców. A w powietrznym amfiteatrze wokół wulkanicznej areny, w radosnym uniesieniu obserwują męki duszyczki sprawiedliwych oraz chóry anielskie, nucąc niekiedy dla odprężenia „Hosanna”...

Tymczasem wyobraźnia księdza Maciąga oblekała w kontury straszliwe podejrzenie, a ono z tą chwilą przeistoczyło się w pewność: nie mnich siedzi przed nim, a diabeł wcielony w postać Hiacynta. Szatańskim zwyczajem oplótł mnie siecią prawd pozornych, usypiając nabożną czujność, by posiać zatrute ziarno zwątpienia. Bogu niech będą dzięki, że otwarł źrenice moje, bym mógł intrygę piekielną unicestwić!

Porwał kropidło i zanurzony w wodzie święconej, zamaszystymi gestami pokropił wrażą siłę. Ksiądz Kurowski dzięki prysznicowi ocknął się z drzemki, a franciszkanin podziękował skinieniem głowy za magiczne odpędzenie złych duchów i ciągnął dalej:

- Wniosek: piekło stworzył człowiek według własnych wyobrażeń, a Kościół wykorzystał zabobon dla utwierdzenia swego ziemskiego panowania. Bogowie wszystkich ludów jak świat światem budzili przerażenie i respekt, dlaczego ma być inaczej pod koniec XX wieku? Bez strachu nie byłoby religii, bez religii Kościoła, a bez Kościoła... przepraszam, kwestia bezrobocia duchowieństwa wykracza już poza temat.

Proboszcz podjął ostateczny wysiłek demaskatorski. Jeśli nie mogę przydybać księcia ciemności - pomyślał - przyszpilę chociaż jego wiernego sługę, czerwonego diabliszona.

- Nie jest dla nas tajemnicą, że zadajesz się z komuną, Hiacyncie. Parokrotnie

widywano cię z indywiduum o nazwisku Śliwa, a onegdaj kroczyliście chwiejnie przez miasto niby pospolici opoje, wrzeszcząc pieśń bezwstydną...

- Błąd w donosie, księżę doktorze. Czy można potępiać tekst, który wyszedł spod pióra sławnego w Europie i krajach zamorskich biskupa Krasickiego? Pomieszczony w „Monachomachii” jest ozdobą tego utworu. Zaintonuję dla przykładu: Wdzięczna miłości kochanej szklenice...

- Przestań, ryczysz jak wół!

- Z mistrza Śliwy taki komunista, jak ze mnie kardynał. Komunizm to światowa rewolucja, walka klas, przodująca rola proletariatu i podobne fantamagorie. Jednym słowem destrukcja. A Śliwa dąży do ładu, chce widzieć świat urządzony harmonijnie, na podobieństwo mechanizmu, któryby funkcjonował sprawnie w każdym ustroju i pod każdym rządem. Mea culpa, mea maxima culpa, gdyż wbrew modnemu dziś zwyczajowi nie oceniam ludzi według legitymacji partyjnej, ani według tego, w jakim kościele się modlą.

- Popelniasz błąd nader wymowny.

- Unikam błędu najgorszego: brania pozorów za istotę rzeczy. Przyznam jednak, że mój obiektywizm ma granice. Nie obejmuje mianowicie - osobnika, który zawsze merda ogonem w stronę, skąd wiatr wieje; lizidupka bijącego pokłony przed każdą znaczniejszą figurą świecką lub duchowną; pobożnisia zbyt gorliwego. W tym miejscu przytoczę myśl pewnego mędrca z Bolonii, że Antychryst może zrodzić się także z nadmiernej miłości do Boga, kacierz ze świętego, a opętany z proroka. Strzeż się - mówi ów mąż uczonej - zwłaszcza proroków i tych, co gotowi umrzeć za prawdę, gdyż zwykle zamiast siebie, pociągają ku zgubie mnogich bliźnich. Dostrzegam w powyższej sentencji głęboką mądrość, lecz wątpię, by dotarła ona do twej świadomości, doktoryzowany niebacznie proboszczu, a tym bardziej do mózgowicy biednego wikarego, przenicowanej przez seminaryjnych doktrynerów.

- Twój jęzor ocieka jadem.

- Nie. To smutek we mnie kwili, nieboraczek, gdyż w tej plebani pokutuje duch Torquemady. Zapomniałeś, że kazano ci głosić ewangelię miłości?

- Ha! - wykrzyknął triumfalnie ksiądz Maciąg, zacierając dłonie. - Wreszcie zrzuciłeś maskę. Kościół Miłości, tak? Gnoza, tak? Herezja katarska, tak?

Hiacynt roześmiał się, tak absurdalne wydało mu się to oskarżenie. Interesował się co prawda tym średniowiecznym ruchem religijnym, który od Iranu po Atlantyk miał miliony wyznawców, a w XII wieku zagrażał nawet dominacji Rzymu. Kościół organizował krucjaty przeciw największym skupiskom katarów, tępił ich mieczem, duchownych poddawał

torturom, a wiernych palił masowo na stosach. Ten los tragiczny budził w zakonniku współczucie, a myśląc o fanatycznych oprawcach w sutannach nie mógł pozbyć się odrazy. Z krwi wówczas przelanej zrodził się zakon dominikanów i Święte Oficjum; wtedy właśnie wyhodowano legiony inkwizytorów, którzy tak haniebnie zapisali się w dziejach późniejszych stuleci.

Jednakże biskupi katarscy i ich papież, Niketas, okazali się takimi samymi dogmatykami jak rzymski kler. Ponieważ na świecie panuje zło - zakładali, iż wszelką materię (również istoty żywe) stworzył szatan. Kto płodził potomstwo powiększał królestwo księcia ciemności, dlatego powstrzymywanie się od pożycia za największą cnotę poczytywali. Wierzyli w wędrówkę dusz, zabijanie ludzi i zwierząt oznaczało dla nich zbrodnię niewybaczalną: w cielesnej powłoce pokutować mogła dusza wcześniej zmarłego grzesznika. W konsekwencji byli katarzy niezłomnymi pacyfistami i jaroszami, którzy za szczyt szczęścia uznali wyzwolenie duszy od diabelskiej struktury materialnej, poprzez samobójstwo lub zagłodzenie się na śmierć. Nic dziwnego, że w płomienie stosów roznieconych przez prześladowców szli gromadnie, trzymając się za dłonie, z nabożnym śpiewem i radością w oczach - oto nadchodziło wyzwolenie od przekłętej niewoli, podążali do swego Boga, w stronę dobroci i sprawiedliwości absolutnej. Pospółstwo nazywało ich „dobrymi ludźmi”, gdyż - w przeciwieństwie do szlachty i duchowieństwa - nikomu krzywdy nie czynili.

Franciszkanin uważał się za wroga dogmatów, politycznych, religijnych, ekonomicznych; wiedział, że życie zawsze okazywało się bogatsze, bardziej różnorodne, wymykające się wszelkim regułom wymyślonym przez świeckich i duchownych oszołomów. On cieszył się życiem, widział w nim więcej blasków niż cieni, przepelniała go życzliwość wobec bliźnich, wyrozumiałość dla ich słabostek i wad. Kiepskim psychologiem okazał się ksiądz Maciąg, usiłując mu przyprowadzić gębę katarskiego ascety. Z czystej przekory postanowił jednak nie wyprowadzać go z błędu. Niech się głębiej zapłacze we własną sieć.

- Wyobraźmy sobie odrobinę historii alternatywnej - por wiedział z nieodgadnioną miną, dłońmi na pulpicie wymierzając granice owej odrobiny. - W średniowieczu kataryzm zwycięża, a rzymscy katolicy ogłoszeni zostają heretykami.

- Zgroza! - jęknął proboszcz.

- Bóg by do tego nie dopuścił - dodał wikary z głębokim przekonaniem.

- Nie grzesz pychą, Pyrko, jeszcze cię niebiosy nie powołały na rzecznika prasowego Pana Boga. Ad rem. Załóżmy wspomnianą i wielce prawdopodobną alternatywę. Ludzkość uniknęłaby wówczas paru dokuczliwych plag: licznych wojen, prześladowania innowierców, eksplozji demograficznej, klęsk głodu. Duchowni żyli by w przykrym ubóstwie, zamiast

wykazywać naganną pazerność na dobra doczesne, czym nasz kler grzeszy od tysiąca lat bez mała, a co dziś w Polsce osiągnęło zgoła groteskowe rozmiary - myślę o tych księżach, którzy reklamują mercedesy i wino, przy kościołach pootwierali sklepiki, a wiernych żyłują z ostatniego grosza. Jezus pognałby ich batem, jak to uczynił z kupczącymi w świątyni jerozolimskiej.

- Bracie - proboszcz zwrócił się do wikarego łamiącym się głosem - bracie mój, biorę cię na świadka, iż ów odrażający mnich za szatańskim podszeptem wychwala... herezję!

- Nie wychwalam, teologiczny doktorku - Hiacynt wzruszył lekceważąco ramionami - stwierdzam fakty. Na przykład celibat i kult dziewictwa Rzym zerznął bezczelnie od zwalczanych przez siebie katarów. Otóż zdajesz się uważać, że tylko prawomyślna (w twoim mniemaniu) wiara daje patent na logiczne myślenie. Dobrze, prześledźmy więc wywód, powtarzający się w wielu pismach gnostyków, katarów również. Jeśli...

- Nie będę słuchać tych bredni! - krzyknął Pyrko w nagłym przypiływie heroizmu, zrywając się z krzesła.

- Siadaj! - pociągnął go za sutannę proboszcz. - Niech ten człowiek pograży się do końca.

- Filozofowie twierdzą, że między przyczyną a skutkiem musi istnieć analogia, to znaczy dobra przyczyna daje dobry skutek, a zła zły. Świat jest przeżarty na wskroś złem, a istota ludzka niedoskonała, więc nie mogą być dziełem dobrego i wszechmogącego Boga. Bowiem - jeśli Bóg zamierzał stworzyć istotę doskonałą, na swój wzór i podobieństwo jak czytamy w Piśmie, a nie zdołał tego osiągnąć - nie byłby wszechmocny. Gdyby zaś mógł stworzyć istotę doskonałą, a z sobie wiadomych powodów nie zechciał tego uczynić, wówczas nie byłby samym dobrem i wszechogarniającą miłością. Wniosek: nie Bóg stworzył świat, lecz jego antagonistą, szatan. Przypomnijmy sobie scenę kuszenia Chrystusa z „Nowego Testamentu”. Diabeł wskazując Ziemię mówi: „Jeśli pokłonisz się przede mną, twoje będzie wszystko”. A więc w zamian za hołd ofiarowuje świat, świat oczywiście stworzony przez siebie, bo przecież potępieniec nie mógłby dysponować dziełem Boga-Stwórcy. Chrystus odmawia, biznes nie dochodzi do skutku, dlatego ludzkość po dziś dzień musi się męczyć na tym łez padole i zanosić modły pod niewłaściwy adres, ku większej radości piekieł...

Długie milczenie przerwał wreszcie ksiądz Maciąg. Ascetyczna twarz poczerwieniała, rozwierał i zaciskał palce jakby dusił wroga, słowa cedził przez zaciśnięte zęby:

- Miałem cię dotąd za nieszkodliwego durnia, mnichu. Odtąd będę nienawidził. Z głębi serca. Plugawisz naszą wiarę świętą. Stajesz po stronie odstępców i ateistów.

- Który z nas ją plugawi swoim postępowaniem, rozsądzi wkrótce Najwyższy. Ja Sądu Ostatecznego się nie obawiam. Jeśli zaś o ciebie chodzi, rozumiem, oddałbyś mnie chętnie w łapy inkwizytora, aby zdożne myśli wypalił ogniem i żelazem. Nic łatwiejszego, zwróć się do Sejmu, który dziś jedni nazywają kuźnią demokracji a drudzy kaźnią swobód obywatelskich. Znajdziesz posłów przepojonych duchem Świętego Oficjum, oni dekret o powołaniu odpowiedniego urzędu przygotowują błyskawicznie. Wzory są gotowe, wystarczy odwołać się do pism papieża Innocentego III z przełomu XII i XIII wieku. Jeśli zechcesz, wyszukam ci adresy panów Jurka, Niesiołowskiego, Piotrowskiego, Łopuszańskiego i paru innych. Zaś ateistów nie wypominaj, winieniś im odrobinę szacunku. Są neutralni, bo nie wierzą ani w niebo, ani w piekło; ty przecież gorliwie wojujesz z czartem i chyba nie chcesz zepchnąć ich do obozu wroga?

Po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

- Rozumiem, żeśmy nasz dyskurs o mocach piekielnych wyczerpali. Mogę tylko westchnąć: niech Bóg miłosierny oświeci umysły wasze. Amen.

Wstał, uklonił się i przysłoniwszy kapturem łysinę wyszedł, a ksiądz Kurowski podreptał za nim. Proboszcz wpatrywał się tępo w puste krzesła, aż zaniepokojony Pyrko ujął go pod ramię i wyprowadził w stronę sypialni. Długo nie mógł zasnąć, czuł się i poturbowany na duszy i ciele. Oczekiwał łatwego zwycięstwa j w dzisiejszym pojedynku, tymczasem ostatnie słowo miał ten mnich niedokształcony, przybłęda żebracza, skowronek świętego Franciszka, oby go kot pożarł. Odeślę do klasztoru, niech się | wymądrza wśród konfratrów. Już oni nauczą go szacunku dla zwierzchności, albo przepędzą na cztery wiatry. Na rozstajne drogi, won, niech zginie jak kamień w wodzie. Przystanie mącić owieczkom w głowach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nieuchronna podróż w czasie. Maciaruk terminuje u badylarza. Kolejne ofiary grzesznej Pelagii. Ksiądz Pyrko proboszczem a Śliwa wdowcem.

Musimy odbyć podróż w czasie, przeskoczyć jednym susem z roku 1981 do roku 1991, aby zaspokoić natrętą ciekawość, co też porabiają nasi znajomi, przeniesieni w inną konstelację polityczno-obyczajową. Jeśli zostanie podniesiony zarzut, że manipulacji czasowej dokonujemy wyłącznie dlatego, by ominąć stan wojenny, którym owa dekada została napiętnowana - to odeprzeć go łatwo. Przecież wybitne osobistości różnego kalibru głoszą obecnie, że przed ich pojawieniem się na firmamencie Trzydęby przypominały grząską topiel, porośniętą jeno paprocią i czerwonym gwiazdnikiem, a nieszczęśni tubylcy skazani byli na spożywanie muchomorów i ruskiego zioła, co doprowadziło do wyludnienia miasteczka oraz powszechnego zdziczenia. Nic dodać nic ująć.

Tu dygresja. Podobnie rozumował Melchior zwany Kuternogą. Doszedłszy wieku młodzieńczego utrzymywał uparcie, że zanim się urodził, świat nie istniał. Wmawianie weń jakoby miał matkę, lub co gorsza jakąś babkę zrodzoną podobno przez prababkę - jest podstępny kłamstwem; on pojawił się samorzutnie, a wraz z nim wszystkie otaczające go przedmioty, pojazdy, czworonogi. Zaczepiał spokojnych przechodniów, wołając: „Ja ciebie zrobiłem!”, „Tyś moim dziełem!” albo jeszcze inaczej. Litościwi ludzie odwieźli go do psychiatry, który stwierdził zaawansowany debilizm i wsadził biedaka do domu bez klamek, gdzie wkrótce dokonał żywota. Koniec dygresji.

Z drugiej strony, zważywszy iż pewne elementy życiorysów muszą być przez tok wydarzeń ujawnione (co wymagałoby nużącej retrospekcji) odfajkujemy skrótowo dekadę w tym rozdziale i będziemy mieli święty spokój. A więc:

Adam Rak wygrał niespodziewanie konkurs na dyrektora Wytwórni Nocnych Naczyń Wielokrotnego Użytku, w której był dotąd zatrudniony na podrzędnym stanowisku. Udało mu się kupić kilka nowych maszyn, pijaków z Bukowskim na czele wyrzucił, inżyniera Kajdyra przekazał prokuratorowi. Na taśmę wprowadził nowe wzory nocników: owalne, kwadratowe, sześciokątne, stożkowe, wklęsłe i wypukłe. Odznaczały się pastelową kolorystyką i malunkami w stylu disneylandu. Produkcja szła pełną parą, a zbyt okazał się ogromny. Tak bowiem człowiek jest skonstruowany, że nie bacząc na wszelkie wichry dziejowe - jeść i wypróżnić się musi.

Poza tym ruch kadrowy w firmie ograniczył się do dwóch osób. Wywieziony na taczkach majster Śliwa wrócił na swoje dawne stanowisko, natomiast przewodniczący „Solidarności”, Maciaruk, został internowany. Po trzech dobach, trzech godzinach i trzech minutach zwolniono go, lecz Rak odmówił ponownego przyjęcia do pracy. Oświadczył krótko i wężłowato:

- U nas przestali płacić za gardłowanie. Idź pan sobie rozrabiać u prywaciarza.

Maciaruk z rady skorzystał i zatrudnił się u ogrodnika Świderskiego przy uprawie pomidorów. Z dwóch względów był to czyn heroiczny - pracodawca okazał się wymagającym nerwusem, a w porze zbiorów otaczała działacza agresywna czerwień owoców, natarczywie przypominająca komunę, panoszącą się na zewnątrz szklarni.

W drodze do domu Śliwa mijał ogrodnictwo Świderskiego. Ilekroć dostrzegał swego antagonistę, pozdrawiał go grzecznie:

- Szczęść Boże, panie Maciaruk. Pomidorki dojrzewają?

Stan wojenny w Trzydębach objawił się w postaci porucznika i trzech szeregowców. Przyjechali gazikiem, zakwaterowano ich w ratuszu. Zima wówczas była tęga, śnieg walił z pochmurnego nieba bez litości, popędzany wiatrem. Telewizyjne prognozy pogody brzmiały jak komunikaty z placu boju: szosy nieprzejezdne, pociąg utknął w zaspach, pasażerów ewakuują śmigłowce, pierwsze ofiary białej śmierci, tragiczny karambol na autostradzie. I tak dalej, a wszystko ilustrowane zdjęciami podbiegunowego krajobrazu.

Żołnierze wraz z milicjantami, odziani w służbowe kozuchy, początkowo patrolowali ulice regularnie, potem coraz rzadziej, bo porucznika poderwała Pelagia i całymi dniami przesiadywał u niej. Zaprzyjaźnił się nawet z rudowłosym Benjaminem, w którym kiełkowała nadzieja, iż żona zechce zostać panią oficerową, wreszcie da zgodę na rozwód i wyniesie się z mieszkania w odległe strony. Wspólnie gapili się w mały ekran a czasem, przy obfitszym poczęstunku, Ben brał gitarę i wyśpiewywał różności.

Niestety, zima się skończyła, gazik wraz z załogą ukradkiem wycofał się do garnizonu a powrócił koszmar. Otóż Pelagia zaczęła gorliwie odwiedzać brata badylarza, chociaż dotąd bliższych kontaktów z nim nie utrzymywała, z uwagi na niechęć bratowej. Zdaniem tej pobożnej niewiasty nader swobodne obyczaje Pelagii wołały o pomstę do nieba; ilekroć dostrzegła jej wypacykowane oblicze, dziwiła się:

- Jeszcze piorun nie strzelił w twoją wściekłą cipę? Pewnego razu Świderski przyłapał siostrunię, gdy z Macia-rukiem tarzała goliznę po sadzonkach w celu rozpustnym.

- Ty wywłoko! - wrzasnął aż szkło szklarniowe zabrzęczało. - Dupą plony mi niszczysz?

Wyrzucił brutalnie Pelagię za płot oznajmiwszy, że jeśli ośmieli się kiedykolwiek pojawić w posiadłości, wyszczują ją psami. Natomiast terminator ogrodniczy uderzony został po kieszeni; potracił mu czterdzieści procent poborów za straty rzeczowe, a dalszych dwadzieścia za straty moralne. Maciaruk próbował bronić się Kodeksem Pracy i różnymi paragrafami, no pewnie, gdyby wszedł mu na pensję dyrektor Pewnusi, miałby zaraz strajk protestacyjny, o petycjach do Sejmu i ONZ nie wspominając. Świdorski tylko rechotał, gdyż wyższość sektora prywatnego nad państwowym ujawniła się bez obsłonek:

- Maciaruk! Nie podskakuj, bo wyciepnę na zbity pysk i będziesz sobie trawkę skubać po połoninach.

Wobec niesprzyjających okoliczności musiał spotykać się z Pelagią w jej sypialni, co przepełniło Benową czarę goryczy: najpierw palant wyświęcony, teraz kutas niezależny i samorządny. Zapachniało mordem, wątek kryminalny wisiał na włosku. Lecz oto na scenę wtargnęła Siła Wyższa w osobie niejakiego Pierangelo, turysty włoskiego, który zablądził w dzikich ostępach słowiańskiej krainy, trafiając pechowo do Trzy-dębów. Zatrzymał się parę dni, gdyż jego fiat ritmo wymagał niezbędnej naprawy. Pelagia okazji nie przegapiła i oczarowany jej wdziękami podróżnik uwiózł damę do słonecznej Italii.

Benjamin odżył. Powiększył zespół „Bolko” o perkusję i trąbkę, po czym wystartował na Piknik-Country w Mrągowie odnosząc duży sukces, bo występy transmitowała telewizja. Niebawem też utwory jego pióra i kompozycji, ballada o Ateuszu również, znalazły się na płycie długogrającej, docierając pod strzechy. Ubierał się teraz w wypuszczoną na spodnie bluzę obszytą frędzlami, rudą czuprynę chował pod kowbojski kapelusz z szerokim rondem, zębiska szczyrzył jak reklama pasty do zębów. Gdzie się pojawił, oblegały go podlotki, a on nie szczędził im autografów na swych barwnych zdjęciach. W ciągu roku stał się sławny i bogaty, co w pewnym stopniu wynagrodziło mu udrękę małżeńską.

Około połowy lat dziewięćdziesiątych zasnął w Panu ksiądz doktor Maciąg, absolwent teologii Uniwersytetu Katolickiego, postać ze wszech miar zasłużona dla ewangelizacji społeczności trzydębskiej. On to pierwszy przypuścił szturm na bastiony ateizmu, odnosząc sukcesy wyraziste choć połowiczne. Jednakże zmagania z fałszywym świętym tudzież mnisia zdrada we własnych szeregach nadszarpnęły jego organizm. Legł na łożu boleści, by już nie powstać. Po stokroć miał rację jego wierny uczeń, ksiądz Pyrko, gdy swą mowę pożegnalną nad trumną zakończył wzniosłymi zdaniem:

- Poległ na polu walki z bezbożnym ustrojem. Wstępuje ninie w niebiosy przy wtórze trąb archanielskich, a święty Piotr Klucznik w bramie rajy obejmuje go braterskim uściskiem. Pozostanie w naszej pamięci jako niestrudzony bojownik o świętą sprawę, świetlany przykład

dla wąpiących, natchnienie dla kroczących jego śladem.

Opustoszały posterunek, z woli kurii biskupiej, objął ksiądz Pyrko. Zmężniał ostatnimi czasy - brzuszek krągły, stateczne ruchy, głos znamionujący pewność siebie. W przeciwieństwie do poprzednika obce mu były nastroje kontemplacyjne, nie roztrząsał zawiloci doktryny, a tropienie metafizycznego szatana uważał za stratę czasu. Swoje posłannictwo lokował przede wszystkim w obrębie spraw świeckich - należy wyprzeć komunę ze wszystkich przyczółków i zapewnić Kościołowi nieograniczony rząd dusz.

Do celu zmierzać miał, na razie, małymi kroczkami. A to szopka wystawiona pod bocznym ołtarzem, gdzie diabłów przybrano w mundury wojskowe i milicyjne, a to modły o przywrócenie wolnej ojczyzny, a to pokazywanie zajączków połączone ze zbiorową recytacją haseł: „Zima wasza, wiosna nasza” albo na odwrót „Wiosna wasza zima nasza”; pory roku zmieniały się szybko a wraz należało zawołania wiernych modyfikować. Dużą wagę przywiązywał do tajnych mszy w gęstwinie leśnej dla czających się tam konspiratorów. Było ich kilkunastu, ukrywali się przed Sierżantem i jego mundurowymi pachółkami w dziuplach stuletnich dębów. Znakomicie funkcjonował zaszyfrowany system łączności, oparty na uhanu sowim sposobem lub wystukiwaniu o korę drzew alfabetem Morse'a, co skutecznie imitowało aktywność dzięciołów. Ksiądz Pyrko skradał się z posługą duchową w przebraniu baby zbierającej chrust; towarzyszył mu zaufany ministrant zamaskowany strojem Czerwonego Kapturka.

Wyprawy wymagały samozaparcia i odwagi, gdyż w ostępach zwierz grasował dziki, a czasem nawet dało się słyszeć poszczekiwanie psów tropiących. Bywały chwile grozy, szczególnie o zmroku, gdy tylko żarliwa modlitwa pomagała duszpasterzowi osiągnąć kres wędrówki.

Kiedyś kroczył leśnym duktem opodał matecznika konspiratorów, gdy przed nim ukazał się drwal pijaniusieńki jak bela. Jechał rowerem, to znaczy: usiłował jechać, bowiem co kilkanaście metrów jakiś przekorny pień zagradzał wehikułowi drogę i kierowca spadał z siodelka między mchy i porosty. Klął wówczas szpetnie a ominąwszy przeszkodę startował ponownie z wytrwałością godną podziwu. Otóż drab ów, ujrzawszy babę z wiązką chrustu na plecach, przypomniał sobie że jest mężczyzną. Ponieważ zaś chruściara zdała mu się młódką, zatoczył się ku niej i na ziemię powaliwszy, sięgnął pod sukienkę. Ksiądz Pyrko zdrętwiał z przerażenia i zaczął się modlić do świętego Jerzego, pogromcy smoków. Pomogło. Drwal, pogmerawszy koło sedna, nagle odskoczył jak oparzony:

- O kurwa, baba z jajami!

Był to człek prymitywny, władający ubogim słownictwem, lecz żywiący zabobonny

lęk wobec wybryków natury; wytrzeźwiawszy błyskawicznie, uciekał aż się za nim kurzyło. Tymczasem wokół rozlegało się zewsząd uhu uhu uhu, na przemian z kukaniem w różnych tonacjach lub dziecięcym alarmem: trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki (SOS). To konspira głosiła wszem wobec, że w pobliżu pojawił się reżimowy siepacz. Ale żaden skubaniec nie wylazł z dziupli by pomóc proboszczowi. Musiał przez godzinę śpiewać Psalmy Dawidowe, umówione hasło, nim zalęknione owieczki zebrały się wokół pasterza, który omalże nie został zgwałcony drugi raz w swym młodym życiu.

W roku 1985 syn Śliwów, Piotr, zdał maturę i wkrótce potem egzamin na uniwersytecką polonistykę. Wydorosłał, zapuścił sobie hiszpański wąsik, włosy przystrzygł na jeża. Teresa nie mogła się nadziwić, jaki podobny do ojca - wzrost, kanciaste rysy, usposobienie. Zwłaszcza skrytość syna ją denerwowała bo do zwierzeń nie skory, każde słówko musiała zeń wyciągać. A że do studiów zabrał się z neoficką gorliwością i poza lekturą świata nie widział, wymyślała mu czasem od molów książkowych. Gdy rodzice zagadnęli jak wyobraża sobie przyszłość, oświadczył:

- Mam ustalony sposób na życie. Będę belfrem, tutaj, w Trzydębach. Chcę zająć miejsce opuszczone przez Ateusza Pokornego. Ktoś musi to przecież zrobić.

- No, no! - zdziwił się Śliwa.

- Obyś tylko nie skończył jak on - w głosie Teresy zabrzmiała matczyna troska.

Od pewnego czasu Teresa skarżyła się na ból piersi. Śliwa początkowo zlekceważył jej narzekania, lecz gdy zaczęła w nocy popłakiwać, przestraszył się i zaprowadził do lekarza zakładowego. Zbadał Teresę, dał skierowania na prześwietlenie i do Kliniki Onkologicznej. Dowiedziawszy się, że przyszła z mężem, wywołał Śliwę z poczekalni.

- Dopilnuje pan, żeby żona zrobiła wszystkie badania? Nowotwór nie musi być złośliwy, wystarczy kosmetyczny zabieg i po kłopotcie. Na wszelki wypadek weźmie się wycinek. Bez obaw, szanowna pani, to nie boli.

- Czy rzeczywiście muszę mieć anioła stróża? - odezwała, się Teresa lekko zniecierpliwiona.

- Tak lepiej - odrzekł konował uśmiechając się obłudnie. - W nawale codziennych zajęć łatwo zapominamy o terminach wizyt; mąż wygląda na troskliwego, będzie czuwał.

Za drzwiami Maleńka przyjrzała się z komiczną uwagą staremu.

- Nigdy nie przypuszczałam, że twoja kosmata facjata może się komuś kojarzyć z duchem opiekuńczym.

- Widocznie pozory mylą - odparł, pocierając dłonią nie-golony policzek.

Na ulicy wzięła go pod rękę. Wśród potoku obojętnych przechodniów, przytłoczeni

monotonnym szumem przejeżdżających pojazdów - byli sami. Zaciśnęła mocno palce. Czowała się jak wędrowiec, któremu niespodziewanie droga urwała się nad przepaścią. Więc taki ma być koniec? Dlaczego właśnie teraz? I ten ból, pożerający zdrowe tkanki, nawet tego los mi nie oszczędził?

- Daj chusteczkę.

Wytarła natrętnie łzy; z trudem tłumiała płacz, wargi jej drżały.

- Hiruś, jak wy sobie dacie radę beze mnie?

- Moja droga, gdyby każdy pacjent wpadał w grobowy nastrój, świat nie miałby problemów demograficznych. Ludzie wykończyliby się sami. Skąd u ciebie, dziewczyno, tyle czarnowidztwa?

- Przeciwwaga niezmiernych pokładów optymizmu, które tkwią w tobie.

Nazajutrz rentgen wykazał co miał wykazać, chirurg zaś pobrał wycinek odpowiedniej wielkości i oznajmił, że pošłą go do Poznania do analizy.

Dwa tygodnie później Śliwa dowiedział się wyniku: nowotwór złośliwy. Wlókł się do domu na ołowianych nogach, ze ściśniętą krtanią, przytłoczony świadomością, że ma najbliższej osobie przekazać wyrok. Tak, wyrok, gdyż szansa iż po operacji nie będzie przerzutów była mizerna. Jego intymny świat (mawiał czasem: potrójny, bo Maleńka, Piotruś i on), ważniejszy niż wszystko co działo się dookoła - miał się rozsypać. Miotał się między buntem a rozpaczą, zmoczony strugami deszczu, którego nie dostrzegł, po dziecięcemu bezradny.

- Czemuś nie przeczekał ulewy? - powiedziała Teresa na jego widok.

Błysk domysłu w oczach, no tak, jej intuicja zawsze trafiała w dziesiątkę, rozumieli się bez słów.

- Przebierz ubranie bo się przeziębisz.

Sucha koszula i szlafrok. Nabił fajkę drżącymi palcami i ćmił czekając, aż Teresa skończy kuchenne porządki. Wreszcie usiadła w swoim fotelu i odsapnęła z ulgą.

- No, jeszcze jeden dzień mam zaliczony.

- Rachujesz dni?

- Żebyś wiedział. Niebawem zacznę odliczanie ostateczne. Ku finałowi na cmentarzu. Masz ochotę na kieliszek? Kupiłam starą.

- Daj.

Stuknęli się szkłem: oby nam życie nie obrzydło.

- Ja chyba dostaję fioła od tego czekania - powiedziała odstawiając kieliszek. - Sądząc po twej minie, Poznań nadesłał wreszcie wyniki?

- Tak.

- Złośliwy?,

- Tak. Nie martw się na zapas, nowotwór sutka jest najmniej groźny, przerzuty zdarzają się rzadko.

- Aha, impreza zacznie się od amputacji. Pojmuję. Cóż ty, sierotko, poczniesz z babą o jednym cycuszkę? Wybrakowany element.

Dolała sobie wódki, wypła jednym haustem, potem rozbeczała się jak skrzywdzone dziecko. A gdy leżeli już na tapczanie, wpatwienie w mrok, zasłuchani we własne ponure myśli - odezwała się głosem przeraźliwie spokojnym:

- Staruszkę, mam życzenie.

- Co tylko zechcesz, Maleńka.

- Jeśli medycyna skapitułuje, nie zostawisz mnie w szpitalu. Chciałabym ostatnie dni spędzić w domu. Obiecuję, będę spokojniejsza.

- Dobrze, przyrzekam. Dlaczego mamy zaprzętać sobie głowy akurat najgorszą możliwością?

- Bo nadzieja jest matką głupców.

Po operacji Maleńka przebywała jeszcze tydzień w zatłoczonym szpitalu; wypisano ją na własne żądanie.

- Chyba należy mi się przytulniejszy kąć - powiedziała do męża - niż to wyrko na korytarzu, wokół którego snują się cienie skazańców. Zabieraj mnie stąd natychmiast.

W domu przez pierwsze dni leżała otępiała, wpatrując się w okno, do domowników odzywała się rzadko i monosylabami. Ochota do życia wracała jej stopniowo: najpierw zażądała radia na nocny stolik, by słuchać muzyki od rana do wieczora, potem zaczęły ją interesować filmy telewizyjne, a wreszcie wypędziła z pościeli ciekawość, co tam jej mężczyźni pichcą na obiad. U Hirka talentu kulinarnego za grosz, wolała osobiście dopilnować kuchni. Stan podgorączkowy ustąpił, szwy goiły się dobrze tylko bandaż spowijający klatkę piersiową krępował nieco ruchy.

- Bawimy się w loterię, synku - pokpiwała - przetrzuci, nie przetrzuci.

- Kto?

- Ten raczek, mój drogi. Zwierzątko chytne, może już się w okolicy załapało?

- Co też mama wygaduje - protestował bez przekonania Piotruś - Wywoływanie wilka z lasu.

- Trzeźwa analiza sytuacji, żadne tam wywoływanie. Wolałbyś żeby tryskała załganym optymizmem?

- Wolałbym. Nie cierpię krakania. Ojciec zresztą też nie.

- Cóż za los, w tej chałupie nie ma do kogo ust otworzyć! - rozłościła się.

Teresa umierała. Wszystko odbyło się jak na przyspieszonym filmie. W połowie stycznia lekarze stwierdzili przerzuty w kilku miejscach i zaordynowali naświetlania. Jeździła dwukrotnie w ciągu tygodnia do Szczecina pod bombę kobaltową, bez widocznego rezultatu. Najpierw skóra na klatce piersiowej poczerwieniała jak rozległa blizna po oparzeniu, potem zaczęła puchnąć, pęcznieć, rozdymać się. Nowotwór szukał sobie miejsca, chciał wydostać się na światło dzienne. W marcu ordynator zatrzymał Maleńką w klinice, szpikowano ją chemikaliami i środkami przeciwbólowymi. A na początku kwietnia przysłała mężowi kartkę: Już czas. Przyjeżdżaj. Obiecałeś.

Wziął urlop z pracy i taksówką przywiózł żonę do domu. Wychudła, jadła coraz mniej, przełykanie zaczęło sprawiać trudności. Jeszcze mogła mówić, choć słowa wydobywały się z krtani chropawie. Początkowo usiłował zająć jej uwagę bzdurzeniem o sprawach nieważnych, plótł co ślina przyniosła, byleby zapomniała o swym przemijaniu. Zdobyła się na uśmiech:

- Jesteś kochany, Hiruś. Ale nie trzeba się wysilać. Oboje wiemy, że to się wkrótce stanie. Po chwili:

- Miło w naszej chacie. I znów po dłuższej pauzie:

- Zawsze cię kochałam. Pamiętaj o mnie.

Siadywał na tapczanie, ściskając jej osłabłą dłoń i milczał. W nocy tulił do siebie, jakby chciał przelać w zmaltretowane ciało swą energię życiową. Wsłuchiwał się w chrapliwy oddech, przerywany jękami bólu. Jeszcze nie mógł się pogodzić z myślą, że Maleńka odejdzie bezpowrotnie i zostanie sam. Dlaczego? Ma dopiero czterdzieści lat, mogłaby dożyć starości. Czemu właśnie ona, ta skromna, cicha, ludziom życzliwa kobieta?

Piotrek codziennie przynosił jakiś bukiet, pokój pachniał jak oranżeria, pulsował paletą kolorów. Wieczorem Śliwa sadzał żonę na fotelu, otulał kocem, a syn po turecku na podłodze obok matki. Starał się wykrzesać z siebie odrobinę rozmowności, opowiadał urywanymi zdaniemiami o studenckim życiu, pierwszy rok, nowe środowisko, każdy drobiazg w jego relacji urastał do rangi wydarzenia. Wpatrywała się natarczywie w swoich męż

czyzn, jakby w obawie, że w zaświaty zabierze ich obraz nie dość wyrazisty. Stary widział kątem oka jak zaciska wargi, by ból nie wydostawał się krzykiem, jak całą siłą woli zmusza ramię, by przesunęło się w stronę głowy Piotrusia i dłoń mogła go pogłodzić po włosach.

Niebawem przestała w ogóle jeść; aby dać choć trochę płynu musiał siłą rozwierać

zęby, połowa wyciekała na powrót kącikami warg. Czasem chciała coś powiedzieć, lecz słowa zamieniały się w nieartykułowane dźwięki. Tylko oczy wciąż się weń wpatrywały i dostrzegł w nich na przemian to czułość, to rozpacz. Potem zaczęła tracić świadomość - nadeszła agonia.

Przebudził go kurczowy chwyt palców. Teresa patrzyła przytomnie, wzrok wędrował od męża ku otwartemu oknu i z powrotem. Zrozumiał. Wziął ją na ręce jak dziecko i podszedł do parapetu.

Na zewnątrz wstawał wiosenny rozsloneczniony ranek. Różowo kwitły jabłonie, gałęzie wiśni pokryte były śnieżystymi płatkami. Działki pracownicze, rozciągające się opodal, wyglądały jak wielka łąka, wymalowana pastelową zielenią, seledynem, fioletem i żółcią, zakończona szerokim szlakiem płożącej się pigwy, teraz rozplomienionej tysiącami kwiatów. W oddali spiętrzona na wzgórzach puszcza, przypominająca bukiet cieni o różnej intensywności. W stronę jeziora szybowały łabędzie, białe smugi na błękitach. Przy domu uwijały się jaskółki, budujące gniazda pod okapem dachu, podobne do czarnych pocisków, wystrzelonych bezładnie w przestrzeń.

Małej pływały łzy po policzkach. Śliwa bał się poruszyć; tkwił jak posąg ze swym najdroższym ciężarem w ramionach, aż Teresa przestała oddychać. Położył ją wtedy na tapczanie, padł na kolana i całując martwiejącą dłoń zaczął rozpaczliwie szlochać.

Pogrzeb miała skromny, przyszło kilkoro znajomych i parę bab-żałobniczek, które wciąż urzędują na cmentarzu, uważając za swój obowiązek uczestniczenie w każdej ceremonii. Przed zamknięciem trumny Śliwa ucałował woskowe czoło żony, a Piotr przybrał ciało różami. Bezkresny spokój spłynął na twarz Teresy, rysy złagodniały, wargi rozchylane w półśmiechu, drobne dłonie spoczęły swobodnie na sercu. Mizerię żywota zostawiła poza sobą, wszystkie jej żonine i matczyne troski powszednie, całą tę szamotaninę między marzeniem a obowiązkiem, między kochaniem i męką istnienia.

Stary z kamiennym obliczem rzucił pierwszą grudę ziemi na trumnę. Zasłonił twarz spracowanymi łapskami, każde uderzenie ciężaru, spadającego z łopat grabarzy na trumnę, odczuwał jak cios we własne plecy. Obok Piotr połykał łzy. A potem nie było już Małej, został im kubik ziemi, uformowanej w sześcian, przykryty kwiatami. Ludzie się rozeszli, a oni jeszcze długo stali w milczeniu rozpamiętując pustkę, która wdarła się w ich życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzydęby wybijają się na niepodległość. Zmartwychwstanie księdza Skorupki. Czerwony kur szaleje na plebani. Fenomen wody święconej.

Wiosną 1991 roku w Pewnusi pojawiła się komisja rządowa w osobie kostycznego mężczyzny o końskiej twarzy, hymkającego co trzecie słowo. Komisja reprezentowała władzę demokratyczną, dlatego uznała za celowe poszerzenie swego składu' przez kooptację lokalnych czynników. Czynniki były dwa: Maciaruk, który już od roku burmistrzował w Trzydębach oraz maszynista Bukowski, wybrany' niedawno przez aklamację przewodniczącym niezależnego i samorządnego związku w wytwórni. Po wnikliwej dyskusji podjęto decyzje odpowiadające duchowi czasu: a) niepodległościowe, b) produkcyjne, c) kadrowe.

I tak szanowna komisja w imieniu załogi, dla zatarcia komunistycznego piętna, nadała Wytwórni Nocnych Naczyń Wielokrotnego Użytku imię marszałka Józefa Piłsudskiego. Uroczystość oficjalna poprzedzona uroczystym nabożeństwem, obejmie poświęcenie między innymi taśmy produkcyjnej, z której wówczas schodzić będzie produkt odpowiadający aspiracjom mieszkańców. Jak wiadomo, miniony reżim w celach propagandy dowych zaśmiewał sklepy buclami niewygodnymi w użyciu i na j domiar w kolorze jadowej czerwieni. Teraz firma preferować ma nieskazitelną biel, ozdobioną portretami wybitnych osobistości, od prezydenta Busha do prezydenta Wałęsy.

- A w środku co? - spytał Bukowski.

- Mościcki i Kaczorowski - odparł Maciaruk. - Ciągłość, legalnej władzy, kraj i emigracja.

- Owszem, kolekcja prezydencka, hm, interesujące - oceniła końska twarz. - A gdyby tak serię, hm, wysokich autorytetów moralnych? Zbigniew Brzeziński czy Tadeusz Mazowiecki, hm, o Janie Pawle II już nie wspominając.

- Ja proponuję sławnych polityków - wyskoczył Maciaruk - stworzyli nową Polskę, należy im się.

- Sprawa ryzykowna, hm, można pomieszać działaczy Porozumienia Centrum, hm, z tymi od Unii Demokratycznej. Nabywcy będą zdezorientowani.

- To dajmy dwie serie: jedną z braćmi Kaczyńskimi, Maziarskim i Najderem, druga z Kuroniem, Geremkiem i Turowiczem. Wolny wybór, każdy spożytkuje naczynie według własnych poglądów politycznych.

- To byłoby jakieś, hm, rozwiązanie. Rzecz wymaga, hm, głębszej refleksji.

Refleksję odłożono na potem, przechodząc do spraw kadrowych. Na dyrektora wytypowany został jednomyślnie inżynier Kajdyr, znakomity wynalazca i organizator, represjonowany przez komunę. Po czym wezwano Raka i Śliwę.

- Panie Rak - oznajmił stołeczny wysłannik - od tej chwili, hm, przestaje pan pełnić funkcję dyrektora, hm; obowiązki proszę przekazywać, hm, inżynierowi Kajdyrowi.

- Sprawiedliwości stało się zadość - Maciaruk nie krył zadowolenia. - Wystarczająco długo tolerowaliśmy szefa, wyniesionego na stołek przez stan wojenny. Za tępienie solidarnościowego aktywu chyba nie oczekiwał pan laurki i orkiestry pożegnalnej?

- Brałem nauki u ciebie, Maciaruk. Za co wyleciał Bukowski, dobrze wiesz; jeśli zapomniałeś, niech ci w gębę chuchnie. A Kajdyr ciągnął forszę za niewykonane wynalazki, sąd udowodnił mu wyłudzenie znacznych sum.

- Na pański wniosek.

- Oczywiście, dbałem o kasę firmy.

- Pan zaś, panie Śliwa...

- Również won. Taczld?

- Każdego komucha mogę osobiście wywozić w siną dal - zaoferował się Bukowski.

- Nie trzeba - powiedział Maciaruk - ten triumfalny rejs sprzed dziesięciu lat zachował ważność. Towarzysz Śliwa opuści nas własnonożnie, że się tak wyrażę. Do emerytury zostało mu trochę czasu, może u Świdzkiego hodować pomidory.

- Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy - odparł Śliwa.

Wyszedł ciągnąc za sobą Adama. Rozstanie z Pewnusią sprawiło Rakowi przykrość, skarżył się smętnie:

- Dwadzieścia lat tu przepracowałem. Chyba jakieś podziękowanie się należy, no nie?

- Zwariowałeś! Oczekujesz podziękowania od tych nadętych pacanów? Nie łam się, Adaś. Na frasunek dobry trunek, idziemy do Zajazdu Pod Mieczem.

Thusta Kleopatra ujrawszy gości, podprowadziła zaraz do stolika gdzie rezydował Artysta.

- Witam awangardę bezrobotnych - malarz wyszczerzył niekompletne uzębienie - złe wieści rozchodzą się w tym grajdole lotem błyskawicy. Piwko dla panów, ja stawiam.

- Dawno nie miałem zaszczytu - usiłował dygnąć właściciel - a gdzież spokojniejszy kącik niż u mnie?

- Człowieku, twoje brzuszysko osiągnęło astronomiczne wymiary - zauważył Śliwa. - Zostawiasz na parę miesięcy przyzwoitego grubasa, a po powrocie znajdujesz beczkę sadła.

Przy tobie nawet szanowna małżonka wydaje się szczupła jak ogóreczek.

- Bóg dał ale wziąć nie zamierza. Kara za grzechy. |

- Nie martw się, nowa władza tak pociśnie, że będziesz chudł w oczach.

- Mnie? Sprywatyzowałem się osobiście jeszcze za komuny.

- W tym sęk. Powiedzą, że zagrabiłeś społeczne mienie, bo burmistrz Żoras sprzedał ci działkę po ulgowej cenie. Ogłoszą przetarg, który wygra oczywiście...

- Szwagier Maciaruka - podpowiedział Rak.

- Albo ciotka Kajdyra. I stanie się cud: działka zamieni się z narodowego dobra w świętą własność prywatną. Na powstałym z twojej krwawicy zajędzie będą zbijali kokosy nowi właściciele Trzydębów. Zapewne zmienią szyld na...

- Gospoda Pod Wezwaniem Świętego Antoniego - chichotał Rak.

- Ich niedoczekanie. Prędzej spalę budę.

- Desperackich pogroźek nikt z obecnych nie słyszał. Przynieś wreszcie piwo, kapitalistyczny krwiopijco.

- Pozwolę sobie zauważyć, panie Śliwa - powiedział Artysta - że epitet jest anachroniczny, wyzyskiwaczy stawia się, za wzór do naśladowania. Prasa upowszechniła nową kolekcję J wyzwick, powinniśmy mawiać: ty postkomunistyczny gadzie, ty niezweryfikowany elemencie, ty spółko nomenklaturowa, Chociaż... ostatnie określenie brzmi dwuznacznie - należałoby zawsze zaznaczać, którą nomenklaturę ma się na myśli, dawną czy obecną. Obecna zaś przybrała iście paranoiczne rozmiary, wkrótce nawet babki klozetowe będą się musiały wykazywać właściwą przynależnością. Nie zdziwiłbym się, gdyby senat

Najjaśniejszej Rzeczypospolitej złożony jak wiadomo z samych mędrców i autorytetów moralnych, ustanowił prawo ankietowe.

- Co takiego? - Rak zachłysnął się piwem.

- Ktokolwiek, ubiegający się o cokolwiek, musi wykazać, że ani rodzice, ani dziadkowie nie splamili honoru Polaka ateizmem lub przynależnością do partii lewicowej. Będzie wiadomo, które dziecko w przedszkolu ma pożądane pochodzenie społeczne i zasługuje na kubek kakao, a które w czasie posiłku winno stać w kącie. Takie prawo ułatwiłoby znakomicie pracę naszej demokratycznej administracji, która obecnie działa po omacku, niestety. Tylko ofiarnym publicystom, wyzwolonym od zmory cenzury, zawdzięczamy, że czasem jakiś przyczajony komuch zostanie zdemaskowany. Są czujni i dyspozycyjni, jak zawsze.

- Kij im w oko - podsumował Śliwa - zawsze będą kadzić jakiejś sile przewodniej.

Intryguje mnie, czy ksiądz Pyrko znów zamówił bohomaż?

- Mam dokonać destrukcji i konstrukcji za kościelny grosz. Najpierw zamalować w szkole własne dzieło a potem w tymże miejscu stworzyć nowe. Król Bolesław Śmiały, broniący kraju przed intrygami biskupa Stanisława, wypacza historię polskiego Kościoła i dlatego musi zniknąć. Rozumiecie, panowie, wymowa ideowa tego malunku jest niesłuszna, zwodzi dziatwę na manowce, zaprzecza temu, co głosi obraz na ścianie Kościoła: że monarcha był wredny, a Stanisław święty. Nakłoniono mnie, bym podjął temat aktualny - ksiądz Skorupka pod Warszawą w roku 1920 prowadzi wojsko do ataku przeciw hordom bolszewickim.

- Chcą przechrzcić szkołę - domyślił się Rak - otrzyma imię owego Skorupki.

- Rzeczywiście, jest taki zamiar; ksiądz Pyrko już agituje rodziców. Otóż od paru dni przychodzę do tej miłej spelunki, doję sikacz zwany piwem i rozmyślam. Wyłoniły się bowiem pewne trudności kompozycyjne. Mecenas życzy sobie, żeby koniecznie utrwalić postać diabła. Uosobienie zła winno się rzucać w oczy nawet ślepcowi. Nowy kierunek w polskim malarstwie, symbolizm kościelny, nie może się obejść bez szatanów i aniołów, a ja padłem jego ofiarą. Jak pogodzić realizm pola bitwy z duchem nieczystym? Może wy, panowie, znajdziecie radę?

- Musiałbym najpierw wiedzieć, co scena przedstawia - Śliwa wykazał dobrą wolę.

- Słusznie. Na pierwszym planie nasi bohaterscy żołnierze, widziani niejako od tyłu. Przed nimi ksiądz Skorupka, z profilu, krzyż we wzniesionej dłoni, pokazuje cel. A cel tu i ówdzie się broni, lecz na ogół pierzcha. Trochę pirotechniki, kontrastowe barwy. Czarne chmury nad wrogiem, rozjaśnione niebo nad obrońcami.

- Diabeł jak diabeł - powiedział Rak - kopyta, ogon, rogi. Można mu dorobić gębę Maziarskiego, ten facet przypomina mi głównego inkwizytora, Torquemadę. Obaj są przechrztami - jeden przeszedł z komunizmu na antykomunizm i gorliwie tępi dawnych towarzyszy, drugi z judaizmu na katolicyzm a Żydzi byli jego ulubionymi ofiarami.

- Czyjaś gęba nie rozwiązuje mego problemu, panie Adamie. Szatan nie może czaić się za plecami bohatera, w oczach ignorantów mógłby uchodzić za motor działania świątobliwego, męża. Jeśli zaś ustawię piekielną figurę naprzeciw duchownego (zło zagraża drogę dobru) obie postacie powinny być równego wzrostu, co proboszcz gotów uznać za herezję. Zło bywa dlań tylko skarłowaciałe, a dobro z samej istoty olbrzymieje i nurza się w promieniach łaski bożej. Stworzyć kurdupłowatego Belzebuba również nie mogę, bo zniknie z obrazu nastrój bohaterstwa, ksiądz. Skorupka może kopnąć gada i po krzyku. Cud nad Wisłą zostanie podważony.

- Przypraw pan rogi bolszewikom.

- Myślałem o tym. Ale oni noszą te swoje spiczaste czapy? z gwiazdą, koźle rekwizyty byłby niewidoczne.

- Konie pan przewidział? - spytał Śliwa.

- Nie. Chciałem dać w tle marszałka Tuchaczewskiego na karej kobyle lecz uświadomiono mnie, że byłoby to sprzeczne z obowiązującą propagandą; u komuchów podobno wodzowie zawsze uciekają pierwsi. Zaproponowałem wtedy marszałka Piłsudskiego na kasztance; został także zdyskwalifikowany. Z dwóch powodów: był za młodu socjalistą, grzech niewybaczalny, a poza tym swoją świeckością mógłby przyćmić księdza Skorupkę. Armia nie może mieć dwóch wodzów.

- Bez koni dynamika słabiuteńka, oj słabiuteńka. Daj pan w centrum taczankę, unoszoną przez spłoszone rumaki, na taczance okrakiem siedzi diabeł i pruje do księdza z kulomiotu.

- Ognistymi kulami - uzupełnił Rak.

- Świetny pomysł, panie Hieronimie. Za jednym zamachem uzyskujemy ruch przeciwny - bestia ucieka, a kasa. Usadziwszy czarta na pojeździe zmniejszamy wizualnie proporcje w stosunku do księdza, a równocześnie negatywnej postaci nie ujmujemy nic z naturalnych rozmiarów. Genialne!

Skinął ku boskiej Kleopatrze, by wymienić puste butelki na pełne.

- Wyobraźcie sobie, panowie, że przez pewien czas piastowałem całkiem inną wizję dzieła, odbiegającą od symbolizmu kościelnego w stronę uduchowionego symbolizmu abstrakcyjnego: starcie dwóch hufców, anielskiego i szatańskiego. Żadnych śmiertelników na scenie, naga idea. Duchy niebiańskie, dowodzone przez wąsatego archaniola, na piersi ryngrafy z orr łem białym koronowanym, w dłoniach ogniste miecze. Natomiast potępieńcy bronią się nieudolnie a to sierpem, a to młotem. Pięknie. Powstaje wszelako dylemat: co począć z księdzem Skorupką? Jeżeli jeszcze żyje, nie może prowadzić do boju istot eterycznych, a jeżeli zabito go - tym bardziej, gdyż musiałby najpierw wygryźć z posady archaniola, co nawet w niebie wymaga uciążliwych i czasochłonnych zabiegów. Przy wspomnianej koncepcji pozostała mu rola całkowicie bierna. Miast pędzić przed siebie z wzniesionym krzyżem, musiałby sięść na przydrożnym kamieniu i czekać cierpliwie, aż Bóg rozstrzygnie bitwę, a później zgłosić się do właściwego urzędu po przywileje kombatanckie. Prymitywna zgodność z doświadczeniem życiowym, jak widzimy, wypacza wzniosłą prawdę historyczną, a na to przystać nie może nawet taki oportunistą jak ja.

- A więc taczanka?

- Wyście przeważyli szalę. Czapki z głów!

Wstał i nałożywszy beret, zerwał go płynnym ruchem kłaniając się do ziemi. Zapłacił Kleopatrze rachunek z hojnym napiwkiem. Beczka sadła za kontuarem pokiwała im na pożegnanie.

Kroczyli z godnością. Artysta w rozwianej pelerynie stawiał szeroko platformy, Śliwa kołysał lekko samodziałową marynarką, a między nimi dreptał Rak; z uwagi na filigranową konstrukcję organizmu podążał za kolegami z pewnym trudem.

- W domu czeka żona z obiado-kolacją - zauważył malarz.

- Jaka żona! - wykrzyknęli zdumieni.

- Róża. Ożeniłem się z bidulą i przyznaję bez bicia, że jestem szczęśliwy. Okazała się niewiastą spolegliwą i małomówną, w sam raz dla stukniętego artysty. Łózkowe wygibasy pojmuje w lot, a nawet eksperymentuje w tej dziedzinie kir obopólnemu zadowoleniu. Prawda, ma kłopoty z gotowaniem, lecz ja nigdy nie przywiązywałem zbytnej wagi do żarcia.

Po minięciu świątyni zauważyli pożar - czerwony kur dopadł plebanię. Płomienie lizały strych, lufcikiem wydobywali ła się smuga czarnego dymu. Na przeciwległym chodniku gromada gapiów, przed budynkiem wól straży pożarnej.

- Ratujemy? - rozochocił się Rak. - Wewnątrz mogą być ludzie.

- Nie wolno nam - odparł Śliwa - wyobrazasz sobie tytuły jutrzejszych gazet? Wykorzystując płomienie, elementy postkomunistyczne obrabowały przybytek kościelny. Banda komuchów bezcześci plebanię. Kto podpalił? Policja podejrzewa notorycznego agitatora, niejakiego Śliwę oraz usuniętego dyscyplinarnie z Pewnusi nomenklaturowego dyrektora, Raka. Czyżby akt zemsty?

- Przerażające. Czemu chociaż Strażacy nie gaszą?

- Pójdę zapytać - ofiarował się malarz.

Po krótkiej rozmowie z oficerem straży wrócił z rzadki miną. Stuknął się w czoło i wykonał kilka chaotycznych gestów, wyrażających dezaprobatę.

- Wyobrazcie sobie, że nie mogą sikać, bo wóz przez przeoczenie nie został jeszcze poświęcony. Ksiądz Pyrko już pobiegł do kościoła po akcesoria.

- Mamy przyglądać się beczynnemu, jak gorzej posesja?

- Obawiam się, panie Adamie, że przypadła nam rola chóru greckiego, komentującego wydarzenia. Proboszcz padnie ofiarą pielęgowanego troskliwie mitu, że co nie pokropione wodą święconą, nie ma prawa funkcjonować.

- Szamanizm w czystej postaci! •- Rak wykrzywił wargi z niesmakiem. - Odczynianie

czarów.

- Nie używajmy grzmiących słów. Określiłbym sytuację raczej jako sprowadzenie górnolotnej doktryny do przyziemnych wymiarów. A praktyka często przeczy teorii, co zauważyli już starożytni.

Z hukiem wyleciały szyby piętra, płomienie wydostały się na zewnątrz i zasilone raptownie tlenem buchnęły na ściany. Trzaskały krokwie dachu, dym bił w niebiosy. Przybiegł wreszcie zdyszany proboszcz z pojemną kropielnicą w jednej dłoni i potężnym wiechem kropidła w drugiej. Świecił pojazd gaśniczy szczerze, ze wszystkich stron, szczególną uwagę poświęcając motopompie. Potem podbiegł pod budynek, resztę święconej zawartości kociołka chlusnął na ścianę i zaczął modlić się do świętego Floriana, patrona strażaków. Fruwały rozkazy, węże już rozciągnięte, a tu silnik nie chce zaskoczyć. Oficerowi wyrwał się dramatyczny okrzyk:

- Ta cholera zalała styki! Osuszyć!

Śliwa nie mógł powstrzymać śmiechu. Artysta zaś komentował potoczyscie:

- Proszę zwrócić uwagę na surrealizm sytuacji. Woda święcona zachowała się jak pospolita H₂O i zamiast napędzić urządzenie, unieruchomiła je. Duchowny, który bez wątplenia wierzy w cudowną moc cieczy, zamiast wylać ją na płomienie zmniejszając w ten sposób żar, bryzga bezmyślnie mury jakby chciał je zachęcić do pokory wobec żywiołu. A oficer? Jest wierzącym katolikiem, zdyscyplinowanym, bo wykonał bez szemrania polecenie proboszcza, nakazujące mu bierność do chwili spełnienia ceremonii. I oto ten człowiek, w obliczu przewrotnego skutku kropienia, bez namysłu wskazuje winnego, wymyślając kapłanowi od cholery co zalała jakąś instalację.

- Nadgorliwość zawsze prowadzi na manowce, ksiądz Pyrko może być pouczającym przykładem - powiedział Rak - taki aktywista w sutannie życzenia własne bierze za fakty i wykonuje działania, których skutków nie potrafi przewidzieć.

- Pazerność zgubi kler - mruknął Śliwa - chce teraz wszystko i wszystkich podporządkować sobie, co sprowokuje falę ateizmu i nową Reformację. Tak mawiał Ateusz Pokorny, dech mu ziemia lekką będzie. I miał rację.

- Nie zastanawia panów fenomen wody święconej? - ciągnął malarz, puściwszy mimo uszu obie dygresje. - Jak powstaje? Do cudownej przemiany wystarczy odpowiednia modlitwa zwykłego kapłana czy też obrzędu dokonuje biskup, mający upoważnienie Watykanu? W celu transformacji używa się surowiec lokalny czy importowany, na przykład z rzeki Jordan? Pytania naiwne lecz uprawnione w ustach laika. Jeśli proces produkcji, że się

tak wyrażę, jest skomplikowany, proboszcz może puścić się na łatwiznę i ubytki uzupełniać dolewaniem z kranu. W ten sposób woda święcona staje się coraz mniej esencjonalna i wraz maleje jej skuteczność, co by tłumaczyło niepowodzenia Kościoła w zbożnym dziele ewangelizacji nadwiślańskich pogan. Jak ogromne jest zapotrzebowanie na ów płyn cudowny, wiadomo. W Trzydębach poświęcono już wszystko, od szklarni Świderskiego do miejskiego szaletu.

- Nie widzę problemu - obruszył się Rak. - Przecież Kościół w ramach akcji prywatyzacyjnej może przejąć jakąś państwową gorzelnię i zamienić ją na przykład w spółkę akcyjną „Rowoś” (Rozlewnia Wody Święconej). Jest zapotrzebowanie rynku, zbyt zapewniony, produkt w gustownych opakowaniach dostępny w każdym kiosku. Dla księży trzydziestoprocentowy rabat przy hurtowym zakupie.

- Lepszy interes zamieniać wodę w wino - zauważył Śliwa. - Powstaje, powiedzmy, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Curozwin” (Cudowne Rozmnożenie Wina) i dzięki reklamie telewizyjnej opanowuje rynek, kładąc na łopatki Polski Monopol Spirytusowy. Są precedensy. Pamiętasz faceta zwanego Świński Ryj? Prowadził punkt skupu butelek przy ulicy Krzywoustego. Z każdej flaszki trunku robił dwie, dolewając kranówki. Korki zgrabnie lakował, a towar upłynniał okolicznym pijaczkom. Ci jednak po pewnym czasie zorientowali się co jest grane, gdyż koszt uzyskania stanu euforycznego podwoił się, podobnie jak obciążenie przewodu pokarmowego. Od samosądu uratowała wynalazcę milicja lecz skutek poważnych obrażeń musi chodzić o kulach.

Ogień trawił już parter. Zawalił się dach wyrzucając w atmosferę snopy iskier. Gapie zaczęli się rozchodzić, a strażacy z beznamiętną precyzją dogaszali zgliszcza. Proboszcz siedział na trawie pogrążony w smutku, gdyż nie tylko dobro kościelne lecz także jego osobisty dobytek uleciał z dymem. Podszedł doń Śliwa.

- Szukamy źródeł nieszczęścia?

Nie słysząc odpowiedzi dodał zaczepnie:

- W ściany plebani wmurowano cegły, którymi tłum dewotek, podbechtany przez księdza Maciąga, ukamienował nauczyciela Pokornego. Mojego przyjaciela Ateusza. Przekląłem wówczas twego poprzednika, przeklinam dziś ciebie, klecho! Oby cię piekło pochłonęło!

- Przekleństwo komucha jest pozbawione mocy sprawczej - odparł Pyrko wzruszając lekceważąco ramionami.

- Zobaczmy. Dotąd dzieliłeś miast łączyć co rozłączone, uczyłeś nienawiści choć kazano ci głosić miłość, plugawiłeś wargi kłamstwem tając prawdę. Dziś jednak ruszyło cię

sumienie, będziesz usiłował się zmienić, w płomieniach plebani ujrzałeś bowiem własną podłość, podszytą pychą. Ogarnął cię strach, że będziesz osądzony, być może niebawem, śmierć już krąży w pobliżu, mogłeś przecież spać w budynku, wtedy żar odciąłby ci drogę ucieczki. Lecz nie zdołasz się zmienić, klecho, za późno! Zasiejesz ziarno, a wyrosną ci plewy. Głosić będziesz miłość, a zbierzesz nienawiść. Gdziekolwiek stąpniesz, ziemia stopy ci wypali. Zdechniesz w samotności, a parafianie pluć będą na twój grób. Amen.

Gdy wrócił do towarzyszy, Rak ucieszył się

- Wymachiwałeś ramionami jak wiatrak. Myślałem, że mu przylejesz.

- Składał pan proboszczowi wyrazy ubolewania? - spytał malarz. - Uznałbym to za ewenement godny odnotowania.

- Wygłosiłem prorocstwo Hieronima, moje prywatne. Dla księdza wdzięczny temat do rozmyślań w długie zimowe wieczory.

Rozstali się przy ratuszu; każdy ruszył w swoją stronę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Milicjanci przy konfesjonale. Anarchista rozpieprza co podłeci. Relegowanie Hiacynta z zakonu. Krótkotrwałe szczęście trzydziestu sierot.

Weryfikacja milicjantów w Trzydębach odbyła się ze znacznym opóźnieniem. Ponieważ z powodu nawału pracy wojewódzka komisja nie mogła przybyć na wizję lokalną, sprawę zlecono proboszczowi. Ksiądz Pyrko uznał, że atmosferę, sprzyjającą zadaniu wagi państwowej, wytworzy tylko konfesjonał. Oto dlaczego w sobotnie przedpołudnie Sierżant poprowadził swych pięciu podwładnych do kościoła. Czuli się onieśmieleni, służbowe czapki obracali niezgrabnie w dłoniach. Tylko kapral Józwiak chichotał, nadmieniając coś o cyrku i drętwej mowie, lecz wkrótce ucichł, spiorunowany wzrokiem komendanta.

Z szeregowcami duszpasterz uporał się szybko - chrztem mogli się wykazać, opozycji nie dokuczali, do PZPR nie należeli, żaden donos wskazujący na niemoralny tryb życia nie wpłynął do plebani. Szarże jednak wymagały wnikliwszej analizy, reżimowy aparat ucisku musiał mieć powody, aby właśnie ich awansować. Na pierwszy ogień wziął służbistę kaprała.

- Z jakiej rodziny się wywodzisz, synu? Bogobojnej czy wolnomyślicielskiej?

- Nie wiem. Jestem podrzutkiem.

- Ochrzczono cię?

- Nie pamiętam. A ksiądz przypomina sobie swój chrzest?

- Ja zadaję pytania, ty odpowiadaj w pokorze, bo twój, los się waży. W Boga wierzysz?

- Nie było takiego rozkazu.

- A gdyby był, to wierzyłbyś?

- Rozkazy są różne: mądre i głupie. Milicjant ma bez szemrania wykonywać polecenia zwierzchników.

- Dostrzegam w tej uwadze zdrowy sens. Chyba nie zaprzeczysz, że włóczyłeś się po puszczy tropiąc dziuple, w których ukrywali się przed represjami bojownicy o wolność?

- Lubię zbierać grzyby, to i włóczyłem się. Za konspirą myśmy nie biegali, bo i po co? Każde dziecko wiedziało, w którym mateczniku siedzą; Kukali sobie bez przeszkód. Niektórzy tak zachrypli, że do dziś ludzkie słowo nie może im wyjść z gardła.

- Wiadomo mi, iż brałeś ślub kościelny.

- Rodzina żony się uparła.

- Chcesz powiedzieć, że sakrament ślubu jest ci obojętny?

- Jaka różnica, czy babę bije się z błogosławieństwem kościelnym, czy bez? Najważniejsze, by żony nie bijać. I żeby miała co do garnka włożyć.

- Stwierdzam z zadowoleniem, mój synu, że troska o rodzinę nie jest ci obca. Tyś w czasie stanu wojennego odprowadzał do aresztu pana burmistrza Maciaruka?

- Wówczas był jeszcze wicherzycielem.

- A gdybyś dziś usłyszał taki rozkaz?

- Dziś? Mowy nie ma o odprowadzaniu; zawiózłbym łobuza do kryminału taksówką.

- Dlatego zostałeś członkiem PZPR?

- Albo to ja gorszy? Koledzy brali legitymacje, zgłosiłem się również. Później żalowałem, bo zebrania były nudne.

- Zabierałeś głos? Myślę o atakach na Kościół lub „Solidarność”.

- Nikt o zdanie mnie nie pytał.

Ksiądz Pyrko na gorąco zanotował opinię o kapralu: Prymityw. Z powodu sieroctwa otrzymał mierne wychowanie. Zasady moralne szczątkowe. Dla Kościoła do odzyskania, policji może okazać się przydatny, bo bezmyślnie wykona każdy rozkaz. Do partii wstąpił kierując się owczym pędem i rozstał się z komuną bez żalu. Politycznie indyferentny.

Sierżant podszedł do konfesjonału energicznym krokiem, stukot butów odbijał się echem od sklepienia. Stanął na baczność.

- Nie demonstruj pychy, synu - powiedział proboszcz - klęknij, nasza rozmowa otoczona zostanie tajemnicą spowiedzi świętej. Jako komendant posterunku ponosisz pełną odpowiedzialność za wszelkie wybryki tutejszej milicji. Jesteś tego świadom?

- Nie było żadnych wybryków, proszę księdza. Łapaliśmy złodziei, chuliganów i pijanych kierowców.

- Powiększasz swą winę kłamstwem. Bukowskiego spałowałeś?

- Spił się jak świnia, mieliśmy kłopoty z odstawieniem go do izby wytrzeźwień. Znieważył czynnie kaprala Józwiaka, to i oberwał.

- Aresztowałeś inżyniera Kajdyra.

- Była sankcja prokuratorska.

- Urządziłeś pułapkę na Maciaruka. Wskutek twej nadgorliwości ten wybitny działacz opozycyjny został internowany.

- Krzywda mu się nie stała. Gdy wyszedł po trzech dobach, jechała za nim bagażówka wypełniona frykasami z darów kościelnych. Sam bym się z nim zamienił, bo wówczas w sklepach był tylko ocet i sól.

- Nie dostrzegam w tobie ani krzty skruchy. Powinieneś pojąć, że pałka sama w sobie

nie jest złem, Pismo Święte uczy, iż także archaniołowie posługiwali się bronią. Ważne, w kogo godzi oręż. Gdybyś spałował sekretarza partii, Góralskiego, albo zatwardziałego komucha, Śliwę, proszę bardzo, nawet mógłbyś zasłużyć na pochwałę. Lecz ty nastawiałeś na naszych ludzi, na patriotów, na szczerych demokratów walczących z reżimem o Polskę katolicką i narodową. Rozumiesz?

- Tak jest. Biłem w niedobrą stronę.

- Właśnie. Dlatego musiałbym ci dać opinię złą, zagrażającą drogę do policji. Nowa Polska, nowy ustrój, nowa policja, nie obciążona postkomunistycznym balastem.

- Ciekaw jestem, kto będzie łapał przestępców, gdy ta nowa policja zacznie się uganiać za byłymi partyjniakami albo pielgrzymować do Częstochowy.

- Akurat ciebie nie powinna o to boleć głowa. Zwróciłeś zapewne uwagę, że użyłem trybu warunkowego: musiałbym dać ci opinię złą. Lecz mogę również wystawić dobrą.

- Byle dotrzeć do emerytury. Nie mam innego zawodu.

- Pod dwoma wszakże warunkami. Znasz niejaką Pelagię?

- Któżby jej nie znał? Wyjechała do Włoch z jakimś fagasem.

- Może, nie daj Bóg, wrócić. Warunek pierwszy: gdyby ta osoba pojawiła się w Trzydębach, przepędzisz na cztery wiatry.

- Zgoda.

- Warunek drugi: poskromnisz element wywrotowy.

- Ksiądz ma na myśli Felka Anarchistę?

- Jeden anarchista równy dziesięciu komunistom. Ten łotr wznieca społeczny niepokój samym wyglądem. A jego okrzyki? A jego mowy w miejscach publicznych? A jego pogrożki pod adresem miejscowych autorytetów? Jest rozsadnikiem zła. Poskromnisz?

- Załatwione.

Obsada posterunku została zweryfikowana w komplecie. Wkrótce nadeszły nowe mundury i pragmatyka służbowa. Szeregowców przemianowano na posterunkowych, kaprała na starszego posterunkowego, a sierżantowi przysługiwał odtąd stopień przodownika. Z szyldu i pieczęci znikła milicja, a pojawiła się policja, orzeł otrzymał koronę, Rzeczpospolita Polska zastąpiła Polską Rzeczpospolitą Ludową. Wszystko po nowemu. Tylko Felek Anarchista rozrabiał po staremu. W każdą sobotę z butelką czystej wyborowej w kieszeni i czarnym proporcem umocowanym do ciupagi, pojawiał się w śródmieściu wykrzykując gromko:

- Rozpieprzyć ten burdel! Kajdyr do nocnika, Pyrko w katakumby, Maciaruk na latarnię! Niech żyje międzymiastówka anarchistyczna!

Czasem akcentował pewne elementy programowe:

- Zlikwidować wszelką władzę! Policję wystrzelić na Księżyc! Wolny kraj dla wolnego ludu!

Postulat ekonomiczny zgłaszał wciąż taki sam:

- Żądamy swobodnego dostępu do wysypiska śmieci! Precz z terrorem służb komunalnych!

Był to postulat ze wszech miar uzasadniony zważywszy, że Felek mieszkał w budzie z blachy falistej, usytuowanej właśnie na wysypisku; stamtąd wytrwałą pracą pozyskiwał surowce wtórne lub używane przedmioty codziennego użytku. Ich sprzedaż przynosiła dochód wystarczający na niezbyt wygórowane potrzeby Anarchisty.

Przodownik postanowił wywiązać się z obietnicy, danej proboszczowi. Siadł na rower i pojechał do jaskini elementu wywrotowego. Pedałował z wysiłkiem, bo wiatr w oczy, a kondycja nadszarpięta perypetiami weryfikacyjnymi. Pokonawszy pięciokilometrowy dystans, pojazd oparł o sosnę i wdrapał się na hałdę. Błaszak Anarchisty błyszczał w słońcu, wokół rosły kwiaty, tu i ówdzie zieleniły się krzewy agrestu i porzeczek. Element, rozwalony na leżaku, opalał tors.

- Ładnie tutaj, panie Felku. Domowo jakby.

- Od rana prześladował mnie zapach wędzarni, a to według wróżb chaldejskich oznacza spotkanie z policją. No i spotkanie jest. Za węglem stoi krzesło, niech szarża siądzie. Zasiedliłem najdawniejszy odcinek Eldorado, śmieci tutaj zdążyły się zma-cerować, powstał żyzny kompost więc roślinność pnie się radośnie ku obłokom. Mogę poczęstować colą,

- Chętnie się napiję. Upał. A szczury nie dokuczają?

- Szczur, wierny towarzysz człowieka. Zwierzę pożyteczne, bo wszystkożerne, nawet głodomorem nie pogardzi. Czytam dostarczaną tu prasę - wskazał strzępy gazet ułożone w stos obok leżaka - i czego się dowiaduję? Nowa Polska będzie rajem dla gryzoni, gdyż deratyzację zlikwidowano jako przejaw komunistycznego zniewolenia. Otwarcie na Europę, a jakże, pchają się do nas śmieciarki łądem, wodą i powietrzem, nawet z Portugalii. Wciskają nam zewsząd zatrute świństwo, nieprzydatne do utylizacji, zaś urzędnicy gorliwie biorą w łapę za takie podtruwanie ludu. Dyspozycyjni pismacy bagatelizują problem, usypiają czujność, byśmy z modlitwą na ustach zmierniali pokornie ku zbiorowemu samobójstwu. Byłem tu sobie królem i panem przez lata całe, a teraz budzi mnie o świcie stuk łopat i kilofów, bo stada bezrobotnych rozgrabiają co się da: makulaturę, szmaty, złom.

- Żółć, panie Felku. Gdyby nająć ludzi i rozkręcić prywatny interes opadowy?

- Szarża sobie kpi. Mój światopogląd nie pozwala czerpać korzyści z cudzej pracy.

Usiłuję sobie wyobrazić kraj za lat kilka i cóż widzę? Gigantyczny śmietnik, gdzie zżerają się nawzajem szczury i nędzarze, a po obrzeżach byczy się stado hien, wypasionych na cudzej krwi i pocie. Mam szanować władzę, która taki los nam gotuje? Z głębi trzewi wyrywa się okrzyk rozpacz: rozpieprzyć ten burdel!

- Właśnie ta sprawa mnie sprowadza. Demonstracje. Hasła znieważające osoby i instytucje. Zakłócanie porządku publicznego.

- Ładnie szarża to ujął. Zgodnie z moimi intencjami.

- Osobiście nie mam nic przeciw panu. W ramach pluralizmu uszanuję nawet anarchistyczne poglądy. Jednakże zmuszony jestem... wywierane są na policję naciski... proboszcz i burmistrz nalegają...

- Mam do wspomnianych trutniów stosunek sprecyzowany. Oni mogą mi, powiedzmy, wskoczyć do portek, wyrzecz rozporkiem i -świergolić na melodię „My pierwsza brygada”. Pyrko do katakumb, Maciaruk na latarnię!

- Ktoś złośliwy mógłby pana aresztować za podżeganie do czynów gwałtownych. Ja zaś nie grożę więzieniem, tylko proponuję kompromis.

- Interesujące. Jaki?

- My przymykamy oczy, a Felek Anarchista będzie krążył tylko po peryferiach, jak najdalej od kościoła i ratusza, wznosząc okrzyki wyłącznie bezosobowe.

- Nie rozumiem.

- Bez wymieniania nazwisk.

- Aha. Jeśli się zgodzę, to tylko ze względu na szarżę. Zostałem potraktowany jak człowiek, przez kogo? Przez policjanta, podporę obecnego reżimu. Widocznie zgnilizna od rybiej głowy nie dotarła jeszcze do ogona. Umowa stoi.

Felek odprowadził władzę do skarpy i wskazał dogodną ścieżkę, wiodącą do świata ludzi przedsiębiorczych, którzy poznali siłę swoich pieniędzy i radośnie wnoszą zręby kapitalizmu. Wrócił na leżak; oddawszy skórę leczniczym promieniom słonecznym, rozważał sytuację. Okrzyki bezosobowe, czemu nie? Mogą być. Skreślam nazwiska, wstawiam funkcję. Klecha do katakumb, burmistrz na latarnię! Tyż piknie. Z lokalizacją żadnych kłopotów, ponieważ peryferie Trzydębów zaraz za rynkiem, ciągną się w siną dal na wszystkie cztery strony świata. Należałoby również zmodyfikować nieco garderobę...

Pomysł wydał mu się szczęśliwy. Przyniósł z budy puszkę czarnej farby i pędzel. Na popielatym kapeluszu wymalował trupa czaszkę i skrzyżowane piszczele a biały podkoszulek ozdobił napisem „I love Bakunin”. Nie używał nigdy marynarki, symbolu burżuazyjnego rozpasania, nosił świątek-piątek długi płaszcz zawsze rozpięty, więc jego miłość do teoretyka

anarchizmu będzie się rzucała w oczy. Zmienił farbę na białą i na wierzchnim okryciu skopiował portret wąsatej osobistości, podpatrzony z pierwszej strony gazety. Źle wycelował i wizerunek zamiast na plecach wypadł poniżej pasa. Pokiwał głową z aprobatą, bo podobieństwo zostało zachowane; właściwy człowiek na właściwym miejscu.

W tym czasie Śliwa wychodził zadowolony z gmachu sądu, bo trzymał w dłoni odpis wyroku, nakazującego Wytwórni Nocnych Naczyń Wielokrotnego Użytku imienia Józefa Piłsudskiego przywrócić go do pracy. Skierował się wprost do biura. Sekretarka próbowała go zatrzymać, lecz odsunawszy ją bezceremonialnie, wtargnął do gabinetu. Dyrektor podskoczył z oburzenia:

- Zakazałem wstępu!

- Nie wrzeszcz, Kajdyr. Masz tutaj wyrok sądowy. Płacisz utracone pobory i zwracasz mi posadę.

- Po moim trupie!

- No to jesteś nieboszczykiem. Czekam w domu na wiadomość od kiedy mam zaczynać. Ale pamiętaj, że za każdy dzień zwłoki bulisz żywą gotówkę. Radziłbym ci nie podważać prawa, by mogło bronić również ciebie, gdy znajdziesz się w opresji. Widziałem kopę takich ważniaków, nadętych jak purchawki - myśleli, że dupy przyrosły im do stołków, a tymczasem na najbliższym zakręcie historia wytrącała ich z orbity. Cześć pracy!

Nie spieszył się do domu. Od śmierci Maleńkiej wiało z wszystkich kątów beznadziejną pustką. Syn, po ukończeniu polonistyki, przez rok uczył w sąsiedniej miejscowości; dojazdy zajmowały wiele czasu, wracał późnym wieczorem. Teraz wystartował wprawdzie w Trzydębach, lecz nadal w domu był gościem, gdyż wlepiono mu drugi przedmiot, wychowanie fizyczne; wciąż organizował jakieś treningi i zawody. Oby się chłopak szybko ożenił - marzył Śliwa - będą wnuki niańczyli i starość nabierze sensu...

Obok sierocińca przystanął. Za żywoplotem, na małym placyku, maluchy oblegały huśtawki, a starszaki usiłowały trafić piłką do jednej bramki. Wychowawca, we wzorzystej koszuli z krótkimi rękawami, wydawał się znajomy. Majster podszedł bliżej. Łysina, nochal, krzaczaste brwi - czyżby franciszkanin w cywilu?

- Hiacynt!

- Hieronim! - ucieszył się mnich podbiegając żwawo do ogrodzenia. - Wreszcie się ujawniłeś.

- Wylali z zakonu?

- Los nie okazał łaskowości. Zostałem relegowany wskutek nacisku paru fanatyków, oby im Bóg wybaczył. Sterczałem bezradnie na szosie, zastanawiając się dokąd skierować

kroki, gdy pewien uprzejmy kierowca przystanął i zaprosił do szoferki. Od niego dowiedziałem się, że z braku funduszków sierociniec mają zlikwidować, dlatego wróciłem do miasteczka. Wyobraź sobie, przejąłem się niepewnym losem tych dzieciaków. Zawsze byłem nieco sentymentalny, widocznie to nieuleczalna choroba. Burmistrz sprywatyzował rudere, chciał słono sprzedać, lecz nabywcy nie znalazł. Przepraszam, zgłosił się ogrodnik Świderski. Opowiadano mi, że spytał na wstępie, co będzie z sierotami. Maciaruk odparł, że jego wybrano po to, by dbał o demokrację i o kasę miejską, a nie o cudze bachory.

- Jakbym go słyszał!

- Świderski jęgomość wybuchowy, naubliżał władzy od najgorszych i z transakcji nici. Wtedy zameldowałem się ja. Dobrze - powiedział - bierz sobie ten majdan, ale na własny koszt, bo z budżetu nie dam grosza. No i wziąłem zastrzegając wszakże, że jeśli ośmieli się wlepić sierocińcowi podatek, to urządzę mu w ratuszu strajk okupacyjny.

- Sam gospodarzysz?

- Wyglądam na Herkulesa? Zatrudniam sprzątaczkę, kucharkę i dwie emerytowane nauczycielki. Zajrzy czasem bezinteresownie pani Róża, leczy zęby, przeziębienia, ranę opatrzy gdy trzeba. Dobrzy ludzie odmalowali pomieszczenia, bywa że podrzuca trochę produktów żywnościowych lub używanej odzieży.

- Coś kręcisz, mnichu. Jakąś forszę musisz mieć. Obrabowałeś swój klasztor?

- Bóg czuwa. Zesłał sponsora.

- Ha, jesteśmy na tropie cudu!

- Żebyś wiedział. Przydarzyła się mi historia tak nieprawdopodobna, że jej dotąd nikomu nie opowiadałem. Otóż pewnego razu Felek Anarchista znalazł na śmietniku kupon totolotka...

Fakt, znalazł, wypełniony przepisowo i z banderolą. Gdy nazajutrz w ładunku pozostawionym przez śmieciarkę wygrzebał aktualną gazetę, ciekawość kazała mu poszukać komunikatu. Oczom własnym nie wierzył: wszystkie skreślenia były trafne, kupon wygrał główną nagrodę, opiewającą na zawrotną sumę. Przez chwilę rozważał, jak mógłby zmienić tryb życia dzięki strumieniowi gotówki, który przypadek nachalnie kierował do jego kieszeni. Perspektywy jednak nie wydawały mu się zachęcające. Wiedział, że niezależność finansowa szybko się okaże iluzją, a on tymczasem zostanie wplątany w międzyludzkie zależności i utraci rzecz najcenniejszą - absolutną wolność, jaką w swoim mniemaniu cieszył się do tej pory. Bez żalu skierował myśl w inny nurt: kogo by obdarzyć tym wątpliwym szczęściem? Drogą eliminacji doszedł do sierocińca i klamka zapadła.

Przebrał się w strój konspiracyjny - garnitur, białą koszulę, krawat, czarne półbuty -

wygolone policzki odświeżył wodą kolońską i ruszył do miasta. Dzieciarnia wychodziła właśnie na wycieczkę, dwójkami, jedna nauczycielka z przodu, druga z tyłu kolumny. Naliczył trzydzieścioro. Flegmatycznie odszukał w budynku Hiacynta.

- Kogo widzą oczy moje? - zdziwił się zakonnik - pan Felek bez uniformu bojowego?
Co się stało?

- Oczy twoje widzą sponsora przybytku sierocego - odparł z godnością Anarchista.

- Każdy datek będzie przyjęty wdzięcznym sercem.

Felek wręczył kupon totolotka i wyrwany z dziennika komunikat. Ograniczył wymowę do jednego stwierdzenia; zabrzmiało spiżowo jak w ustach Cezara:

- Znalazłem, przybyłem, wręczyłem.

- Bóg zapłać. Tyle pieniędzy! Całoroczny budżet sierocińca. Mam świetną nalewkę na wiśniach. Zechce pan...

- Nie odmówię.

W ciasnym pokoiku usadził gościa na jedynym krześle, a sam przysiadł na żelaznym łóżku, pod obrazem przedstawiającym świętego Franciszka w ogrodzie. Wiśniówka smakowała Felkowi, cmokał z uznaniem.

- Czemu...

- Sam nie wydałem forsy?

- Tak. Mógł pan dom postawić.

- Parterowy i tylko w stanie surowym. A wykończenie?

- Na dobry samochód by starczyło.

- Nie mam garażu ani prawa jazdy. Zresztą lubię piesze spacerki.

- Brak mi słów.

- Nie wracajmy do sprawy. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Podarował pan moim sierotom rok beztroskiego życia.

- No i dobrze.

- Rozliczę się z każdej złotówki. Wypisać pokwitowanie?

- Nie wymagam. W razie remontu lub zakupu sprzętu służę radą. Znajdę wśród znajomych chętnych na tanią fuchę.

- Czym się odwdzięczę?

- Tą nalewką. Wziąłbym mały zapasik.

Felek opuszczał sierociniec zadowolony z siebie. Pod pachą niósł pięciolitrowy baniak z franciszkańskim trunkiem i nuci pieśń o zdradzieckich magnatach i prałatach, gnębiących lud. By przekonany, że to hymn anarchistów. Nikt mu dotąd nie powiedział, iż powtarza

słowa bojowników Powstania Listopadowego, którzy wprawdzie o Bakuninie nie słyszeli, lecz potrafili zawiązać stryczek na biskupich gardłach zaprzalców sprawy narodowej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ideologiczna słuszność kolorów. Łysa Pała dyrektorką, szkoła bliżej Boga. Odsłonięcie bolszewików i księdza Skorupki. Wiersz Kasprowicza na cenzurowanym.

Gdy Piotr przyszedł rano do szkoły, malarz już siedział na rusztowaniu, w poplamionym farbami kitlu i berecie przekrzywionym na jedno ucho. Pędzel wędrował od słoików z przygotowanymi farbami ku ścianie i z powrotem, a dzieło wylaniało się z chaosu barw i kształtów.

- Witam Artystę - powiedział - konie wyszły wspaniale, bestie apokaliptyczne ani się umywają do pańskiego zaprzęgu. Woźnica krasnoarmijską czapę zgubił?

- Włos mu się zjeżył na widok księdza Skorupki, a kudły ma długie, to nakrycie głowy odfrunęło.

- Kulomiot bez obsługi?

- Właśnie obsadzam stanowisko. Zgodnie z sugestią twego ojca, młody człowieku, zajmie je diabeł.

- Czarny?

- Uchowaj Boże! Wprawdzie ludowa tradycja preferuje czerń jako materialną powłokę złego ducha, lecz ten kolor kojarzy się natarczywie z sutanną, jest więc niesłuszny ideologicznie. Sfery kościelne zalecają twórcom, by szatan występował zawsze w czerwieni, co ma wywołać słusznie ideologicznie skojarzenie z komuną.

- Mnie czerwień przywołuje na myśl szaty kardynalskie.

- Cierpisz na polityczny daltonizm, mylisz purpurę watykańską z robotniczym czerwonym sztandarem. Tego błędu nie popełnia pan burmistrz Maciaruk. Powiadają, że zakazał ogrodnikowi Świderskiemu hodować czerwone tulipany; podobno są znakiem rozpoznawczym dla utajonych komuchów. Czujesz ewangeliczną życzliwość wobec bliźniego, a typek wetknął tulipana w butonierkę i twoja życzliwość okazuje się źle ulokowana. Albo zapraszasz łotra na imieniny, a ów przynosi pani domu cały bukiet trefnych kwiatów. Jak powinna nieszczęsna zachować się wobec oczywistej prowokacji? Wezwać policję, czy szepnąć konspiracyjnie: Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! Ot, dylemat towarzyski.

- Mogę sobie wyobrazić sytuacje jeszcze groźniejsze. Podrywa cię dziewczyna, która poczuła nieodpartą wolę bożą Dajesz się zaciągnąć do łóżka, sięgasz gdzie wzrok nie sięga, a

tu majtasy mienią się czerwienią. Katolik - patriota salwował by się zapewne ucieczką, lecz przeciętny rodak? Popelnia czyn nierządny z kuciapką bezbożną, pogrążając się w pułapce antykonceptyjnej; grzeszy przeciw Stwórcy i senatowi Rzeczypospolitej w ogólności, a posłowi Niesiołowskiemu w szczególności.

- Przyznasz, zacny pedagogu, że historia żywi się plagiatami. Nowa władza najpierw zwalcza symbole starej - portrety pomniki, nazwy - potem tępi faktycznych lub domniemanych aktywistów dawnego reżimu, wreszcie zaczyna wyszukiwać wrogów we własnych szeregach. Wówczas skłócone i zastraszone pospólstwo jednoczy się podnosząc bunt, władzę obejmują kolejna ekipa i rusza śladem obalonej siły. Ta kołomyjka trwa od zarania dziejów, nie powinniśmy więc załamywać rąk. *Panta rei*. A diabełka zrobimy czerwonińskiego, jak sobie życzy jego proboszczowska wielebność. Odnoszę wrażenie, że pan, panie Piotrze, nie darzy nadmiernym szacunkiem księdza Pyrko?

- Nie cierpię fanatyków.

- A ja podziwiam go za zdumiewającą wszechstronność. Jest gorliwym urzędnikiem Pana Boga, to raz. Weryfikuje, które osoby mogą zajmować funkcje publiczne, a dla których dobrodziejstwa demokracji pozostaną niedostępne, to dwa. Odpuszcza grzechy parafianom, a trzydębienie do cnotliwych nie należą - dzieło iście syzyfowe, to trzy. Dbą o moralność zwalczając prezerwatywy, usuwanie ciąży, stosunki przerywane i wszelkie podobne postkomunistyczne zbrocenia, to cztery. Odkrył w sobie powołanie mecenasa sztuki i umie je dialektycznie łączyć z obowiązkami cenzora, to pięć. Kapłan-omnibus.

Snując swoje dywagacje, malarz ani na moment nie przerwał pracy, pędzel uwijał się gorliwie a diabeł materializował się za kulomiotem, wymierzonym w bohaterskiego księdza Skorupkę. Wredna gęba, zwieńczona rogami, wyrażała ekstatyczną radość, że klecha zostanie ustrzelony.

- Jakże tu nie podziwiać ludowej mądrości - zauważył Piotr - która kazała przyprawić czartu kopyta tylko na kończynach dolnych, a górne opatrzyć szponami. Kopytem nie mógłby nacisnąć spustu.

- Słusznie. Wskutek niewłaściwego doboru detalu anatomicznego straciłby naród szansę na pozyskanie kolejnego świętego, jestem bowiem przekonany, iż nasz bohater zostanie beatyfikowany podczas następnego nawiedzenia ojczyzny przez Starszego Pana z Watykanu, jak mawia mnich Hiacynt.

Do holu wkroczyła pani dyrektor Czos-Pałubicka. Podczas uniwersyteckich studiów dała się poznać jako wytrwały parazytolog i odtąd na otaczających ją ludzi spoglądała niby na okazy, dające się jednoznacznie skodyfikować, spreparować i utrwalić w odpowiedniej

gablocie pod właściwym numerem katalogowym. Wywodziła się z podlaskiej szlachty szaraczkowej, z czego była równie dumna jak z dyplomu. Mawiała: „my, arystokraci...” albo „my, inteligenci...” albo „my, kombatanci...” To ostatnie określenie słusznie jej przysługiwało, gdyż przed wprowadzeniem stanu wojennego zdążyła uczestniczyć w jednym zebraniu „Solidarności” a po objęciu władzy przez dawną opozycję, na jej stanowcze żądanie, kurator wyrzucił ze szkoły Piotrowską. Uzasadnienie napisała osobiście:

Nomenklaturowa dyrektor Piotrowską utraciła społeczne zaufanie jako osoba doszczętu zdemoralizowana i destrukcyjny element postkomunistyczny. Przeprowadziła nadanie naszej szkole imienia króla świętobójcy. Zdefraudowała społeczne pieniądze zamawiając malowidło ściennie, zakłamujące prawdę historyczną. Szerzyła kult bezbożnika Ateusza i stosując presję psychiczną wciskała dziatwie do rąk paszkwil pod heretyckim tytułem „Jak człowiek stworzył Boga?”. Szerzyła powszechne zgorszenie, żyjąc w grzesznym konkubinacie z miejscowym weterynarzem. Jako filar reżimowej indoktrynacji w Trzydębach, powinna zostać pozbawiona wpływu na edukację młodego pokolenia wyzwolonej demokratycznej Polski.

Oczywiście najbardziej kompetentna osoba z grona pedagogicznego - to znaczy ona sama - zajęła dyrektorski fotel i zabrała się do nieodzownych reform. Wprowadziła naukę religii, z biblioteki usunęła książki bezbożne i przeżarte socjalizmem, starania o zmianę patrona szkoły zbliżały się do szczęśliwego zakończenia. W chwilach wolnych od kierowniczych obowiązków uczyła biologii. Młodzież nazywała ją złośliwie Łysą Pałą. Łysą, ponieważ za sprawą wady genetycznej od urodzenia pozbawiona była owłosienia i musiała nosić perukę. Pałą, gdyż figura pani owo narzędzie przypominała: do pasa szczupła, a poniżej kula imponujących rozmiarów na rachitycznych nóżkach.

- Artysta skoro świt przy pracy - powiedziała zatrzymując się przy rusztowaniu. - Pochwalam. Terminu dotrzemy?

- Nie rzucam słów na wiatr, szanowna pani.

- A koledze Śliwie dzieło się podoba?

- Hm. Interesująca kompozycja. Z metafizycznym akcentem w środku.

- I o to chodziło! Ksiądz proboszcz będzie zachwycony. My, inteligenci...

Dzwonek brutalnie przerwał Czos-Pałubickiej w pół zdania i Piotr się nie dowiedział, z czego inteligenci ucieszą się bardziej z malunku, czy też z zachwyty kapłana. Poszedł na lekcję.

W szkole były trzy ósme klasy. Ponieważ część rodziców nie wyraziła zgody na lekcje religii, Piotr zaproponował, by młodocianych niedowiarków i innowierców zgromadzić razem

w klasie C, co pozwoli uniknąć zbędnych konfliktów. Dyrektorka wyraziła zgodę, rozwiązanie wydało jej się szczęśliwe. Opieką nad tą klasą został Śliwa. Wkrótce zorientował się, że proces niewierzących otrzymał w spadku także protestantów, prawe sławnych, świadków Jehowy, nawet buddystę i mahometanina. Wszelkie problemy zatraćające o religię, musiał więc omawiać w duchu ekumenicznym, to znaczy, że każdy może modlić się po swojemu lecz powinien uszanować wyznanie drugiego. W obliczu Boga nie ma religii lepszej lub gorszej, jak nie narodu wybranego i narodów podrzędniejszych. Również ateści zasługują na szacunek, bo każdy ma wolną wolę, wierzyć lub nie, narzucanie jakiegokolwiek doktryny jest ograniczaniem wolności osobistej. Będę ich uczył tolerancji - postanowił - może coś z mojej gadaniny zostanie w tych piętnastoletnich mózgownicach...

- Moi drodzy - powiedział do uczniów - szkoła ma was przyzwyczajać do samodzielnego myślenia. Sprawiedliwa ocena ludzkich postaw i faktów bywa trudna, lecz musicie próbować tej sztuki. Dlatego, zamiast omawiać czwarte nawiedzenie kraju przez Starszego Pana z Watykanu, czego domaga się program - popelnicie dziś wypracowanie.

Napisał kredą na tablicy: „Diabeł ubrał ornat i ogonem na mszę dzwoni”. „Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą”. „Pali diabłu świeczkę, a Bogu ogarek”.

- Oto trzy staropolskie przysłowia. Temat brzmi: Jakich postaw, jakich cech charakteru one dotyczą? Możecie podać przykłady z życia. Proszę teraz wyłożyć zeszyty i do roboty!

Zamyślił się. Do szkoły dotarły nowe podręczniki i rozbawiły nauczycieli. Autorzy, nawiedzeni duchem kombatancko-apostolskim, liczyli widocznie na totalną amnezję społeczeństwa. Historia współczesna zaczynała się od skoku Lecha Wałęsy przez płot Stoczni Gdańskiej, a w całym powojennym 45-leciu nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Nie odbudowano miast, nie zasiedlono Ziemi Zachodnich, ludzie nie wprowadzali się do nowych mieszkań, a dla dwóch pokoleń nie stworzono żadnych miejsc pracy. Nędza, smród i ubóstwo oraz komunistyczne zniewolenie. I oczywiście prześladowania Kościoła, który musiał działać w podziemiu. Jaki cud sprawił, że wyrosło wówczas półtora tysiąca nowych świątyń, tego podręcznikowi specje nie starali się wyjaśnić.

Indoktrynacja wdarła się nawet do matematyki. Wyruszyły trzy pielgrzymki do Częstochowy: z Warszawy grupa twórców podążyła na kolanach, z Krakowa zespół neofitów na rowerach, z Gdańska wycieczka księży w mercedesach. Oblicz, kiedy pątnicy musieli wyruszyć, by dotrzeć równocześnie na odnowienie ślubów jasnogórskich przez Prezydenta Rzeczypospolitej. Młodszy uczniowie zadania mają łatwiejsze: W Polsce 99,999 procent ludności to katolicy. Ilu mamy innowierców i niedowiarków, jeśli wiadomo, że na jeden

procent ludności przypada czterysta tysięcy osób.

Z literatury polskiej nie zostały nawet strzępy. Wyrzucono wszystkich pisarzy niekatolickich i wolnomyślicieli, epoki Odrodzenia i Oświecenia przestały istnieć. Dziurę zapchano Pismem Świętym, życiorysami Ojców Kościoła i kolekcją encyklik papieskich. Z autorów współczesnych ocalili Gombrowicz, Lem, Mrozek i Miłosz. Już po wydrukowaniu podręcznika noblista Miłosz wypowiedział się niebacznie przeciw ustawie antyaborcyjnej; za jednym zamachem przestał być autorytetem moralnym i wybitnym pisarzem, a stado dotychczasowych jego chwalców prześcigało się w pomniejszaniu wielkości swego idola. Przewrotny wydawca zdążył nakleić przy jego nazwisku karteluszek z donosem: Ministerstwo Edukacji zobowiązuje nauczycieli do nieomawiania kontrowersyjnych poglądów tego autora. Poezję reprezentowały teksty z Festiwalu Piosenki Prawdziwej, których patriotyzm objawiał się częstochowskimi rymami oraz kilkanaście wierszy znanych ongiś poetów, obecnie nawróconych na wiarę prawdziwą. Odmieniali przez wszystkie przypadki Pana Boga i z gorliwością średniowiecznych biczowników kajali się za grzechy, popełnione w swym poprzednim komuchowatym wcieleniu.

Podczas przerwy przejrzał zeszyty. Uczniowie pisali o obłudzie, zakłamaniu, dwulicowości, konkretów jednakże brakowało. Poza jednym wyjątkiem - Krystyna Rak dość złośliwie scharakteryzowała działacza Bukowskiego i dyrektora Kajdy-ra, dołożyła też proboszczowi. Pomyślał, że dziewczyna powtarza poglądy ojca; wypracowanie było napisane ze swadą i postawił piątkę. Odszukał autorkę.

- Krysiu, mogłabyś nauczyć się wiersza? Parę zwrotek łatwe.

- Na lekcję?

- Nie. Wyrecytujesz podczas uroczystości szkolnej. Odślonięcie obrazu i nadanie nowego patrona. Za tydzień.

- W ciemno nic nie obiecuję.

- Racja. Oto wybór poezji Jana Kasprowicza, wiersz zaznaczyłem na stronie 233.

Przeczytaj, jutro dasz mi odpowiedź

Nazajutrz Krysia zwróciła książkę.

- Ładne. Już się nauczyłam. Powiedzieć?

- Proszę.

Wyglądała na dwanaście lat - szczuplutka, okulary, warkoczyki, dołki w policzkach - lecz spojrzenie miała dorosłe osoby i recytowała wspaniale.

- Ależ świetna dykcja! - pochwalił.

- Bo tekst mi odpowiada. Będzie rozróżba?

- Czemu ma być rozróżba?
- Niektórzy wezmą słowa poety do siebie.
- Mam nadzieję! - roześmiał się, a Rakówna zawtórowała sopranikiem.

Uroczystość nadania szkole imienia księdza Skorupki otrzymała wspaniałą oprawę. Przybyli przedstawiciele władz wojewódzkich z biskupem na czele, delegacje partii politycznych i związków zawodowych oraz wszystkie osoby, reprezentujące demokratyczne organa w Trzydębach. Zjawił się poczet sztandarowy kombatantów, witany gorącymi oklaskami. Chorągiew

dźwigała z wysiłkiem babcia Pikulak, w jej to bowiem publicznym szalecie mieścił się podczas ponurej nocy stanu wojennego punkt kontaktowy konspiracyj.

Aplauz towarzyszył również pojawieniu się działacza Bukowskiego. Podtrzymywany przez dwóch współkombatantów kroczył wolno, cierpienie wykrzywiło mu rysy, lecz głowę niósł dumnie, świadom swego znaczenia. W okolicy lewego uda, na ramieniu i między żebrami miał wycięte w odzieży okrągłe otwory, przesłonięte przezrzystą folią, przez które widać było siniaki, uczynione ongiś pałką kaprała. Przed każdym publicznym wystąpieniem odświeżał je fioletową pomadką do warg, aby jego poświęcenie dla sprawy objawiło się w pełnej krasie.

Dzieło Artysty zajmowało całą ścianę holu; okrywały je trzy prześcieradła, obciążone szarfami w barwach papieskich lub narodowych. Biskup, mężczyzna krzepki, o pełnym obliczu, energicznych ruchach, złapał szarfę watykańską w prawicę a polską w lewicę i targnął stanowczo. Spod środkowego prześcieradła wyłonił się diabeł przy kulomocie, a gromkie „och!” wyrwało się z piersi widzów. Burmistrzowi Maciarukowi przypadło prawe skrzydło; wahał się chwilę nie wiedząc, szarpnąć-li za biało-żółtą najpierw czy raczej za biało-czerwoną? Gdy męska decyzja w nim dojrzała, zebrał obie szarfy w dłoni i na tychmiast wykonał gest oczekiwany. Ukazał się bohaterski ksiądz Skorupka, mierzący krzyżem w bestię na taczance; powitano go szmerem podziwu. Teraz do lewego skrzydła przystąpił Bukowski. Chwiał się lekko i w żaden sposób nie mógł upolować szarfy, uciekała jak żywa. Podskoczyli adiutanci świadomi, iż męczennik podziemia zwykł rankiem łykać cośkolwiek dla kurażu, wskutek czego refleks miał przytępiony. Wcisnęli mu wstęgi do garści i oczom zebranych mogło się ukazać pole bitwy w pełnej grozie.

Zaraz też ksiądz Pyrko chciał ruszyć z kropidłem, lecz Artysta przytrzymał go za sutannę. Rozpromieniony jak dziewica; po akcie inicjacji, bo honorarium już otrzymał godziwe i bez podatku, szepnął kapłanowi do ucha:

- Diabełka oszczędź, proboszczuniu. Nie cierpi wody Święconej. Gotów z przerażenia

czmychnąć do piekieł i pozostanie biała plama na ojczytych dziejach...

Żachnął się ksiądz Pyrko na taką poufałość, świadom wszakże przykrego doświadczenia z sikawką, działał ostrożnie: Świcił raczej marginesy. Chór kościelny odśpiewał Gaude Mater Poloniae, po czym zebrani przeszli do auli, udekorowanej herbem papieskim i orłem koronowanym, by wysłuchać okolicznościowych przemówień.

- Ojczyzna nasza wróciła na Kościoła łono - zaczął jego ekscelencja ksiądz biskup - i ściele się jako ugór nie plewiony u stóp Matki Bożej. Przed nami dzieło zaiste tytaniczne! Musimy wspólnymi siłami, duchowieństwa i pedagogów, wykarczować chwasty ateizmu marksistowskiego, owej doktryny szatańskiej, narzuconej katolickiemu narodowi. Szkoła w Trzydębach, obierając dziś za patrona sługę Pańskiego, Skorupkę, otrzymuje godny wzór do naśladowania, wzór obywatela i duchowego przewodnika. Zasługa to tutejszego pasterza, księdza Pyrko, którego niniejszym podnosimy do godności kanonika, oraz bogobojnej pani dyrektor Czos-Pałubickiej, której w imieniu wojewody mam zaszczyt przekazać okolicznościową premię.

Wręczył kopertę Łysej Pale, ta zaś z właściwym respektem ucałowała dłoń hierarchy i wróciła na miejsce rozradowana. Chór zaintonował Te Deum laudamus, a następnie na mównicę wstąpił kanonik Pyrko.

- Jakże nie wspomnieć okrutnego czasu, gdy tutejsza społeczność pod wodzą nieodżałowanej pamięci księdza Maciąga rzuciła wyzwanie bezbożnej władzy, zawieszając krzyże w klasach? Dziś walka naówczas zapoczątkowana święci triumf! Ojczyzna nasza wyzwolona wlatuje ku tronowi Najwyższego, a kapłani mogą pełnym głosem wieścić dobrą nowinę...

W tym duchu rozwodził się pół godziny, obdarzając ojczyznę różnymi a zawsze wzniosłymi przymiotnikami. Zakończył litanią nazwisk zasłużonych bojowników o wiarę i wolność, z Maciarukiern, Kajdyrem, Bukowskim i babcią Pikulak na czele. Burmistrz poczuł się zobligowany do odczytania z kartki manifestu.

- Niech mi będzie wolno złożyć na ręce czcigodnego księdza biskupa uroczyste ślubowanie. My, demokratyczna władza demokratycznej ojczyzny, demokratycznie powołana i rządząca w interesie demokracji, świadomi naszych rzymsko-katolickich patriotycznych korzeni, przyrzekamy walczyć do ostatniego tchu z przeżytkami komunizmu i jego podstępnyimi orędownikami. Oddając ojczyznę w niewolę Najświętszej Pannie Marii, a rząd dusz powierzając episkopatowi, wypełniać będziemy niezłomnie nauki Kościoła ku większej chwale Pana naszego i umocnieniu ojczyzny...

Dalej była mowa o zagrożeniach, wrogach i walce z siłami zła, zaostarzającej się w

miarę postępu demokracji. Piotr Śliwa z trudem utrzymywał powagę słysząc, jak Maciaruk cytuje na przemian myśli Jana Pawła II i Josipa Wisarionowiczaj chwali kapitalizm lecz pomstuje na bezrobocie, gromi socjalizm ale chce chronić ubożające społeczeństwo. Mętlik pojęciowy legł u podstaw poglądów rodzącej się elity. Nowomowę partyjną zastąpiła wprawdzie kościelna, lecz konstrukcja wywodów pozostała bez zmian.

Zaczął w myślach odtwarzać kalkę burmistrza. „My, ludowa władza socjalistycznej ojczyzny, powołana przez lud i rządząca w interesie ludu, świadomi naszych proletariackich patriotycznych korzeni, przyrzekamy walczyć do ostatniego tchu z przeżytkami kapitalizmu i jego podstępnyimi orędownikami. Oddając ojczyznę pod opiekę wielkiego Związku Radzieckiego, a rząd powierzając Komitetowi Centralnemu, wypełniać będziemy niezłomnie nauki marksizmu-leninizmu ku większej chwale wodza międzynarodowego proletariatu, Józefa Stalina”. I tak dalej.

Pani dyrektor zapowiedziała część artystyczną imprezy. Po odtańczeniu krakowiaka i wykonaniu wiązanki pieśni ludowych przez szkolne zespoły, wystąpiła Krysia Rak. Biała bluzeczka, czarna spódniczka, na warkoczykach czerwone kokardy. Dygnęła wdzięcznie: Jan Kasprowicz, utwór z „Księgi ubogich”.

Rzadko na moich wargach - niech dziś to warga ma wyzna
Jawi się krwią przepojony, najdroższy wyraz: Ojczyzna.
Widziałem, jak się na rynkach gromadzą kupcykowie
Licytujący się wzajem, kto Ją najgłośniej wypowie.
Widziałem, jak między ludźmi ten się urządza najtaniej
Jak poklask zdobywa i rentę, kto krzyczy, iż żyje dla Niej
Widziałem, jak do Jej kolan - wstręt dotąd serce me czuje -
Z pokłonem się cisną i radą najpospolitsi szuje.

Krysia dyskretnie gestykulowała, akcentując ważniejsze frazy. Przy ostatnim zwrocie jednakże machnęła dłonią szeroko, jakby chciała słowami poety napiętnować każdego z prominentów, siedzących w pierwszym rzędzie.

Widziałem rozliczne tłumy z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej resztki sumienia głuszą
Sztandary i proporczyki, przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu, który w niewielu żyje.
Więc się nie dziwcie - ktoś choć milczkiem słuszość mi przyzna
Że na mych wargach tak rzadko jawi się wyraz: Ojczyzna.
Dygnęła i wśród oklasków zeszła ze sceny. W pierwszych rzędzie, demonstracyjnie,

bił brawo tylko Artysta. Powstawszy walił w dłonie aż huczało i pokrzykiwał:

- Brawo, panienko, brawissimo! Wspólnym odśpiewaniem My chcemy Boga i hymnu narodowego zakończyła się część artystyczna podniosłej uroczystości. Oficjalni goście wraz z pedagogami udali się do pokoju nauczycielskiego na skromny poczęstunek: ciasto domowego wypieku, lampka wina, pepsi. Biskup wymówił się pilnymi obowiązkami, a na odchodnym raczył zauważyć:

- Impreza zaiste wzruszająca. I podniosła. Szkodą tylko, że atmosferę zepsuła owa rymowanka, spłodzona piórem bezbożnika. Ubolewam...

- Kasprowicz w wieku dojrzałym nawrócił się - sprostował Piotr, gdy za dostojnikiem zamknęły się drzwi.

- Ale pan nam pasztet upichcił - rozindyczyła się dyrektorka - jego eminencja poczuł się dotknięty! Kim w ogóle jest

ten, pozał się Boże, poeta? Należy do naszych wolnościowych pisarzy czy do postkomunistycznego związku literatów?

- Nie musiał dokonywać wyboru, zmarł w roku 1926. Wielkopolanin, zaliczany do wybitnych poetów okresu międzywojennego. Był między innymi profesorem i rektorem Uniwersytetu Lwowskiego.

- Zwymyślał patriotów. Symbole narodowe zadrą w oku mu utkwiły. Nasze sztandary i procesje...

- Pan Śliwa nader uprosił życiorys swego ulubionego autora - rzekł sarkastycznie proboszcz. - Był Kasprowicz socjalistą i niedowiarkiem, to fakt. Gdy w roku 1914 władze austriackie uwięziły Lenina w Nowym Targu, interweniował na rzecz jego zwolnienia. Niestety skutecznie, przyczyniając się w ten sposób do rozpętania ruchawki bolszewickiej.

- Na pewno Żyd - zawyrokował Bukowski - Icek Kasp-rower. Przechrzcił się i spolszczył nazwisko.

- Niemiec - orzekł Kajdyr - przypuszczam, że pisał się Johann von Kasprowitsch.

- Ani to, ani tamto - rozstrzygnął Maciaruk. - Rusek. Wania Kasprów. Tylko Ruska mogło drażnić umiłowanie ojczyzny, tak charakterystyczne dla Polaków. Zaangażować się w obronę wroga ludzkości, Lenina, czy może być wymowniejszy dowód degrengolady moralnej?

Mijała właśnie 65 rocznica śmierci Jana Kasprowicza a nieszczęśnik w Trzydębach został jednoznacznie sklasyfikowany jako element narodowo obcy, ideologicznie wsteczny, moralnie odrażający. Sztuki tej dokonano bez znajomości twórczości skryby, która przecież mieści się w kilku pękatach tomiskach. Polonista Piotr otrzymał służbową naganę z

wpisaniem do akt „za lekkomyślny dobór literatury, nie posiadającej aprobaty władz duchownych”. Opinii Artysty nie uwzględniono; wyprowadzony z równowagi malarz skomentował sprawę z właściwą mu nonszalacją:

- A mnie głównie obchodzi, jak mać go rodziła i w której parafii go chrzczono. Albo jest utalentowanym poetą (co zostało zademonstrowane), albo grafomanem. Wszelkie inne kryteria są wzięte z sufitu i niniejszym je unieważniam!

Co rzekłszy nałożył beret i pelerynę, ostentacyjnie osierocając ciasto domowego wypieku i lampkę wina, zresztą podłego gatunku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mnich łowi ryby i rehabilituje poetę. To nie hold pruski ani ruski. Zbrodnicze knowania satanistów. Belfer Piotr nicuje doktrynę. Ilu jest diabłów?

Piotr opuścił szkołę bardziej rozbawiony niż zmartwiony. Zatrzymał ciężarówkę jadącą w stronę jeziora, kierowca chętnie go podwiózł. Gadał bez przerwy. - Panie, co się stało z naszą telewizją? Wraca człowiek zmęczony do domu, dwanaście godzin za kółkiem, chciałby się trochę rozerwać, a tu msza leci godzinę, potem kazanie albo zbiorowe modły, to znów pielgrzymki ciurkiem pokazują, święte obrazy, kropienie czegoś tam, jasna cholera, czy Wałęsa już nas do nieba wmanewrował? Jak będę się chciał pomodlić, to w niedzielę pójdę do kościoła, nie muszą mi włączyć na chłama do mieszkania. Płacę słony abonament? Płacę. I za swoje pieniądze mam oglądać, jak głupie baby biskupa po łapach całują? Pomstowałem na komunę, ale teraz widzę, że nie wszystko było złe. Partyjniacy nie pchali się tak nachalnie na mały ekran, dobry film mogłeś obejrzeć i różne takie fiku-miku. Może w Warszawie dziennikarzy wyrzucili z roboty i teraz księża robią tę telewizję? Przyjdzie chyba człowiekowi kupić antenę satelitarną albo magnetowid...

Nad zaciszną zatoczką odnalazł ojca i Hiacynta. Rozebrani do kąpielówek, w słomkowych kapeluszach, gapili się na spła-wiki. Wędziska przywiązane do krzaków, żeby jakaś wielka sztuka nie porwała narzędzi ku głębinie.

- Biorą?

- Witaj, synu. Cuda się dzieją nad tym bajorem. Trzy godziny siedzę, mnie nawet płotka nie podeszła, a mniszysko już dwa szczupaki poderwało.

- Na błysk?

- Szczupak jak kapitalista, na każdy błysk skacze. Jeszcze jeden i, będzie zupa dla moich sierot.

Piotr opowiedział o szkolnej imprezie, dodając nieco jaskrawych barw. Stary zżymał się w miarę słuchania, pykał nerwowo fajkę, wreszcie zapragnął poznać napiętnowany utwór.

Zanim nauczyciel zdążył otworzyć usta, Hiacynt już recytował, a Śliwie humor wracał, kiwał głową że tak, właśnie tak, trafne, celne, ujmuje istotę rzeczy, bo blichtrzem i tromtadracją lakieruje się dziś pustkę ideową.

- Godzi się zauważyć - dodał mnich - że Kasprowicz napisał wiersz uniwersalny, trafiający w mizериę nadgorliwych wyznawców każdej ideologii. Wstawmy zamiast

„Ojczyzna” inny wyraz trzysylabowy, na przykład „Stworzyciel”; trzeba także zmienić parę zaimków z żeńskich na męskie, bo Ojczyzna matka, a Stwórca ojciec. Słyszymy teraz:

Widziałem, jak się na rynkach gromadzą kupczykowie

Licytujący się wzajem, kto Go najgłośniej wypowie.

Widziałem: do Jego kolan - wstręt dotąd me serce czuje

Z pokłonem się cisną i radą najpospolitsi szuje.

Sztandary i egzorcyzmy, święcenia i procesyje,

Oto jest treść Majestatu, który w niewielu żyje.

Ktoś milczkiem choć słusność mi przyzna, więc się nie zdziwicie

Że na mych wargach tak rzadko jawi się wyraz: Stworzyciel.

- Bez drobnej trawestacji się nie obeszło - zauważył Piotr - ale poeta by wybaczył. Musi się biedak w grobie przewracać: chowano go w Rzeczypospolitej, a leży w Klechistanie.

- Kasprowiczem interesowałem się już w nowicjacie - ciągnął franciszkanin, podcinając wędkę - napisał przepiękny Hymn świętego Franciszka z Asyżu i żartobliwą gawędę patrona naszego zakonu z zakrystianinem Palicą. W miarę poznawania twórczości zaczęła mnie intrygować jego ewolucja duchowa. Jest!

Zerwał się-na nogi, nawijając żyłkę; kołowrotek wirował jak silnikiem napędzany. Podciął jeszcze raz i wyrzucił na brzeg pokaźnego suma.

- To są kpiny ze zdrowego rozsądku! - pomstował stary. - Dwa szczupaki i sum na dodatek. Jak on to robi?

- Modli się - odrzekł Piotr. - Franciszkanie byli założycielami ruchu ekologicznego, przyroda im sprzyja.

- Przepraszam, zgubiłem wątek - wrócił do tematu Hiacynt, gdy uporał się z umieszczeniem zdobyczy w torbie. - Na czym skończyłem?

- Ewolucja duchowa Kasprowicza.

- Właśnie. Cykl hymnów Ginącemu światu to bogoburczy protest przeciw doktrynie moralnej i religijnej chrześcijaństwa, które są w swej bezwzględności, zdaniem poety, nieludzkie. Człowiek jest istotą grzeszną, ponieważ podlega prawom natury stworzonej przez Boga; odpowiedzialność za grzech spada więc na Stwórcę, nie na stworzenie. W takim ujęciu Sąd Ostateczny staje się triumfem zła, które stworzył Bóg, a nie wymierzaniem sprawiedliwości, jak wmawiają wiernym kościelni dogmatycy. Zasadnicze pytanie wczesnych utworów Kasprowicza brzmi: kim jest naprawdę Stwórca świata - Bogiem czy szatanem? Jeśli jest Bogiem, to musiałby współczuć niedoli człowieka i spieszyć mu z pomocą. Jeśli natomiast upaja się własną potęgą, traktując ludzi jak niewolników zobowiązanych do

bezwzględnego posłuszeństwa, a ziemię oddaje na pastwę wrogim istocie ludzkiej potęgom, szatanowi i śmierci - to swą modlitwę o zmiłowanie i pomoc winniśmy kierować do szatana, nie zaś do Boga.

- Czysta gnostyczna herezja - stwierdził Piotr z udanym oburzeniem.

- Z punktu widzenia doktryny, oczywiście. Jednakże pytanie jest uprawnione, wielu myślicieli zadawało je w przeszłości, nasz poeta nie wymyślił prochu. Otóż po wielu latach duchowej szamotaniny powstaje Księga ubogich, akord nawrócenia i pojednania ze Stwórcą. Między tymi skrajnościami mieszczą się utwory, próbujące odnaleźć moralny sens w chrześcijaństwie: zbawienie przez miłość, odkupienie przez cierpienie. Kasprowiczo droga przez intelektualną mękę budzi mój podziw. Jakże nikczemni w zestawieniu z jego postacią wydają mi się osobnicy, którzy dziś dla kariery politycznej leżą krzyżem przed ołtarzem lub stołki urzędowe usiłują sobie wywrzeszczyć rozgłośnym „Hosanna”. Pustkę mają w sercu, wodę we łbie, a cynizm na języku.

- Nie jestem aż takim entuzjastą poezji Kasprowicza. Razi mnie młodopolskie gadulstwo, kwiecisty styl, nadużywanie metafor. Jeśli mam być szczery, najbardziej cenię jego erotyki, bo uwielbiał piękno i swobodę miłości cielesnej, a wymyślony przez Kościół ascetyzm traktował jako przejaw obłędu, wywołanego przez sprzeczny z naturą celibat kleru.

- Zazdroszczę ci młodości, Piotrze, jeszcze nie wpadłeś w pułapkę transcendentalnych rozważań.

- Ja również nie wpadłem w pułapkę waszych mądrości - powiedział Śliwa nieco urażony. - Świat realny jest poznawalny. Włączam telewizor i co widzę? Władca mocarstwa duchowego, Ojciec Święty, opuszcza nawiedzoną ojczyznę i żegnają go obecne demokratyczne ponoć władze niepodległej podobno ni Rzeczypospolitej. Całują samodzierną w świętą dłoń, przyklękawszy pokornie: prezydent, premier, ministrowie, senatorzy, posłowie i parę tuzinów innych bubków. Patrzą i oczom nie wierzą - to nie hołd pruski ani ruski tylko watykański. Taką czołobitnością nie zgrzeszyli nawet targowiczanie wobec carycy Katarzyny. Jeśli teraz ktoś będzie mi pieprzył o odzyskanej wolności to przysięgam, strzelę mu w mordę!

- Niepotrzebnie się denerwujesz, Hieronimie. Triumfalizm zawsze sprowadzał klęski, co stwierdzam ze smutkiem, pełen obaw o przyszłość wiary katolickiej. Gdy Kościół opanował Rzym, imperium się zawaliło pod naporem obcych ludów a wschód bizantyński zrzucił władzę papieską. Gdy zaczął lekceważyć wiernych w odległych krajach, oderwała się od Watykanu Anglia. Gdy palił na stosach nieprawomyślnych i nawracał Indian, odbierając im życie - pojawili się Luter i Kalwin. Bóg znajdzie sposób, by książąt Kościoła nauczyć

pokory.

- Ruszamy do domu - Śliwa wymigał się od komentarza - nie będę dłużej ryb naganiać na mnisią wędę. A polityka już mi gardłem wylazi.

Minęło kilka dni. Gdy rano Piotr wszedł do pokoju nauczycielskiego, zastał nastrój jak w grobowcu. Ciało pedagogiczne obojga płci prezentowało miny ponure, dyrektorka pochlipywała, komendant policji wycierał krwawą chustką pot z czoła, a katecheta, proboszcz i kanonik w jednej osobie perorował:

- Taka hańba! Cmentarz zbezczeszczonego, krzyże powywracane, na krucyfiksie wisi zdechły kot. Sataniści w Trzy-dębach! Zaraza wylęła się tutaj, w szkole!

- Niestety - potwierdził policjant - poszlaki wskazują, że młodzież była tam czynna.

- Mój Boże, co za wstyd - pociągała nosem Łysa Pała - dowie się pan kurator albo sam ksiądz biskup... Do więzienia, nie oszczędzać potworów!

- Chwileczkę, drodzy państwo - odezwał się Piotr - rozpatrzmy sprawę spokojnie i po kolei. Emocje nie pomogą.

Założmy, iż rzeczywiście nasza młodzież zawiniła, a pan komendant ma przeprowadzić śledztwo. Należałoby przesłuchać około setki uczniów z siódmych i ósmych klas, ich kolegów, rodziców...

- Wykluczone! - zaprotestował komendant. - Nie mogę całej obsady posterunku wplątywać w aferę na przeciąg co najmniej kilku tygodni. Liczę na nauczycieli.

- Dobrze, szkoła deklaruje pomoc. Jednakże wpiery musimy odpowiedzieć sobie, czy rzeczywiście, jak to zostało pochopnie sformułowane, zaraza wylęła się u nas? Podążmy śladem rozumowania młodych ludzi. W kościele wciąż straszy się diabłem, na lekcjach religii słyszą opisy mąk piekielnych, płoty oblepione wizerunkami szatana, nawet w szkole spokoju nie znajdują, bo czart pruje z kulomiotu. Tak oto hodujemy w ich psychice przekonanie o diabelskiej potędze. Bóg nie potrafi Złego okiełznać, tym bardziej Kościół, choć wojuje z nim już dwa tysiąclecia. Co ważniejsze, jest szatan - w młodych oczach - ofiarą bezustannych prześladowań ze strony Najwyższego i jego ziemskiego personelu. Za co? Że zbuntował się przeciw dyktaturze, przeciw kultowi jednostki? Nasze środki przekazu takich rebeliantów stawiają dziś na piedestale!

- Protestuję przeciw pokrętnym wywodom!

- Zamiast protestować, księżę proboszczu, należałoby wpiery przemyśleć własne błędy: wychowawcze, propagandowe, etyczne. Myśmy wszyscy stworzyli ruch satanistów, szanowna pani dyrektor. Wielbią diabła ze współczucia, bo prześladowany. Z podziwu, bo potężny, Boga się nie uląkł, stawia dzielnie opór. Z przekory wreszcie, bo ileż można strawić

bogobojnego słowolejstwa i modlitewnych westchnień, zalewających kraj niby monsun wybrzeża Bangladeszu? Szatan staje się odtrutką na natarczywość ewangelizacji.

- Czyżby? Wrogość wobec religii jest dziedzictwem socjalizmu, panie Śliwa. Stamtąd czerpią wyznawcy szatana swoją nienawiść do Boga. Naciągana jest ta pańska psychologia, maskuje niechęć wobec Kościoła.

- Kto między bezkrytycznym uwielbieniem a wrogością nie widzi całej gamy pośrednich odcieni, powinien zamknąć się w pustelni, liczyć gwiazdy i żywić się korzonkami, a nie manipulować dziecięcym charakterem.

- Panie kolego... księżę proboszczu... ludzie, zlitujcie się! - dyrektorce znów zbierało się na płacz. - Kłótnia prowadzi do nikąd. Jaka rada?

- Wyszukam tych satanistów i spróbuję im przemówić do rozumu - zdecydował Piotr.
- Wezmę moją klasę na cmentarz, uporządkujemy groby. Ksiądz Pyrko, jeśli wolno sugerować, wygłosi kazanie o szacunku dla ludzkich szczątków. A policja przestanie się interesować incydentem. Zgoda?

Wszyscy spojrzeli na proboszcza. Pokręcił głową, nie bardzo przekonany do recepty, innej jednak sam nie potrafił zaproponować.

- No to życzymy powodzenia panu Śliwie - powiedział cierpko i wszyscy z ulgą rozeszli się do klas.

Podczas przerwy, dyżurując na dziedzińcu, zauważył Piotr znak szatański: mały palec i wskazujący mierzą w niebo na podobieństwo rogów, pozostałe palce skurczone. Diabelskim symbolem pozdrowiało się trzech chłopców z ósmej B; jednego rozpoznał - Antek, syn ogrodnika Świdarskiego. Podszedł ich znienacka.

- Cześć, Antek. Możesz przedstawić kolegów?

- Mogę. Ten to Maciek Kajdyr, a ten Romek, ksywa Sierżant, bo jego ojciec jest komendantem posterunku.

- Chłopaki, mam do was ważną sprawę. Przyjdźcie po lekcjach do gabinetu języka polskiego, dobrze?

- Czemu nie, możemy przyjść.

Przyszli. Usadził ich w ławce, a sam siadł okrakiem na krześle, z rękoma wspartymi na poręczy. Wysilił się na ton obojętny, jakby gawędził o błahym filmie, który trzeba wprawdzie omówić, ale do którego nie warto przywiązywać większej wagi.

- Narozrabialiście na cmentarzu, widziano was.

- Różni z miasta też byli - wyrwało się Antkowi.

- Nie zwalaj na innych. Tylko wy mnie obchodzicie. Nie prowadzę śledztwa, żadna

kara wam nie grozi, możecie zaspokoić moją ciekawość. Czarną mszę odprawiono?

- Tak. Maciek jest naszym kapłanem.

- Odmawiasz modlitwy, Kajdyr?

- Dopiero dwa razy...

- Tekst musi być interesujący. Przytocz fragmencik.

- No, zaczyna się...

- Chyba pamiętasz?

- Chwała Lucyferowi a na ziemi pokój jego wiernym sługom. Sławimy cię, Królu Piekieł, boś niezwyknięty. Dzięki ci składamy, Książę Wszechmocny, że gnębisz wrogów naszych. Słuchamy cię pokornie, Panie Zemsty, albowiem ty zgotujesz klęskę fałszywym prorokom i ich wyznawcom. Który siedzisz na tronie wszechświata wysłuchaj naszych modlitw, podnieś nas z nędzy i upokorzenia. Pobłogosław naszym czynom, oddal od uszu naszych zakłamanie papistów. Łączymy się w jedności ze wszystkimi duchami piekieł w hołdzie dla Ciebie - o Najwyższy, o Przenajświętszy, Władco Ciemności, w których jest prawda. Ave Lucyfer!

- Zarznięliście kota.

- Przecież czarna msza wymaga ofiary krwawej - powiedział Romek Sierżant, zdziwiony niewiedzą nauczyciela.

- I ty ją spełniłeś?

- Ktoś musiał to zrobić.

- A dewastacja grobów czemu miała służyć?

- Nie było żadnej dewastacji - zaprotestował Antek - myśmy tylko odwracali krzyże, ramionami ku dołowi. Niektóre zrobiono z kiepskiego materiału, rozpadły się.

- Nosicie jakieś sataniczne znaki? Pewno też odwrócone krzyże?

- Różnie. Albo krzyże, albo medaliony z kozłem, albo liczbę 666. Co kto woli. Pan nas nie wyda prokuratorowi?

- Obiecałem i słowa dotrzymam. Teraz, proszę, posłuchajcie mnie. Protestujecie przeciw religii, rozumiem, zewsząd wciskają wam kit, to budzi opór, nie chcecie dołączyć do stada bogobojnych baranów. Dobrze. Zastanówmy się więc nad istotą waszego protestu. Zamiast religii katolickiej - szatańska. Zamiast modłów do Boga - modły do Króla Piekieł. Zamiast mszy kościelnej - czarna. Uciekacie przed niewolą boską by stać się więźniami niewoli diabelskiej. Jedne dogmaty zastępujecie innymi. Porzucacie Kościół chrześcijański dla Światowego Kościoła Szatana, który powstał w roku 1966 i wymaga takiego samego posłuszeństwa wobec hierarchów, jak Watykan. Odrzucacie Biblię bo sławi Boga, lecz

gotowi jesteście uznać Czarną Biblię, głoszącą boskość szatana. Cóż się zmieniło? Nic!

Piotr stwierdził z zadowoleniem, że jego słowa wywarły na chłopcach wrażenie. Zawstydzili się jakby. Antek Świdorski wiercił się niespokojnie w ławce by wreszcie zauważyć:

- W coś przecież trzeba wierzyć.

- W ludzki rozum. I bez religii możecie szanować bliźnich i nie krzywdzić innych. Czy wam do szczęścia potrzebna cała ta humorystyczna mitologia z niebem i piekłem? Zasady moralne tkwią w nas, ujawnia je doświadczenie życiowe każdemu, kto nie jest egoistą i cynikiem. Filarem naszego bytu nie bywa ślepa wiara, lecz rozsądek. Pomyślcie nad tym.

Wracając do domu Piotr wstąpił do biblioteki i wypożyczył kilka rozpraw o religii katolickiej. Ojciec oglądał w telewizji western, w którym trup słał się gęsto, a bohaterowie marnowali amunicję - on zaś zagłębił się w lekturze. Domyślał się jakiejś niespójności w nauce Kościoła. I w końcu znalazł pęknięcie. Ha - stwierdził z satysfakcją - święci teoretycy nie zdołali uporać się z problemem piekła.

Rzeczywiście. W doktrynie chrześcijańskiej występują dwie teorie piekielne. Pierwsza głosi, że szatani to stworzeni przez Boga aniołowie, którzy zbuntowali się przeciw Panu i za karę strąceni zostali do piekieł, skąd rozsiewają zło na świat i ludzi. Jeśli tak, Bóg nie jest wszechwiedzący, bo nie przewidział buntu, ani wszechmocny, bo zmuszony jest tolerować konkurencję, dzielić się władzą nad ludźmi z buntownikami. Według drugiej teorii szatan i jego zastępy istniały i istnieją nadal niezależnie od Stwórcy i one to sprawują wbrew niemu władzę nad światem materialnym. Jeśli tak, Bognie jest bogiem jedynym, jego kompetencje są ograniczone, okazuje się wplątany w rywalizację z innym potężnym bytem samoistnym i w trosce o własne panowanie nakazuje wiernym: „Nie będziesz miał innych bogów przede mną”.

Gdyby Piotr podzielał pasję porównawczą świętej pamięci Ateusza, dostrzegłby bez trudu źródło tej dwoistości, mianowicie w dziedzictwie przedchrześcijańskich kultur, zwłaszcza staroperskiego mazdaizmu, gdzie dwa potężne bóstwa walcą stale ze sobą: dobry Ahura-Mazda i zły Aryman. Nauczyciel nie tropił jednak wtórności doktryny chrześcijańskiej, jej rozlicznych zapożyczeń z dawniejszych religii, lecz postawił sobie pytanie, który z tych mocarzy pozaziemskich jest istotą dobrą a który uosobieniem zła. Jeśli toczy się bezpardonowa walka to obie strony stosują perfidne podstępny i kamuflaż, usiłują pozyskać sobie zwolenników przy pomocy naciąganej argumentacji, a ogłuszonym zgiefkiem bitewnym Ziemianom miesza się już we łbach.

Po czynach poznacie ich, mówi Pismo. Biorąc pod uwagę morze przelanej krwi, rzezie

innowierców, dziesiątki tysięcy spalonych na stosach, okrutne wojny prowadzone w imię boże - to żydowsko-chrześcijański Jahwe, bezwzględny staro-testamentowy Jahwe, władający światem materialnym i usiłujący zawładnąć każdą duszą - jest Arymanem, szatanem, księciem ciemności. Człowiek poszukuje sprawiedliwego Boga, miłosiernego Stwórcę, uosobienie dobroci - a trafia w sieć manipulacji kapłanów Jahwe.

Doszedłszy do tak zaskakującego wniosku, Piotr uświadomił sobie nagle, że podąża tropem rozumowania średniowiecznych gnostyków: katarów, bogomilców, albigensów, uznanych przez Rzym za heretyków i wytępionych mieczem do ostatniego. Oto dokąd prowadzą spekulacje myślowe! Dlatego przezorny Kościół nakazuje wiernym modlić się gorliwie, pracować w pocie czoła i wierzyć tylko w prawdy przez Watykan uznane. Kto angażuje szare komórki do oddzielania ziarna od plew, zagraża niewzruszonej doktrynie, obwarowanej zakazami i nakazami niby oblężona twierdza.

- Wiesz - powiedział do ojca - doszedłem do wniosku, że jestem potencjalnym zagrożeniem dla prawomyślnych katolików.

- Też odkrycie! - parsknął Śliwa - twój ojciec został pasowany na wroga własnej partii i nowego porządku równocześnie. Pójdziemy na przemiał.

- Ale z podniesionym czołem.

- I to jest, synku, najważniejsze. Wierność własnym poglądom i obrona przed praniem mózgów, jakie doktrynerzy wszelkiej maści urządzają dziś narodowi.

Nabił fajkę i zaczął to swoje pykanie; kłęby aromatycznego dymu wypełniły pokój. Nagle roześmiał się.

- Wyobrażasz sobie, jakie psy wieszano by dziś na komuchach, gdyby w przeszłości werbowali zwolenników tak jak księża?

- To znaczy?

- W kołysce. Każdemu niemowlakowi, po wyrecytowaniu odpowiedniej formułki, sekretarz komitetu wręczał by uroczyste legitymację partyjną.

- Bzdura!

- Pewnie. Taka sama, jak taśmowa produkcja katolików z nieświadomych osesków. Dlatego wychowaliśmy ciebie nie absorbując parafii. Chyba nie masz o to pretensji?

- Skądże. Już w liceum odkryłem zaskakujący fakt: nie ma żadnego naukowego dowodu że Bóg istnieje, ani że nie istnieje. Oba poglądy są więc równoprawne, a narzucanie któregośkolwiek jest uzurpacją. Wybór należy do człowieka psychicznie dojrzałego.

- Słusznie. I ten wybór należy uszanować, ja tak pojmuję tolerancję. Jestem, jak widzisz, naiwnym komuchem. Ale przyznaję, że natrętna klerykalizacja mnie denerwuje.

- Tato, spójrz na problem z dystansu. Twoja partia chciała kontrolować każdą dziedzinę życia i wreszcie to wścibstwo przejadło się społeczeństwu, z wiadomym skutkiem. Kościół radośnie podąża tą samą drogą, a skutek będzie identyczny: imponujące rozmnożenie niedowiarków i buntowników. Czym się przejmować?

- Może masz rację. Oby.

Piotr gwoli rozweselenia zaczął przytaczać wywody uczonych satanologów z różnych epok. Usiłowali oni policzyć diabelską populację, a ich szacunki różniły się krańcowo: od piętnastu miliardów do dziesięciu tysięcy bilionów; tym minimalistą okazał się Polak, ksiądz Jan Bohomolec w XVIII wieku. Co sprytniejsi ograniczali się do ogólnikowego stwierdzenia, że czartów mnogość, jak ziaren morskiego piasku. Zdarzali się też obsesjonaci konkretni, zazwyczaj kabaliści - sprecyzowali oni, że na każdego człowieka przypada jednaście tysięcy diabłów, uszeregowanych nieproporcjonalnie, bo tysiąc z prawej strony nabożnej duszyczki, a dziesięć tysięcy z lewej.

- To potwierdza obecną tezę kaznodziejów, że moce piekielne trzymają się lewicy - powiedział kpiąco stary - co źle wróży naszej socjaldemokracji. Ksiądz Pyrko powinien doradzić parafianom, żeby dla odczyniania uroków spluwali przez lewe ramię, wtedy szansę trafienia sługi Lucyfera są znacznie większe.

- Kościół musi bezzwłocznie zaktualizować wnioski satanologów. Przecież społeczność diabelska rośnie, piekła grozi wyż demograficzny, bo niedowiarków i heretyków przybywa w zastraszającym tempie. Jak można walczyć z wrogiem nie znając jego liczebności? Episkopat dla zbadania sprawy na miejscu mógłby delegować ekspertów, na przykład księży Jankowskiego i Tischnera, wzmocnionych błyskotliwym intelektem profesora Stelmachowskiego. Byłby to wymierny polski wkład w umocnienie Królestwa Bożego.

- Widzisz, co nam pozostało: wisielczy humor. I całe szczęście, bo musiałbym wyć na rozstajach jak zbłąkana sobaka, taki mnie czasem ponury nastrój chwyta za gardło. Odkąd odeszła Maleńka...

- Myślisz, że mnie jest lekko?

- Młodyś, wytrzymasz. Dobranoc, synku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Powrót rozpustnej Pelagii. Dekolt przed ołtarzem. Grzeszna prezerwatywa. Hierarcha nawiedza Trzydębę. Demonstracja wściekłych bab. Majtki jak dynamit.

Pelagia powróciła z Włoch w rodzinne strony. Wynajęła pokój z kuchnią, płacąc za rok z góry twardą walutą. Zmieniła się - makijaż mniej jaskrawy, stroje szykowne lecz nie wyzywające, mężczyźni nie zaczepiała, natomiast zabrała się gorliwie do odnawiania babskich znajomości. Wkrótce zgromadziła wokół siebie wcale liczne grono niewiast wyzwolonych od przesądów obyczajowych. Założyły Towarzystwo Obrony Kobiet, a ona sama stanęła na jego czele. W inauguracyjnym przemówieniu oświadczyła, że kierowana solidarnością płci przybyła z patriotyczną misją, by wspomóc rodaczki w walce z obskurantyzmem klerykalnym, który załagał się nawet w sferach parlamentarno-rządowych i jest systematycznie podsycany przez zastraszoną prasę. Chce podzielić się doświadczeniami walki o świadome macierzyństwo, gdyż Włoszki, jak wiadomo, obaliły w referendum projekt ustawy przeciwborborycyjnej, co wywołało bezsilny gniew Watykanu i powszechną radość na całym Półwyspie Apenińskim. - Babki w Italii chytne, a pyskate, ho ho ho! - zakończyła. - Pomysłami sypały jak z rękawa, wiem, bo sama przed aktywnością się nie wzbraniałam i nawet parę laurek z podziękowaniem mam w dorobku. Sama Ciccioletta mnie pochwaliła!

Z żywej dyskusji wyłonił się program działań, związanych z zapowiedzianym nawiedzeniem Trzydębów przez arcybiskupa. Jednogłośnie zatwierdzono też bojowe zawołanie TOK-u: „Łapy precz od naszych majtek”. Bojowniczkę zabrały się gorliwie do dzieła a to szyjąc coś tam, malując to i owo, lub hasła komponując różnorakie. Spychane dotąd przez mężczyzn na margines nurtu odnowicielskiego, Odnalazły sens politycznego zaangażowania.

W niedzielę Pelagia poszła na sumę i siadła w pierwszej ławce przed ołtarzem. Gdy ksiądz kanonik zwrócił się ku wiernym i ujrzał swoją gwałcicielkę, oremus utknął mu w gardle i krew uderzyła do skroni. Opanował się z najwyższym wysiłkiem, choć palce mu drżały gdy przewracał kartki mszału. Ona uśmiechnęła się na widok jego zmieszania i podtrzymała je perfidnie do końca nabożeństwa. Ilekroć Pyrko musiał spojrzeć w głąb kościoła trafiał wzrokiem na rozpustnicę, ta zaś rozchyłała apaszkę ukazując głęboki dekolt, a jej wypieszczona dłoń słała dyskretnie całusy kapłanowi. Zaiste, męki piekielne przeżywał zacny duszpasterz sławiąc Pana, bowiem ucieleśniony w niewieście szatan mieszał jego

słowa, przywodząc na myśl wspomnienie rozpasanej golizny i szaleństwo lubieżności, której wówczas uległ. Ledwo dotarł do końca, by co prędzej posłać kościelnego po komendanta posterunku. Ten przybiegł natychmiast.

- Zawarliśmy umowę - wykrztusił żałośliwie kanonik - a ta flądra śmie się panoszyć! W mieście, w kościele, wszędzie!

- Pelagia? Trudna sprawa, proszę księdza. Gdy tylko doniesiono mi o jej przybyciu, wezwałem babę na komisariat i wziąłem na spytki. Wylegitymowała się zagranicznym paszportem. Ona ma włoskie obywatelstwo, niestety, była żoną makaroniarza.

- Usunąć. Wyrzucić. Wysiedlić!

- Prześladowanie obcokrajowca może spowodować konflikt dyplomatyczny. Dziennikarze wezmą nas na języki...

- Chryste, co robić?

- Przyzwyczaj się, proszę księdza. Prowadzi się teraz przyzwoicie, mężczyźni na noc nie sprowadza, awantur nie urządza. Brak zaczepienia. Może dopadł ją w Rzymie przełom moralny? Bliskość Watykanu...

- Da Bóg, wplączę się w jakąś aferę. Niech twoi ludzie mają ją na oku.

- Rozkazy wydane. Nie wykluczam, że podwinie się babie noga, wtedy będziemy mieć haka i niepożądany cudzoziemiec płci żeńskiej zostanie z kraju wydalony. Zgodnie z prawem międzynarodowym.

- Oby! Będę się modlił w tej intencji...

Przyznać trzeba, że Pelagia unikała skandalu - nie pojawiła się na plebani ani nie próbowała zagadywać proboszcza w miejscu publicznym. Czasem tylko, gdy los skrzyżował ich drogi, rzucała półgłosem w stronę sukienki duchownej: „Cześć, księżulku”. Za to pisała niestrudzenie listy o zuchwałej treści, przesycone pornografią. Na przykład:

Mój miły chędożniku - ilekroć widzę Ciebie, uosobienie męskości, które tak zuchwale i skutecznie wdarto się do mego łona, wspomniani z drzeniem Twoje okazałe instrumentarium, zaiste godne Herkulesa; muszę wtedy ścisnąć kolana, bo moją cipkę ogarnia żądza nieodparta i gotowa ulecieć ku Tobie, łamiąc wszelkie przeszkody. Wiem, że gdy czytasz te słowa z sutanny robi się namiot i chwalebne pragnienie rozpiera Ci biodra. Wiedz tedy, że Twój narząd poświęcony zostanie przyjęty namiętnie o każdej porze, jeśli tylko zechcesz go użyć zgodnie z przeznaczeniem...

Korespondencja wzmogła udrękę kapłana. Czytał każdego ranka na listonosza, by urągające skromności świstki nie wpadły w niepowołane ręce. Przed spalaniem jednak pochłaniał treść, a kierowała nim przezorność; spodziewał się znaleźć tam zapowiedź

podstępnych knowań, które mogłyby podważyć jego autorytet lub zgoła zgubić duszę. Tymczasem Pelagia coraz śmieiej wylewała swą chuć na papeterię, jej długopis kreślił erotyczne obrazy używając słów bezwstydných, zaczerpniętych z brukowej literatury. Boże miłosierny - modlił się żarliwie kanonik - zlituj się nad pokornym sługą, ześlij do piekieł Pelagię, by nie plątała ścieżek moich i chroń mnie przed czartem południowym...

Innego rodzaju męki dręczyły dyrektorkę szkoły. Władze oświatowe krocząc z duchem czasu poleciły, by wdrożyć młodzież do walki o życie poczęte a nienarodzone, wykazać ohydę środków antykoncepcyjnych oraz sprzeczność stosunku przerywanego z prawem boskim. Ponieważ uczyła biologii, na nią spadł brzemienny obowiązek tym cięższy, że nie wsparty ani podręcznikiem ani wskazówkami metodycznymi. Pełna improwizacja.

Próbie ogniomu musiała przejść w ósmej C. Piotr miał akurat lekcję wolną; wyszedł z budynku i siadł na ławce pod otwartym oknem klasy nie wiedząc, że usłyszy wywód Łysej Pały. Gdy rozległ się jej głos, nastawił uszu.

Najpierw rozwodziła się o zbrodniczym procederze przerywania ciąży, piętnując cynizm ginekologów i wyrodnych matek. Szczególnie ostro rozprawiła się z minionym reżimem, który wyniszczanie narodu zalegalizował w interesie własnym i światowego komunizmu. Wreszcie zaczęła pisać peany na cześć Kościoła, ponieważ otworzył przed polskimi rodzinami harmonijną przyszłość, w której każde poczęcie będzie świętem. Zrozumieliście? Są pytania?

- Dlaczego Kościół wzoruje się na dyktaturze rumuńskiej żądając, by sejm uchwalił „Lex Caucescu”?

- Mam pięcioro rodzeństwa, a ojciec jest już bez roboty. Dostaniemy od proboszcza jakąś pomoc? Kto nawołuje do wielodzietności, powinien wspomagać takie rodziny jak nasza.

- Czy wolno pozbawiać rodziców prawa do decydowania, ile chcą mieć dzieci? Przecież to jest ograniczanie wolności osobistej.

- Na prowokacyjne pytania, zaczerpnięte z wrogiej propagandy, nie będę odpowiadać - podniosła ton Czos-Pałubicka. - Przechodzimy do kolejnego zagadnienia. Używanie środków antykoncepcyjnych, na przykład prezerwatyw i innego paskudztwa, jest sprzeczne z naturą. Akt płciowy nie może być źródłem wyuzdania, służy tylko prokreacji, stworzeniu nowego życia. Straszy się nas widmem AIDS, choć wiadomo, że zarażają się tylko zbrojeńcy i cudzołóżnicy...

- Przepraszam - zaprotestował dziewczęcy głos - w niektórych krajach afrykańskich jedna trzecia ludności zarażona jest wirusem HIV. Dzieci i kobiety również. Czy wszyscy są zbrojeńcami?

- Proszę mi nie przerywać! - dyrektorkę ogarniał gniew. - Handel prezerwatywami sprzeciwia się nauce Kościoła i jako taki winien zostać pod karą zabroniony. Podobnie jak stosunek... jak stosunek przerywany. Posłużę się obrazowym zwrotem: soczek tatusia musi pozostać w dziurce mamusi. Rozumiecie?

- Tak, proszę pani - znów ten sam bezczelny głosik dziewczęcy - penis musi działać w vaginie do chwili wytrysku spermy...

- Zwracam ci uwagę, Piotrowska, na niestosowność określania kobiecych narządów płciowych terminami medycznymi. To jest wymagające szacunku sanktuarium ludzkiego poczęcia!

- A jak nazwać tego, co odwiedza sanktuarium? - zawołał któryś z chłopców.

- Święty pielgrzym! - odkrzyknął drugi i klasa ryknęła śmiechem.

Rozległo się trzaśnięcie drzwi, Łysa Pała opuściła klasę zbulwersowana zapewne do ostateczności. Piotr pobiegł do swoich wychowanków. Młodzież czekała na dzwonek speszona zakończeniem wykładu, no tak, dyrektorka obrażona, może obniżyć stopnie ze sprawowania albo wstrzyma promocję, dorośli dziś są zdolni do każdego świństwa...

- Moi drodzy, słyszałem przez okno dyskusję - powiedział uśmiechnięty - brawo! Jestem z was dumny. Pomińmy milczeniem wywody pani dyrektor, obowiązuje mnie minimum lojalności wobec szefowej. Spójrzcie na problem szerzej: oto doktryna okazuje się sprzeczna z praktyką społeczną. Logika nakazuje skorygować doktrynę - tak postąpiłby zręczny polityk. A co robi tępy doktryner? Próbuje życie naciągać do swoich dogmatów. Lecz materia jest oporna, ludzie swój rozum mają, więc manipulacja musi być poparta karami - za przerywanie ciąży dwa lata kicia, za sprzedaż środków antykoncepcyjnych areszt i konfiskata mienia, za stosunek płciowy niezgodny z kanonami wiary, publiczne potępienie na ziemi i strącenie do piekieł w zaświatach. Morał: strzeżcie się nawiedzonych duchem apostołstwa doktrynerów, tych w cywilu i tych w sutannach. Nie dajcie się zwariować! Nadszedł piątek, trzynasty dzień miesiąca. Feralny dzień tygodnia i szatańska trzynastka na dodatek. Przygotowania do przyjęcia najwyższego dostojnika, jaki kiedykolwiek do Trzydębów zawitał - zostały ukończone. Na środku boiska sportowego czekał ołtarz, wzniesiony kunsztownie z lakierowanych desek, ulice przybrane żółto-białymi flagami, w oknach domów portrety hierarchy i świece, które miały zapłonąć we właściwym momencie. Fontannę przy rynku wypełniono wonnościami instalując tam potężny wentylator, który dymy kadzidlane miał rozsnuwać nad miastem. Od bramy stadionu do ołtarza trawę przecinał czerwony chodnik, wzdłuż trasy czekały kosze z płatkami róż; dziatwa nieletnia sypać je będzie pod czcigodne stopy. Ponieważ murawa wskutek suszy miejscami zrudziała, pomalowano liszaje

zieloną farbą. Przedstawiciele władz i delegacje, wyznaczone do osobistego kontaktu z księciem Kościoła, ćwiczyły przyklęknięcie i całowanie dłoni pod nadzorem przysłanego z kurii prałata. Urzędował też cenzor duchowny, który teksty przemówień zatwierdzał lub odsyłał do poprawki, jeśli nie odpowiadały aktualnym wymogom.

Wierni ścigali już od ósmej lecz jakoś niemrawo; gdy punktualnie o godzinie dziewiątej zajechała kawalkada mercedesów - trybuny wypełnione były zaledwie w połowie. Arcybiskup wysiadł z opancerzonego auta, rozejrzał się wokół, pobłogosławił cztery strony świata i klękając, ucałował wzorem Starszego Pana z Watykanu ziemię trzydębską. Podtrzymywany przez dwóch biskupów ruszył chodnikiem ku ołtarzowi, a płatki róż wyznaczały mu drogę, a tłum duchownych tłoczył się za nim, a stado goryli rozbiegło się wokół bacząc, by zamachowiec nie podkradł się na odległość strzału. Czoło pochodu wyglądało komicznie, bo biskupi niscy i okrągłutcy jak pączki, a jego eminencja chudy niby chmielowa tyka, przerastał asystentów o głowę. Chód też miał metropolitalny - on jeden krok, oni trzy; ostro przebierać musieli nogami by za dostojnością nadążyć.

Zasiadłszy na ocienionym baldachimem tronie, skinął łaskawie dłonią - pora na składanie hołdu. Wyróżnione osoby z Maciarukiem na czele, uformowane w kolejkę, posuwały się ku stopniom rzeźbionego siedziska promieniejąc szczęściem, jakby otwarły się przed nimi wrota niebios. Będą mogły wnukom opowiadać o dniu pamiętnym, kiedy najwyższy kapłan pozwolił łaskawie właśnie im wyrazić uwielbienie dla osoby i urzędu. Delegowany prałat komenderował:

- Stój! W prawo zwrot! Przyklęk! Skłon! Pocałunek! Powstań! W tył zwrot! Odmaszerować!

Na uboczu krzątała się ekipa telewizyjna, dokumentując wydarzenie. Stał tam również na trójnogu elektroniczny aparat pomiarowy, przypominający kamerę, a obsługiwany przez księdza: oceniał w skali dziesięciopunktowej jakość hołdu. Najwyższą notę uzyskiwało energiczne kłapanie na oba kolana, po-partę głębokim skłonem ku stopom arcybiskupa i żarliwym pocałunkiem dłoni. Osobnicy przyklękający na jedno tylko kolano, o twardym karku, zaledwie markujący dotknięcie ust - otrzymywali jeden lub dwa punkty, co było natychmiast rejestrowane i niechybnie przekreślało ich dalszą karierę.

Gdy wszyscy dopuszczeni odbyli ceremonię, zaczęła się msza. Przebiegała bez zakłóceń, jeśli nie liczyć przelotu stada gołębi, które mają brzydki zwyczaj załatwiania się w powietrzu i w barbarzyński sposób zbombardowały grupę duchownych. Jeden pocisk trafił w mszał; jego eminencja wstrząsnął się z odrazą; Zaraz też podbiegł czujny kleryk i chusteczką do nosa usunął skazę. Później dostojnemu gościowi podsunęto mikrofon by wierni na

stadionie nie uronili ani słowa z homilii.

- Bracia w Chrystusie! - zaczął dźwięcznym basem. - Podnoszą się wśród was szemrania przeciw nierówności społecznej. Ten i ów daje posłuch agitatorom, wzywającym do strajków, wymierzonych w nasz katolicki, demokratyczny rząd. Me serce przepelnia ból gdyż dowiaduję się ze zgrozą, że nie brak nawet ślepców, gotowych wrzeszczeć „komuno wróc”, bowiem ustały niesprawiedliwe świadczenia socjalne, którymi byli dawniej tumanieni a nowy ład gospodarczy zmusza ich do poszukiwania pracy. Tymczasem znane fakty z każdej epoki świadczą, iż zawsze byli bogaci i biedni, a niezmienna natura spraw ludzkich utwierdza w przekonaniu, że w przyszłości także tak będzie! To Bóg, który troszczy się o wszystko i pomaga nam w swej nieskończonej dobroci, ustanowił, że na świecie mają istnieć biedni i bogaci, aby można było doskonalić się i gromadzić zasługi...

Na trybunach rozległy się gwizdy, tupanie nogami i rozgłośnie pomruki, przerywając arcybiskupowi tok wymowy. Był niemiłe zaskoczony. Tymczasem na płytę boiska wkroczył zwarty oddział Towarzystwa Obrony Kobiet, prowadzony przez Pelagię. Ochroniarze i milicja kościelna wpuścili je za bariery, ponieważ ubrane były w skromne popielate sukienki, zapinane na zamki błyskawiczne, na białych czepkach widniało wyhaftowane serce, a bezczelna prowodyrka zełgała, że prowadzi samarytanki Serca Jezusowego, by mogły odśpiewać jego eminencji hymn radości. Wypadki nabierały rozpędu.

Dwadzieścia niewiast ustawiło się w szereg na przeciw podium, kilkanaście pozostałych rozwinęło transparenty z gorszącymi sloganami, które z przykrością trzeba przytoczyć: Precz z dyktaturą eunuchów. Wara klechom od kuciapki. Nie pozwolimy upaństwowić naszych cip. Dwa lata więzienia za celibat. Nie będziemy maszynami do rodzenia dzieci. Inkwizytorów na stos. Nie jesteśmy waszymi niewolnicami. Strajk - nie damy piczki żadnemu księdzu. Pojawiły się balony w kształcie prezerwatyw z portretami posłów Łopuszańskiego, Jurka, Niesiołowskiego oraz najwyższych dostojników kościoła.

I wreszcie na sygnał Pelagii czołowy szereg zgranym ruchem rozpiął zamki błyskawiczne i zrzucił sukienki. Oczom duchownych ukazało się dwadzieścia nagich dziewczyn, o ciałach ponętnych, które z temperamentem zaczęły tańczyć kankana, potrząsając wyuzdanie golizną lub wypinając ją szyderczo w stronę jego eminencji i osób towarzyszących. Trybuny trzęsły się od śmiechu i oklasków.

- Zabierzcie te wściekle baby - krzyczał arcybiskup w mikrofon - szatan je opętał. Egzorcyzmy! Woda święcona!

Podbiegły służby porządkowe by usunąć manifestantki z areny, lecz zadanie okazało się trudne. Gryzły, drapały, wiły się jak zmije; za co chwycić, gdy gładka skóra wymyka się z

palców? Wreszcie wszystkie zbiły się w krąg i pod ramiona ująwszy, skandowały zawołanie bojowe TOK-u: Ła-py precz-od na-szych maj-tek, hasło sprzeczne z aktualną sytuacją zważywszy, iż owego detalu bieliźnianego żadna na sobie nie miała a kuciapki pyszniły się naturalnym owłosieniem: blond, rudym, czarnym i mieszanym.

Powstało zamieszanie, bo część widzów ruszyła ratować niewiasty z opresji, co tak przstraszyło ochroniarzy, że dobyli pistolety i dalej strzelać na postrach Panu Bogu w okno. Kanonada jak dolanie oliwy do ognia - rozwścieczyła tłum. Niektórzy goryle poturbowani, inni rozbrojeni, w stronę duszpasterzy posypały się pomidory i zgniłe jaja, szaty duchowne niebawem przypominały jajecznicę w sosie pomidorowym. Jego eminencji zabrakło tchu i omdlały osunął się w ramiona biskupów; zabrała go karetka pogotowia, niestety, pozbawiona pancerza i eskorty, więc i ją dosięgły bezbożne pociski nabiałowo-owocowe.

Przytomność umysłu zachował jedynie cenzor duchowny. Jak lew skoczył ku ekipie telewizyjnej świadom, że upowszechnianie incydentu może przynieść wymierną szkodę Kościołowi.

- W imieniu prawa konfiskuję taśmę!
- Odwal się, pętaku - odparł łagodnie kamerzysta.
- Człowieku, nie widzisz kto przed tobą stoi?
- Widzę. Zarozumiały dureń w sutannie.

Cenzor nie dał za wygraną; po chwili wrócił z dwoma osiłkami z pistoletami w garści. Kamerzysta bez oporu wydał taśmy - puste, gdyż zdążył trefne nagranie ukryć. Uśmiechał się złośliwie na widok triumfującej miny duchownego, wiedział bowiem, że zrobi kokosowy interes przegrywając wydarzenie na kasety video, pójdą jak woda, cała Polska będzie chciała zobaczyć jak Trzydęby przyjęły jego eminencję. A on wreszcie pozna siłę swoich pieniędzy.

Na stadionie trwała ewakuacja. Duchowieństwo, ochraniane przez zbrojnych w kamizelkach kuloodpornych i hełmach, z palcami na spustach automatów - wymykało się bocznym wyjściem jak piłkarze po przegranym meczu, zagrożeni gniewem kibiców. Głównym wejściem natomiast opuszczały stadion bohaterki dnia; szły kołysząc wdzięcznie biodrami, w strojach rajskiej Ewy, wymachując nad głową sukienkami niby zdobyczym trofeum. Część publiczności dziękowała oklaskami za widowisko, część miotała słowa obelżywe, w czym celowały szczególnie stare dewotki.

Wywiązał się słowny pojedynek rzeczników sprzecznych poglądów: kurwy, dziwki i zdziury zderzały się z prukwami kościelnymi, księżowskimi blyrwami i staruchami zzartymi przez święte mole. Propozycja, by aktywistki Pelagii poszły do burdelu, spotkała się z odesłaniem świątobliwych babuszek do kościoła, by mogły lizać... Przemilczmy litościwie, co

miały i komu lizać, emocje są złym doradcą, w epitetach nie przebierano, a ich gama zadziwiała różnorodnością, jędrnością i kolorytem. Intelktualiści, zapatrzeni jak sroka w gnat w często-zrnieńne subtelności swych duszyczek, osłupieliby słysząc mowę ludu, który zwięźle i trafnie umie scharakteryzować każdego mówcę, choćby senatora i ministra, o aktorach nie wspominając, bo ci wprawdzie deklamowali że znaleźli się wreszcie we własnym domu, a teraz płaczą, iż nowa rzeczywistość bije ich w dupę. Zapomnieli o przysłowiu, że nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca.

Boisko opustoszało. Wiatr roznosił ulotki, które rozdawała zbuntowana młodzież z klasy ósmej C. Treść nie była rewelacyjna, ot, protest przeciw klerykalnemu zniewoleniu, próbom odebrania kobietom wolności osobistej, szerzeniu zabobonów i temu podobne. Jeden świstek wpadł w ręce pani dyrektor, gdy zszokowana wypadkami na stadionie wracała do domu. Sygnowany był wprawdzie przez Towarzystwo Obrony Kobiet lecz u Czos-Pałubickiej zrodziło się podejrzenie, iż autorem mógł być polonista Piotr Śliwa, tekst językowo i stylistycznie sformułowany został zbyt poprawnie. Postanowiła przeprowadzić śledztwo. Jakoż podejrzany zapoznał się z drukiem i odparł:

- Żałuję, nie mojego pióra. Ja dodałbym parę argumentów natury socjologicznej i teologicznej. Te panie mają rację, że bronią swej intymności przed ingerencją współczesnych inkwizytorów. Mnie też nikt nie będzie rozkazywał, czy mam odbywać stosunek używając prezerwatywy lub nie, ani z kim, kiedy i jak ów akt miłosny spełnić. Proszę szczerze powiedzieć: pani w kwestiach łóżkowych pobiegnie do księdza Pyrki poradę?

- Ależ panie Piotrze, jestem od dawna mężatką! Sądzę, że obowiązki żony też trzeba spełniać po bożemu.

- Ku obopólnemu zadowoleniu współmałżonków. Cóż w tej materii mogą powiedzieć mężczyźni, skazani na celibat? Zazdrość ich zżera, więc włączają do cudzej pościeli. Mają mentalność podglądaczy i to najgorszego gatunku, chcieliby scenę erotyczną wyreżyserować według własnych upodobań.

Nie przekonał szefowej; być może zmusił ją do zastanowienia, a to byłoby pewnym osiągnięciem.

Proboszcz wrócił na obiad do odbudowanej częściowo po pożarze plebani, lecz nie mógł przełknąć ani kęsa. Ordynariusz diecezji nie podał mu nawet dłoni na pożegnanie, mówił o kompromitacji parafii, całego wręcz biskupstwa, mówił tonem złowróżbnym spoglądając na dziekana wzrokiem bazyliuszka.

- Taki skandal, bunt, zniewaga dostojników! Jego eminencja omal ducha nie wyzionął! Skąd pod twoim bokiem, Pyrko, załęgło się tyle pogaństwa? Jakże ty spełniasz

obowiązki duszpasterskie? Niech ci Bóg wybaczy, bo ja nie potrafię...

Siadł do mercedesa i odjechał spowity chmurą gniewu, porzucając załamane go kapłana na pastwę złych myśli.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

**Dies irae. Zbiegają się rozszalałe nurty. Brzemienny problem rury.
Wraca rudowłosy Ben. Bezradność burmistrza, władza podważona.
Hiacynt ratuje autorytet Pana Boga. Zajazd Pod Mieczem po raz ostatni.**

Wiosną wezbrane wody tworzą setki strumyków, które spływają z gór łącząc się w rwące potoki. Te zaś - zgromadziwszy po drodze nowe posiłki - sobie znanymi korytami suną ku rzekom, by zamienić spokojne nurty w rozszalałą kipiela, znoszącą wszystko co stanie na przeszkodzie. Tegoż dnia wydarzenia w Trzy-dębach przypominały opisane zjawisko, lecz rozwijające się w tempie przyspieszonym. Gdy tłum ze stadionu ruszał ku śródmieściu, w Pewnusi pękały bramy - załoga właśnie się dowiedziała, że firma została sprywatyzowana, a większość udziałów wykupiły trzy rodziny: Bukowscy, Kajdyrowie i Maciarukowie. Oznajmiono jej również, iż nowi właściciele państwowego mienia postanowili zwolnić połowę pracowników.

Poląła się krew, gdyż rozwścieczeni ludzie szturmem wzięli budynek dyrekcji rozpędzając obradującą właśnie radę udziałowców. Ciężko pobici: kuzyn Bukowskiego, ciotka Kajdyra i szwagier Maciaruka; sam dyrektor Kajdyr oszalały ze strach wyskoczył oknem z drugiego piętra, wskutek czego kark skręcił. Lokal zakładowej „Solidarności” został barbarzyńsko zdemolowany. Wyposażenie, sztandar, pół tony listów pochwalnych, dziękczynnych, prośb, donoszących i demaskujących - wyrzucono na bruk i podpalono.

Przewodniczącego, zasłużonego kombatanta Bukowskiego odnaleziono w ubikacji, gdzie pozorował rozwolnienie. Trząśnięty jak w febrze, portek nie potrafił zapiąć rozbieganymi palcami. Ciężba wywlekła go na otwartą przestrzeń, gdzie czekali już bardziej zawzięci robotnicy ze sztachetami i dalej pałowa biedaczysko. Skóra zsiniała, autentyczny fiolet pokrywał przestrzeń między wymalowanymi plamami, z którymi się tak dumnie obnosił. Przed niechybnym linczem uratował go stary Śliwa, zasłaniając własną pierś i trafny argument:

- Dość! Zabijecie skurwysyna, a odpowiadać będziecie za człowieka!

Zaimprovizowany pochód z biało-czerwonymi szturmówkami oraz dwoma transparentami Koniec rozkradania majątku narodowego, Precz z nową nomenklaturą, pomaszzerował prężnie ku centrum grodu. Jednakże pod ratusz pierwsi dotarli mieszkańcy peryferii, grupa kilkudziesięciu zaledwie osób, lecz z bębniem, trąbą i megafonem. Bęben dudnił, trąba wygrywała hejnały a przez urządzenie nagłaśniające Wywoływano natarczywie

burmistrza Maciaruka. Pojawił się wreszcie na balkonie, zbiegowisko nie wyglądało groźnie. Wyznaczony delegat zagrział w megafon:

- Komuna założyła nam wodociągi i pięć kilometrów kanalizacji; zabrakło tylko ostatnich stu metrów rury. Drugi rok pan urzęduje, a tej stumetrówki ani śladu. Żądamy ukończenia kanalizacji! Panie burmistrzu, gówna nas zalewają!

- Nie ma w budżecie pieniędzy na inwestycje komunalne.

- A na goszczenie arcybiskupa się znalazły?

- Nie wasza sprawa.

- Nasze miasto, nasza forsa. Żądamy ukończenia kanalizacji! Grozi epidemia!

Maciaruk zniknął z balkonu; zawsze grzeszył nadmierną pewnością siebie, więc i tym razem nie docenił niebezpieczeństwa. Zadzwoił na policję, żeby przysłali posterunkowych, bo natarczywi petenci gotowi wtargnąć do budynku. Policjanci stanęli w drzwiach wejściowych, a na rynku majówka - bęben wybija rytm, trąbka kwili, a ci śmieszni faceci improwizują przyśpiewkę:

Panie burmistrzu, Gówna nas niszczą, Rurę, rurę nam daj!

Podjechała bagażówka, zaraz ochoczo doskoczyli i wyładowali okazałą skrzynię: czterdzieści koktajli Mołotowa. Uderzenia bębna przyspieszyły, trębacz wydmuchuje z instrumentu zwariowaną melodię, a oni ujęli się za dłonie i wokół skrzyni - kółeczko w prawo, kółeczko w lewo. Zapiewają intonując:

Z prochu powstałeś, W proch się obrócisz, Lud oklamaleś, Lud cię odrzuci.

Hopsasa, tralala. Mają czas, są dobrze poinformowani, wiedzą że już z trzech stron rwą ku rynkowi potoki ludzkich głów - od stadionu, z Pewnusi, z podmiejskich błoni. A propos błoni. Po długiej nieobecności wrócił do Trzydębów zespół „Bolko” z rudowłosym Benjaminem. Władze nie dały zgody na występ w mieście, artyści musieli produkować się poza terenem zamieszkałym, co młodzieży nie zniechęciło i zjawiała się tłumnie na koncercie. Repertuar mieszany: najpierw tradycyjne ballady z tą o Ateuszu Pokornym, bisowaną parokrotnie, potem szatańskie songi „Wampir”, „Miecz”, „Szatana głos”. Entuzjazm fanów sięgnął zenitu, gdy Ben przy wtórze gitary zaczął śpiewać „Kapłana”:

Nawiedził mnie czarnym snem.

Poczułem go ciałem.

Spaliłem biblię i krzyż.

Sutannę ubrałem.

Odkryłem prawdę jego słów

Poczułem śmierci sens.

Wieczysta siła pochłania mnie
Ludzkości nadejdzie kres.
Płonie krzyż na stosie krzywd
Pójdiesz tam do piekieł bram,
Gdzie dusza zła oświeci cię.
Diabelskiej mszy wiruje czas...

Przy ostatnim wersie wzniosł w górę odwrócony krzyż, a połamawszy symbol szczątki rzucił między publiczność. Rozległy się okrzyki: „Niech żyje szatan”, „Precz z Jezusem” „Lucyfer mym królem”. Jakaś rozhisteryzowana nastolatka domagała się, by Pan Ciemności zabrał ją do piekła. Ujawniła się również tendencja przeciwstawna, mianowicie w hasłach: „Niech żyje Jezus”, „Precz z szatanem”, „Bóg naszym władcą” Rozhisteryzowana nastolatka (koleżanka tej poprzedniej) domagała się by Pan Światła zabrał ją do nieba. Do konfrontacji rzeczników obu poglądów na szczęście nie doszło.

Po występie zespół załadował sprzęt na ciężarówkę, artyści zasiedli w fordzie kabriolecie, pomalowanym na dzikie kolory i kawalkada, poprzedzana gęstwą entuzjastów, ruszyła w ślimaczym tempie ku przeznaczeniu. Rudowłosy Benjamin rozdawał autografy na prawo i lewo, słońce grzało, skowronki śpiewały, a w zbożu panoszył się kąkol.

I stało się, że wspomniane trzy rozszalałe nurty spiętrzyły się w rynku i przyległych ulicach, wchłaniając grupkę muzykalnych piromanów od gównianej rury. Tłum bulgotał, wznosił okrzyki podważające rację bytu warstw rządzących, a tym samym zagrażające demokratycznemu porządkowi. Tym prowincjonalnym kmiotkom obca bowiem była dialektyka sprawowania rządów - czuli się oszukani, wepchnięto ich z deszczu pod rynnę. Dostali się w tryby tak nachalnej indoktrynacji, o jakiej komuchom nawet się nie śniło, zaś etos demokracji okazał się parawanem, za którym odrodził się w całej okazałości kult jednostki i pomniejszych dyspozycyjnych figur kultowych. Zostali pozbawieni wszelkiej nadziei, omotani pajęczą siecią kłamstw i prawd pozornych. Sprawiedliwość społeczną zastąpiła pazerna prywatna, a wolność osobistą pokorne posłuszeństwo wobec nakazów odgórnych. Pozostały im rozpacz i bunt. Oto dlaczego Trzydęby musiały przejść swój dies irae, dzień gniewu.

Burmistrz Maciaruk zwabiony zgiełkiem wyjrzał oknem i zmartwił - rebelia panoszyła się wokół. Wkrótce dotarła doń także wiadomość o śmierci Kajdyra, o poturbowaniu szwagra i innych osób. Zaczął wydzwaniać do województwa, najpierw do komendy policji. Wysłuchał go jakiś dyżurny nadkomisarz.

- Przykro mi, panie burmistrzu. Żadnych oddziałów interwencyjnych nie możemy

przysłać. Cały skład osobowy ślubuje dziś uroczyście wierność Najświętszej Marii Pannie, więc rozumiecie...

Wykręcił numer garnizonu wojskowego. Po dłuższej chwili, która wydawała się wiecznością, zgłosił się pułkownik. Wysłuchał cierpliwie relacji, potakując czasem, że rozumie położenie. Po czym wyjaśnił:

- Mam wyraźne rozkazy: żadnych interwencji przeciw cywilom. Powinien pan zrozumieć, panie burmistrzu. Przez długi czas wojsko było opluwane ze wszystkich stron za wprowadzenie stanu wojennego...

- Chociaż kilka czołgów!

- A kto zapłaci za ropę?

- Desant z helikopterów!

- Wykluczone. Drugi raz w to samo gówno nie wdepniemy. Radź pan sobie sam.

- Jak?

- Perswazją.

Nietrudno zauważyć, że różne osoby tego dnia używały śmierdzącego określenia, które - chociaż oddaje istotę rzeczy - do eleganckich nie należy. Czy jednak bojownicy o rurę mieli wołać: „Panie burmistrzu, zalewają nas końcowe produkty rozkładu materii?” Maciaruk by nie zrozumiał, o co chodzi. Ale nie ma reguł bez wyjątku - Felek Anarchista na przykład brzydził się terminologią fekaliczną, może dlatego, że uwił sobie egzystencję na wysypisku śmieci, jakże odległym od perfumerii. On również pojawił się tego brzemiennego w konsekwencje dnia na rynku. Ubrany w bojowy uniform, zwracał powszechną uwagę. Popielaty kapelusz z trupa czaszką, podkoszulek z napisem „I love Bakunin”, rozpięty długi płaszcz z wymalowanym na rewersie poniżej pasa portretem wąsatej osobistości z pierwszych stron gazet. Kroczył z namaszczeniem wymachując czarnym proporcem przymocowanym do ciupagi. Był rozradowany, ponieważ do tej pory obowiązywał go zakaz pojawiania się w pobliżu ratusza i kościoła, a obecność tłumu uwolniła go od dotkliwej dyskryminacji. Zaczął wykrzykiwać anarchistyczne slogany:

- Zlikwidować skorumpowaną władzę! Wolny kraj dla wolnego ludu! Klecha do katakumb, burmistrz na latarnię! Rozpieprzyć ten burdel!

Z drugiego krańca agory wsparły go damskie głosy z otoczenia Pelagii:

- Precz z niewolnictwem! Inkwizytorów na stos! Łapy won od naszych majtek!

Tam, gdzie zgromadziła się załoga Pewnusi i widniały transparenty, protestujące przeciw rozkradaniu majątku narodowego oraz nowej nomenklaturze, -zaczęto skandować:

- Ma-cia-ruk zło-dziej! Dyk-ta-tu-ra szwa-grów! Gra-ba-rze de-mo-kra-cji!

Ratusz milczał. Wówczas ci od rury otwarli skrzynkę i zapalili knoty na butelkach z benzyną. Pociski poleciały w okna - trzask rozbijanych szyb, błysk płomieni, rozpaczliwe krzyki urzędników. Zaczęli uciekać drzwiami i oknami, w czym im zresztą nie przeszkadzano. Jeden burmistrz się nie pojawił, widmo stryczka zapędziło go do piwnicy, gdzie szczęśliwie uniknął płomieni. Błędym świtem zabrał rodzinę, wyjechał w nieznane i słuch po nim zaginął.

Spłonęły trzy budynki: ratusz, nie do końca odbudowana plebania, siedziba partii politycznych. Tych partii powstało w Trzydębach kilkanaście, a każda składała się wyłącznie z miejskiego kierownictwa; lokalne sztaby bez żołnierzy, rzecz można. Zresztą pospolite ruszenie nie było wodzom potrzebne, wszystkie żyły w doskonałej symbiozie. Mnożyły się przez pączkowanie albo łączyły się przez zlewanie; wymieniały między sobą członków i programy, miały wspólną obsługę techniczną w postaci sekretarki, sprzątaczkę, woźnego i telefonu. Wszystkie też opowiadały się za demokracją, gospodarką rynkową i myślą społeczną Jana Pawła II. Chociaż, gdyby ktoś się uparł i wziął deklaracje programowe pod lupę, mógłby wykryć ślady niuansów. Sytuacje konfliktowe iskrzyły tylko na styku Porozumienia Centrum i Unii Demokratycznej, co również znalazło wyraz owego pechowego dnia.

Otóż Artysta zwołał na późne popołudnie do Zajazdu Pod Mieczem wszystkich znajomych, na „inauguracyjną sesję Polskiej Partii Przyjaciół Piwa”, jak głosiły ręcznie malowane zaproszenia. Przyszło kilkanaście osób, a także stary Śliwa z synem, Benjamin z gitarą, Adam Rak z ojcem Hiacyntem Zakonnikiem był w habicie, co zdumiało majstra.

- Patrzcie, nasz mnich został zmobilizowany!

- Mylisz się, Hieronimie. Doszedłem do wniosku, że nikt mnie z uroczystych ślubów zakonnych nie zwolnił, nadal jestem franciszkaninem. Relegowanie z klasztoru to tyle, co wypowiedzenie mieszkania. Ubrałem habit, bo przecież ktoś musi w Trzydębach bronić autorytetu Pana Boga, narażonego na szwank wskutek bezmyślności kleru.

- Słusznie postępujesz - zauważył malarz - widzę w tym gronie szpetne gęby paru niedowiarków; dobry przykład, ba, sama twoja obecność powstrzyma ich od złośliwych komentarzy. Musimy w PPPP dbać o harmonię stosunków międzyludzkich, nie wystarczy ufać, że piwo łagodzi obyczaje. Przyłączysz się do nas?

- Wobec tak wymownych argumentów...

- Czemu nie wchodzimy do środka? - niecierpliwił się Rak.

- Pierwsza zmiana jeszcze urzęduje - wyjaśnił Artysta - wałęsiaki z mazowiecczykami ustalają wspólną strategię wyborczą. Ci chcą nadać partnerom przyspieszenie, a tamci kładą

na kontrahentach grubą krechę. Kompromis niemożliwy.

Rzeczywiście. Z wnętrza lokalu dochodziły odgłosy gwałtownej kłótni i przesuwania mebli, brzęknęła wybita szyba. Po chwili jak wystrzelone z procy zaczęły wylatywać drzwiami różne postacie. Ostatni delikwent z trudem łapiąc równowagę, przemierzył trawnik i gruchnął Śliwie pod nogi. Ten podniósł go życzliwie.

- Oho, magister Markiewicz, witam witam. Ależ pana przyspieszyli!

- Z chamami próżna mowa. Jak papugi powtarzają slogany za Wielkim Elektrykiem i żaden argument do nich nie dociera. Stosują przemoc fizyczną, panowie świadkami.

- Mała próbka rządów autorytarnych - skomentował Rak - kto ośmiela się mieć własne zdanie, tego za mordę i won. Pięść zamiast argumentów.

- Pozwolę sobie zauważyć - rzekł Piotr - iż forsowany dziś przez pewne siły model pozorowanej demokracji został j opisany około roku czterechsetnego przed naszą erą przez? greckiego skrybę, Arystofanesa, w komedii „Rycerze”. Dwadzieścia cztery wieki temu! Ówczesnym samozwańcom, podającym się za emanację ludu, poeta nie szczędzi dosadnych określeń. Jaki jest ów „demos”?

On wszystko widzi. Jedną stoi nogą
w Pylos, a drugą na ludowym wiecu.

A w taki sposób rozkraczywszy lapy
kuper rodzony dzierży nad Zamętnią,
ręce w Wydzierni, a myśl w Złodziejgrodzie.

Pod koniec utworu Arystofanesowi, który zapewne wnikliwie' obserwował szalbierstwa ówczesnego reżimu, wyrywa się krzyk rozpacz:

O niecna i plugawa gębo, odęta od krzyku!

Jak długi i szeroki świat jest cały,
wszystkie wiece, procesy, celnie, trybunały,
bezwstydu twego pełne!

- Nihil novi sub sole - stwierdził filozoficznie Hiacynt. - Starożytnym pisarzom nie można odmówić bystrości umysłu i odwagi cywilnej. Dobry wzór dla tych polskich autorów, którzy swoje utwory dławia wazeliną i kadzidłem.

Śliwa przedstawił krótko magistra Markiewicza. Pierwszy przewodniczący „Solidarności” w Pewnusi, wykolegowany bezceremonialnie przez Maciaruka przed dziesięciu laty. Podczas stanu wojennego nie udzielał się w żadnym związku! zawodowym. Gdy powstała Unia Demokratyczna, wstąpił...

- A dzisiaj występuję, co oznajmiam wszem wobec. Życie polityczne zaczyna

przypominać remizę strażacką podczas wiejskiej zabawy: wszyscy niby tańczą, a każdy zastanawia się, kto komu przyleje, Najchętniej zgłosiłbym akces do jakiejś partii bezpartyjnej.

- Właśnie mamy zamiar utworzyć taki dziwoląg - powiedział Artysta - zapraszamy. Ci prawicowi centryści mimowoli przyspieszyli pana we właściwe miejsce.

- Kpicie ze mnie?

- Przyzwyczajasz się, Markiewicz - perswadował Śliwa otrzepując garnitur poszkodowanego - między nami jak w operetce: półzartem, półserio. Dla sztywniaków i nawiedzonych wstęp wzbroniony.

W wejściu do zajazdu przepychanka - grubas właściciel usiłował wyegzekwować należność, lecz goście odtrącili go bezceremonialnie; nie miał szans, sześciu na jednego. Wołał bezradnie:

- Kto zapłaci za połamane krzesła! Za wybitą szybę! Potłuczone szklanki!

- Mazowiecki! - odkrzyknęli wesoło i sprężystym krokiem odmaszerowali w szyku dwójkowym.

Piwosze mogli wreszcie wejść do lokalu. Kleopatra sprzątała rozbite szkło, a mąż miotał łaciną i brzuszyskiem po wszystkich kątach.

- Gdzie się lęgną takie skurwiele? Kasta właścicieli Polski, psiakrew. Jeden z drugim gnojek nie potrafi trzech zdań poprawnie sklecić, a rwie się do rządu. Żadnego szacunku dla ludzi, żeby ich jasna cholera!

Ledwo zdążyli się rozmieścić przy stolikach - malarz przeglądał notatki szykując się do zagajenia, inni rozlewali z namaszczeniem piwo - a tu pod oknami rozległa się Wołga Wołga, mat'radnaja, Wołga ruskaja rieka i wtoczyło się do środka dwóch zalanych w trupa osobników: ogrodnik Świdorski i jego krewniak, hodowca drobiu. Drobiarz czekał regularnie i głośno, a Świdorskiemu japa się nie zamykała:

- Piwo dla wszystkich. Ja funduję! Ale biznes... Ludzie, cud, powiadam, cud nagły a niespodziewany! - zachwiał się niebezpiecznie, bufet uchronił go przed upadkiem. - Sprzedałem wszystkie róże. Pięć tysięcy sztuk! Sprzedałem tonę... przejrzałych pomidorów! A ten... a ten facet opchnął... przeterminowane jaja. Sto skrzynek! Szefuniu, dwa głębsze. Za ten biznes. Za arcybiskupa. Niech przyjeżdża częściej.

Dostrzegł zakonnika i pozęgłował ku niemu. Z pewnym trudem trafił dłonią do kieszeni i wyjął dwa pliki banknotów; sienkiewiczze schował na powrót, a moniuszki położył przed mnichem.

- Dla sierotek na banany!

Wychylili swoją wyborową i podtrzymując się nawzajem opuścili towarzystwo, choć

nie od razu udało się im wycelować w drzwi. Na dworze znów rozlała się Wołga szeroko.

- Zaczynam podejrzewać - odezwał się Hiacynt chowając pieniądze - że diabeł z nas drzwi. Jego eminencja musiał wystawić dostojną osobę na kanonadę przejrzałych pomidorów i przeterminowanych jaj, abym ja mógł moim dzieciakom pokazać, jak wyglądają banany. Jeśli już zawadziliśmy o złego ducha, to chcę powiedzieć panu Benjaminowi, że byłem na koncercie. Owszem, ma pan talent, zespół też jest znakomity. Tylko po co brnąć w groteskowe sataniczne songi?

- Taka moda.

- To wy tworzycie modę.

- Niech socjolodzy szukają odpowiedzi na pytanie, dlaczego moje pokolenie, za komuny, pasjonowało się musicalem Jezus Chrystus super star, a te szczeniaki dziś kręcą się wciąż wokół szatana? Kościół tropi czerwonego luda, by na niego zwalić winę, lecz to właśnie duszpasterze winni posypać głowy popiołem. Zatruli pacjenta lekarskami.

- Popieram - wtrącił Piotr - belferskie słowo honoru, że Ben trafił w sedno.

- Nie pomniejszam winy Kościoła, lecz szołbiznes w piekielnej deprawacji też ma pokaźny udział.

- Dyskusja nie na temat - przeciął Artysta. - Proszę o uwagę. Zaczynamy inauguracyjną sesję Polskiej Partii Przyjaciół Piwa...

Tak oto owego obfitującego w wydarzenia dnia powstała w Trzydębach siła, której nikt początkowo nie traktował poważnie. Wkrótce miała trzystu członków, trzykrotnie więcej niż pozostałe partie razem wzięte. Wygrała wybory w pięknym stylu, uzyskując wszystkie mandaty do Rady Miejskiej. W pewnym stopniu do zwycięstwa przyczyniły się występy zespołu „Bolko”, (rudy Ben okazał się zdolnym agitorem) a także zawzięta propaganda aktywistek Towarzystwa Obrony Kobiet. Chociaż przeciwnicy też nie próżnowali; pracowici centryści sprowadzili nawet jakąś figurę z centrali. Jegomość powtarzał na wiecach że jest mądry mądrością trzydębian i domagał się, by władzę ujęli w swoje ręce, po czym kazał podnosić dłoń tym, którzy popierają jego wizję demokracji. Ponieważ owa wizja rysowała się publiczności mało wyraziście, zawsze wlatywały w górę pracowite ramiona tych samych klakierów z pierwszego rzędu. Zapytywał jeszcze pro forma, kto jest przeciw - oczywiście przeciwnicy ze strachu lub nieśmiałości się nie ujawniali, a on mógł stwierdzić z zadowoleniem bezgraniczne poparcie: wszyscy za. Dobrze samopoczucie rosło w człowieku jak na drożdżach, powinien opatentować ten sposób badania opinii publicznej, jako znakomite wsparcie psychologiczne dla polityków, oderwanych od realiów społecznych.

PPPP przeprowadziła niezbędne zmiany kadrowe - burmistrzem wybrano Adama

Raka, Piotr Śliwa objął kierownic two szkoły, a magister Markiewicz został dyrektorem Pewnusi; nocniki z wizerunkami sławnych osobistości zostały tam wyparte przez nocne naczynia wielokrotnego użytku, reklamujące różne gatunki piwa, a odebrane trzem pazernym rodzinom udziały wykupili na raty pracownicy.

Najbardziej zdumiewające w tej historii jest to, że przedwyborcze obietnice nowa władza spełniła co do joty w ciągu miesiąca. Było ich zresztą niewiele: wprowadzenie całodzienniej sprzedaży piwa we wszystkich sklepach; przydział - na zasadach ulgowych - terenu pod ogródki działkowe i budownictwo jednorodzinne; przywrócenie ulicy oddzielającej kościół od ple-banii jej dawnej nazwy, Ateusza Pokornego; ukończenie kanalizacji. W tej ostatniej sprawie miał swój udział zakonnik Hiacynt - objechał kilka miejscowości, w których zakładano wcześniej instalacje burzowe i znalazł sporo porzuconych na łaskę losu rur o odpowiednim przekroju. Wyzebrał od pewnej firmy ciężarówkę i ściągnął zdobycz do Trzydębów. Mieszkańcy w czynie społecznym zakopali brakujący odcinek, kanalizacja ruszyła, końcowe produkty rozkładu materii porzuciły gród, a miejska kasa nie wydała na ten cel nawet złotych.

Pewnego razu do pokoiku Hiacynta w sierocińcu wtargnął ksiądz Pyrko - wzrok dziki, włos zmierzwiiony, portki cywilne, koszula w pepitkę. Padł na kolana:

- Bracie, ratuj! Jestem apostatą, porzuciłem Kościół. Jawnogrzeszę z Pelagią! Jam zgubiony dla Boga i parafian...

- Nie przesadzajmy - powiedział mnich - aniś pierwszy, ani ostatni. Napisz do biskupa, że wypowiadasz posadę. Chuć czy miłość?

- Żyć bez niej nie potrafię. Opętał mnie diabeł południowy.

- Wcale częste są w wieku dojrzałym nawroty zainteresowań seksualnych. A ona?

- Zakochana. Listy miłosne słała bez przerwy. Przygarnęła w swoim mieszkaniu. Co począć?

- Urządziłem w¹ sierocińcu kapliczkę. Mogę dać wam ślub.

- Bez zgody Kościoła?

- Nie mieszajmy bezdusznych urzędników Pana Boga do sakramentu małżeństwa. Ślubujesz wobec Stwórcy.

- Bracie, przywracasz mi życie!

- Wstań z klęczek i zachowuj się normalnie, jeśli do szczętu nie zgłupiałeś w kościelnym kieracie. Ustalmy datę...

Jakoż pobrali się, weselisko wyprawili huczne w Zajeździe Pod Mieczem, a potem otwarli przy głównej ulicy pizzerię; cieszyła się umiarkowanym powodzeniem i dochód też

przynosiła raczej skromny. Szyld namalował własnoręcznie Artysta; obok napisu Pizzeria Południowy Diabeł widniał frywolny szatanik, serwujący główne danie. Malarz dokonał również korekty swego dzieła w hollu szkoły - zamalował czarta, a zamiast niego posadził na taczance przy kulomociu bolszewickiego komisarza w skórzanej kurtce. Miejmy nadzieję - pomyślał - że Lucyfer nie wyszuka mi najgorszego miejsca w otchłani, bo zwolniłem jego wysłannika od przywileju ustrzelenia księdza Skorupki i zapędziłem do roznoszenia pizzy...

Życie w Trzydębach normalizowało się, tylko kościół pozostawał długo osierocony, ponieważ kuria nie mogła znaleźć kandydata na proboszcza. Nic dziwnego, któżby kwapił się do parafii, gdzie nad plebanią znęcał się czerwony kur i moce piekielne, a bezbożny lud nawet arcybiskupa ośmielił się obrzucić nieświeżymi produktami spożywczymi? Wysuwano wprawdzie sugestię, że chwilowo mógłby spełniać posługi duchowne franciszkanin Hiacynt; lecz względy doktrynalno-dyscyplinarne przemawiały przeciw osobie. Czym zresztą on się nie przejmował - chrzczył dzieci, odprowadzał umierających na ostatnią drogę, udzielał ślubów i celebrował w świątyni zbiorowe modły. No i chwala Bogu.